



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

4(62) 2022

Rok XVI

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



Monastyr Noravang, fot. Wiesław Krajewski



Zabudowa centrum Erywania.



Wieczorny pokaz fontann na placu Republiki.



Malowniczo położony klasztor sewariński z IX wieku.



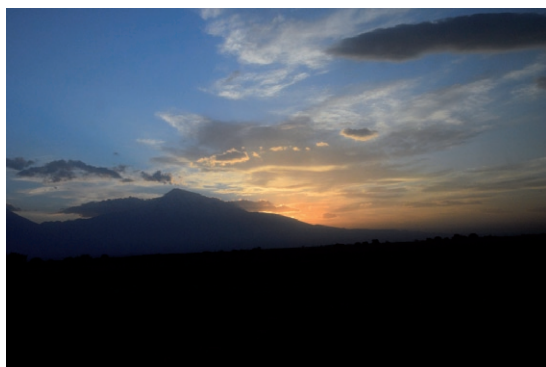
Wnętrze klasztoru.



Średniowieczny karawanseraj z 1332 r.



Noratus - chaczkary z X-XIX w.



Turecka dziś góra Ararat z oddali...



...i całkiem blisko beczki ze szlachetnym trunkiem.

Armenia

Armenia to niewielki kraj w Azji, ale chyba bardziej tkwiący w Europie. Zamieszkuje go zaledwie trzy miliony osób. Nie jest zbyt bogaty, biedniejszy niż kraje sąsiednie, ale rozwija się. Do tego skonfliktowany z Turcją, z którą graniczy na zachodzie i z Azerbejdżanem na wschodzie. Góra Ararat – symbol Armenii, umieszczona centralnie na godle kraju, znajduje się poza jego granicami – właśnie w Turcji, choć widoczna jest ze stolicy. Z Azerbejdżanem konflikt przybrał zbrojny charakter w sporze o Górski Karabach.

Turyści odwiedzający Armenię mają co oglądać. To kraj, który pierwszy przyjął chrześcijaństwo – religią państwową stało się ono już w 301 roku. Zabytki sakralne są jedyne w swoim rodzaju. Na tle górskiego krajobrazu prezentują się wyjątkowo. Pochodzą nawet z IV-VI wieku. Atmosfera w tak starych murach jest niepowtarzalna. Wiele z nich znajduje się na liście UNESCO. Nie można pominąć soboru Eczmiadzyńskiego – duchowego centrum armeńskiego Kościoła apostołskiego (IV w.), klasztoru w Hachpat (XIII w.), Sewanawank (IX w.) nad jeziorem Sewan, jednym z najwyższych położonych jezior słodkowodnych na świecie, czy monastynu Tatew (IX w.) wysoko nad kanionem rzeki Worotan. Wjeżdża się tam kolejką linową, jedną z najdłuższych na świecie (6000 m). Unikatem jest skalna świątynia Geghard, gdzie znajdował się niegdyś grot włóczyń, która przebiła ciało ukrzyżowanego Jezusa. Najpiękniejszy jednak jest klasztor Norawank z XIII wieku, położony w wąwozie rzeki Arpa. Nie zrobić tam zdjęcia to grzech. Charakterystyczne dla średniowiecznej architektury Armenii są chaczkary – kamienne krzyże ozdobione bogatą ornamentyką. Można je spotkać wszędzie.

W tym wszystkim, pewnym zaskoczeniem mogą być ruiny pogańskiej świątyni w Garni, zbudowanej w 77 roku n.e., poświęconej bogu Słońca Mitrze.

Przez Armenię wiodła jedna z nitek Jedwabnego Szlaku. Wśród gór i łąk napotkać można tam średniowieczny karawanseraj – zajazd dla kupców i podróżnych.

Armenia, jako kraj turystycznych wycieczek, wymaga poważnego zastanowienia. Oby z pozytywnym skutkiem. Polecam

Wiesław Krajewski

Słowo redaktora



Wiadomo, że wojny niosą największe tragedie. Pozostawiają bezlitosny stygmat na długo i pamiętane są przez pokolenia. Przykładem jest II wojna światowa, na temat której dokonano już tysiące opracowań, a mimo tego na światło dzienne wciąż wychodzą nieznane historie. Jedną z przyczyn mogło być położenie geopolityczne, które skusiło wielu Polaków do urządzenia się pod sowiecką okupacją. Prawdziwym patriotom natomiast ferowano najwyższe wyroki i skazywano na zapomnienie. Robiono to tak skutecznie, że jeszcze dzisiaj niektórzy podważają np. uczciwość żołnierzy niezłomnych, a Sowietów paradoksalnie uznają za wyzwolicieli.

Jednym z zapomnianych dowódców Armii Krajowej był Władysław Kwieciński ps. „Lubicz”, który od 19 września br. patronuje Szkole Podstawowej w Płonce. Działalność tego żołnierza i poety pozostającego od lat w cieniu przeszłości opisuje na pierwszych stronach jego syn Andrzej Kwieciński. Na dalszych stronach osobliwe dzieje Górecka przypomni Waldemar Seroka, natomiast Jacek Kiszczak pozna nas z Marią Ludwiką ks. Czartoryską, dziedziczką dóbr Borowica-Zulin. O pałacu w Olszance opowie Arkadiusz Kostecki, Lucjan Cimek o miejscowościach Olesin, Oleśnica i Oleśniki, a Józef Adam Dąbek uda się śladem testamentu dziedziczki dóbr Wierchowina. Monika Nagowska i Tomasz Sienicki przypomną o trwającym Roku Marszałka Mikołaja Sienickiego, zaś Elżbieta Kmiec przedstawi tarnogórską rzeźbę Królowej Pokoju.

Na kolejny rozdział składają się wspomnienia Marty Kafarskiej, Elżbiety Kmiec, Andrzeja Adamczuka i Mariana Rybczyńskiego. Część literacka obfituje w wielu autorów poezji, w tym laureatów krasnostawskiego Turnieju Poetyckiego „O chmielakowy antałek” oraz „Portu Poetyckiego” w Chorzowie. Poznamy wybrane zapiski Jana Henryka Cichosza, recenzję „Bram Lublina” Urszuli Gierszon oraz relacje ze spotkań autorskich cennych dwutomowych opracowań historycznych ks. Henryka Kapicy. Nie zabraknie informacji z ważniejszych wydarzeń. Numer zamyka tradycyjny felieton Wiesława Krajewskiego, a na okładkach możemy podziwiać malarstwo uzdolnionej Edyty Zdun-Fornalskiej.

Andrzej David Misiura

Spis treści

Armenia	1
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Słowo redaktora	1
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Wspomnienie o Władysławie Kwiecińskim, dowódcy III Rejonu AK Obwodu Krasnystaw, pseudonim „Lubicz”	3
<i>Andrzej Kwieciński</i>	
Górecko – ziemia obiecana	12
<i>Waldemar Seroka</i>	
Maria Ludwika ks. Czartoryska h. Ślepowron (1883-1958). O ostatniej z Krasieńskich dziedzicze dóbr Borowica-Zulin ...	15
<i>Jacek Kiszczak</i>	
O pałacu w Olszance	18
<i>Arkadiusz Kostecki</i>	
Olesin, Oleśnica, Oleśniki	22
<i>Lucjan Cimek</i>	
Poezja – Lucjan Cimek	23
Testament śp. Wincenty z Pęczkowskich Makomaskiej, dziedziczki dóbr Wierzychowina	23
<i>Józef Adam Dąbek</i>	
O Mikołaju Sienickim, w 450 rocznicę krasnostawskiego kaptura – cz. 3	30
<i>Monika Nagowska</i>	
Mikołaja Sienickiego przypadki	34
<i>Tomasz Sienicki</i>	
Róże na górze, w dole Siennica – oto nasza okolica	35
<i>Tomasz Sienicki</i>	
Regina Pacis	36
<i>Elżbieta Kmieć</i>	
Podsumowanie Turnieju Poetyckiego „O chmielakowy antałek” 51. Ogólnopolskiego Święta Chmielarzy i Piwowarów „Chmielaki Krasnostawskie” 2022	38
W „Moim Jaślikowie” ludzie też umierali. Słów parę o śmierci ..	42
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	

Spis treści

Poezja – Jan Orłowski	44
Moje spotkania pielgrzymkowe z papieżem Janem Pawłem II	46
<i>Marta Kafarska</i>	
Poezja – Irena Kulik	49
Poezja – Anna Buchalska	50
Siostry Konieczewskie	51
<i>Elżbieta Kmieć</i>	
Sierżant podchorąży Z cyklu: Dęblińskie przypadki	56
<i>Marian Rybczyński</i>	
Z moich zapisków	65
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Poeta z Sitnika	67
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Poezja – Henryk J. Kozak	68
Moja przygoda z pewnym wierszem Jana Henryka Cichosza	69
<i>Elżbieta Petruk</i>	
Ks. Henryk Kapica „W trosce o kondycję ducha”	70
<i>Elżbieta Patyk</i>	
Promocja nowej książki ks. Henryka Kapicy	71
<i>Elżbieta Patyk</i>	
O bramach Lublina i nie tylko	72
<i>Irena Kulik</i>	
Poetycka fregata w Chorzowie	73
<i>Wojciech Bielun</i>	
Męski Różaniec Ziemi Krasnostawskiej	78
<i>Dariusz Włodarczyk</i>	
Dzień Niepodległości w Łopienniku. Tablica	79
<i>Leszek Janeczek</i>	
Poezja – Iwona Chudoba	82
Czym jest czas?	82
<i>Wiesław Krajewski</i>	

Składamy serdeczne podziękowania za wsparcie finansowe pod adresem: Barbary Rusinek-Zdun, Elżbiety Kmieć, Bogusławy Szyszkowskiej, Stanisława Berbecia, Cezarego Pietrzaka, Marty i Ludwika Kafarskich oraz anonimowego darczyńcy. Łącznie na niniejsze wydanie otrzymaliśmy 1200 złotych z prywatnych portfeli. Dodatkowego wsparcia udzielił też starosta krasnostawski. Dzięki Państwu mogliśmy opłacić materiały drukarskie. Czy wobec ciągłych podwyżek zdołamy wydawać kolejne numery – zależy od Państwa hojności.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 25 8200 0008 2001 0012 4067 0004. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę – Zespół redakcyjny.



NR 4 (62) 2022 – ROK XVI NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Ofcyna Wydawnicza ELIPSA – Andrzej Misiura
Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnystaw
Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura
Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com
Montaż elektroniczny: Paweł Pilat
Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykula-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Andrzej Kwiecieński

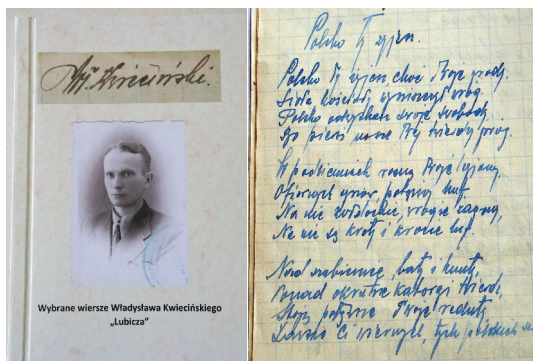
Wspomnienie o Władysławie Kwiecieńskim, dowódcy III Rejonu AK Obwodu Krasnystaw, pseudonim „Lubicz”



Mój ojciec zmarł ponad 25 lat temu, lecz do niedawna wiedziałem o nim niewiele. Przez cały okres PRL był niezwykle dyskretny co do swojej działalności w czasie wojny, unikał kontaktów z autorami książek i opracowań o ruchu oporu na Lubelszczyźnie, nie zabiegał o honory, nie próbował zweryfikować uzyskanych stopni wojskowych. W jednym ze swoich listów do przyjaciela z czasów wojny, który odnalazłem po latach, pisał, że prąf pamięć, by w razie aresztowania nie zaszkodzić innym. Docierały do mnie jedynie szczątki jego przeżyć, gdy nagle wyrwało mu się jakieś wspomnienie wywołane sytuacją, w której się znalazł.

O jego działalności konspiracyjnej są małe i w części błędne wzmianki w obszernym opracowaniu I. Cabana i Z. Mańkowskiego „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939-1944”, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1971. Nie próbował ich poszerzyć lub skorygować. Po zmianach politycznych w Polsce w 1989 cieszył się z odzyskanej wolności, lecz dalej trudno go było skłonić do wspomnień. Wraz z Karolem Kiszczakiem, poprzednikiem na stanowisku komendanta Rejonu III i przyjacielem, uczestniczył w kilku rocznicowych uroczystościach w rejonie ich działalności konspiracyjnej, lecz działało się to poza mną. Często dowiadywałem się o tych wydarzeniach już po fakcie.

Zacząłem odkrywać ojca na nowo dopiero kilka lat temu. Przeczytałem wreszcie jego prywatne notatki i korespondencję z towarzyszami broni, wydobyłem obszerne materiały z Instytutu Pamięci Narodowej, dotarłem do 95 jego meldunków do dowództwa Obwodu, które cudem ocalały i w końcu lat 2010 zostały przekazane do Archiwum Państwowego w Lublinie. Przeczytałem też jego wiersze, rozsiane po kilku pożółkłych zeszytach i notatnikach i przez prawie 70 lat schowane w najgłębszych zakamarkach jego szuflad.



Zbiór wierszy „Lubicza”, Warszawa 2019
„Polsko, Ty żyjesz”, rękopis, 1939/1940.

W ostatnich latach motorem lepszego poznania ojca była też moja coraz bliższa współpraca ze Szkołą Podstawową w Płonce, która od 19 września 2022 roku nosi jego imię. Poniższy tekst jest owocem tych poszukiwań. Jego wcześniejsza wersja jest zamieszczona na stronie internetowej szkoły. Zamieszczone poniżej fragmenty wierszy pisanych przez ojca pochodzą ze zbioru „Wybrane wiersze Władysława Kwiecieńskiego „Lubicza”” opublikowanego w 2019 roku i także zamieszczonego na stronie internetowej szkoły.

Dzieciństwo i młodość

Wiosko rodzinna mi ciebie żal,
Spokojna z dala huczących miast
Czuję twej pracy tętniący wir
co chlebem ci bywa

(Władysław Kwiecieński „Refleksje”, 1935)

Władysław Kwiecieński, dowódca III Rejonu Armii Krajowej Obwodu Krasnystaw, pseudonim „Lubicz”, urodził się 2 kwietnia 1916 w przysiółku Popławy stanowiącym część Chłaniowa, gmina Żółkiewka, województwo lubelskie. Był najstarszym dzieckiem spośród ośmiorga rodzeństwa. Dwóch braci zmarło w dzieciństwie. Pochodził z rodziny gospodarzącej od pokoleń na pograniczu ziemi krasnostawskiej i zamojskiej. Ojciec Jan pochodził z Zarudzia, a matka Zofia z domu Izdebska – z Bzowca. W 1920 r. rodzice nabyli z parcelacji 10 ha ziemi w Gdeszynie, powiat Hrubieszów i gospodarowali tam do wiosny 1936. W tymże roku gospodarstwo sprzedali i nabyli większe w Mościskach-Kolonii, powiat Krasnystaw.



Rodzice „Lubicza”, Jan i Zofia Kwiecińscy,
Mościska-Kolonia, 1969.

Siłą napędową rodziny był mój dziadek, który sam nauczył się czytać i pisać. Jeszcze przed ślubem wyjechał w celach zarobkowych na dwa lata do Kanady, a później starał się by dzieci zdobyły wykształcenie i miały znośny start do samodzielnego życia.

Przyszły „Lubicz” szkołę powszechną ukończył jeszcze w Gdeszynie. Wykształcenie średnie zdobył w Państwowym Gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie. W 1938 roku rozpoczął studia na Wydziale Rolnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, które po roku musiał przerwać ze względu na nadchodzącą wojnę.

Kampania wrześniowa

Żegnaj dziewczyno, nie płacz już,

Idziemy bronić Ojczyzny...

(ostatni uścisk, bukiet róż

zroszony drogimi łzami).

Nie płacz! – brać idziemy blizny

Na polu chwały – Bóg z nami

(Władysław Kwieciński, „Pożegnanie”, 1942)

Służbę wojskową odbył w latach 1937-38 na Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy Piechoty przy 9. Pułku Piechoty Legionów w Zamościu. Podchorążówkę ukończył w stopniu plutonowego podchorążego. Piątego sierpnia 1939 r. został powołany na ćwiczenia wojskowe do 9. PP Legionów w Zamościu. Pod koniec sierpnia został wcielony do organizującego się III batalionu tego pułku. Wraz z batalionem wyruszył na front drugie-

go września. Brał udział w walkach obronnych nad Wisłą w rejonie Puław jako zastępca dowódcy plutonu pierwszego 9 kompanii. Po przerwaniu frontu przez Niemców pod Annopolem, oddziały polskie wycofały się na południowy wschód i stoczyły bitwę pod Krasnymstawem. W czasie tej bitwy 19 września 1939 został ranny w prawą rękę, tracąc wskazujący palec. Wraz z innymi rannymi został odwieziony do szpitala wojskowego w Chełmie, który 25 września został zajęty przez wkraczające od wschodu oddziały sowieckie.



Przed wyruszeniem na front, „Lubicz” drugi z lewej, 1939.

Pod pretekstem zrobienia miejsca dla chorych lub rannych żołnierzy sowieckich, lżej ranni polscy żołnierze byli nakłaniani do wypisania się ze szpitala. Oficer sowiecki zapewniał, że opuszczający szpital zostaną odwiezieni pociągami do rejonów ich zamieszkania. Wbrew ostrzeżeniom personelu szpitala o groźbie wywózki do ZSRR, część żołnierzy, w tym podchorąży Kwieciński, postanowiła zaryzykować. Grupę składającą się z około 40 rannych w drodze do dworca kolejowego konwojowali żołnierze sowieccy i milicja w ubraniach cywilnych, lecz z czerwonymi opaskami. Po dłuższym oczekiwaniu na dworcu, zaczęto doładowywać po kilku rannych do wagonów towarowych, w których znajdowali się już rozbrojeni polscy żołnierze. Pociąg ruszył w nocy i nie zatrzymał się ani na stacji węzłowej w Rejowcu, ani na następnych stacjach aż do Ruskich Piasków. Tutaj stanął, by pobrać wodę. Wykorzystując postój i nieuwagę konwojentów, podchorąży Kwieciński wraz z kolegą Stanisławem Kleczkowskim uciekli z transportu. Do domu w Mościskach wrócił 1 października 1939 roku.

Konspiracja w czasie okupacji niemieckiej

*Krew nas nie razi z otwartej rany,
Ani przedśmiertny, nerwowy skurcz,
To jak ostatni rozkaz wydany:
Ja już odchodzę – ty Polskę służ!*

(Władysław Kwieciński „Polsce służ”, 1939/1940)

Po powrocie do domu, już na początku października 1939 r. podjął działalność konspiracyjną. Za pośrednictwem Pawła Ornala „Lisa”, wstąpił do Służby Zwycięstwu Polski, przemianowanej później na Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), a następnie na Armię Krajową (AK). W konspiracji, od października 1939 do lipca 1940 posługiwał się pseudonimem „Kwiaton”. Po aresztowaniu przez Niemców na terenie gminy Rudnik (Placówka 9) około 30 członków ZWZ, dowódcom różnych szczebli zalecono zmianę pseudonimów. W sierpniu 1940 r. przyjął pseudonim „Lubicz”, którym posługiwał się do końca wojny.

W konspiracji pełnił następujące funkcje:

- dowódca plutonu zorganizowanego w południowej części gminy Rudnik (od października 1939 do czerwca 1941),
- dowódca kompanii zorganizowanej na tym samym terenie (od lipca 1941 do czerwca 1942),
- komendant Placówki 9 – gmina Rudnik (od lipca 1942 do marca 1943),
- komendant Rejonu III (placówki – gminy Rudnik, Gorzków i Izbica), Obwodu Krasnystaw. Dowództwo Rejonem objął po Karolu Kiszczaku „Pile” (od kwietnia 1943 do lipca 1944).

Po objęciu funkcji komendanta III Rejonu AK, był awansowany na stopień podporucznika w grudniu 1943, a następnie na stopień kapitana w maju 1944. Komendantem Obwodu AK Krasnystaw był wówczas Franciszek Jarocki „Jadźwing”, a od wiosny 1944 do wkroczenia wojsk sowieckich w lipcu 1944 komendantem tegoż obwodu był Jan Wojtała „Jeż”, który objął to stanowisko z ramienia Batalionów Chłopskich po akcji scaleniowej BCH z AK.

Należąc do ruchu oporu, brał udział w wielu akcjach:

- w lecie 1943 r. dowodził oddziałem ubezpieczającym wykonanie wyroku na agencie gestapo w Tarnogórze (prawdopodobnie chodziło o Johanna Schultza – przypis A.K.),
- 11 listopada 1943 r. dowodził oddziałem, który zorganizował nocną manifestację pod gminą w Rudniku, gdzie w drugim budynku, tzw. Kasie Stefczyka, był posterunek policji. Udekorowano budynek gminy polskimi flagami i znakiem „Polska Walcząca”, a następnie odśpiewano hymn Polski i Rotę,
- w 1943 roku brał udział w dwukrotnej zasadzce na trasie Gorzków-Żółkiewka i Izbica-Zamość na Kurta Engelsa i Ludwiga Klemma, gestapowców mających swą siedzibę w Izbicy. Akcje nie powiodły się, gdyż wymienieni nie wracali w tych dniach do Izbicy. Akcją dowodził Karol Kiszczak „Piła”,
- w grudniu 1943 r. uczestniczył w rozbrojeniu załogi Wehrmachtu Stadniny Koni w Białce. Dowodził Kazimierz Kapłon „Kalina”, zastępca komendanta Obwodu AK Krasnystaw,
- w lutym 1944 r. brał udział w próbie odbicia aresztowanych Polaków, przewożonych szosą koło Białki. Zginął jeden Niemiec. Dowodził Franciszek Jarocki „Jadźwing”, komendant Obwodu AK Krasnystaw,
- w maju 1944 r. uczestniczył w wysadzeniu niemieckiego transportu kolejowego pod Kasjanem k. Krasnegostawu. Dowodził „Kalina”.



Kennkarte „Lubicz” ze sfalszowanymi danymi, 02.07.1943.



„Lubicz” (z lewej) z Karolem Kiszczakiem „Piłą”
(w środku), 1943.



„Lubicz” i „Kalina”, 1944.

Od 1943 roku na terenach przyległych do III Rejonu AK nasilała się aktywność Gwardii Ludowej, przemianowanej później na Armię Ludową (AL), i partyzantki radzieckiej. Wiosną 1943 r. Tadeusz Kuncewicz „Podkowa”, dowódca oddziału Obwodu AK Zamość, za pośrednictwem łącznika, skierował do „Lubicza” radziecki oddział dywersyjny i od tego czasu aż do lipca 1944 radzieckie oddziały partyzanckie kontaktowały się z nim przed różnymi akcjami przeciw Niemcom, w celu zasięgnięcia informacji o sytuacji w terenie.

Na początku kwietnia 1944 r. przez tereny gminy Rudnik przemaszewował silny partyzancki oddział konny AL, w którym byli również partyzanci radzieccy. Oddział był śledzony i ostrzelany przez samolot niemiecki. Wkrótce nadleciała eskadra samolotów niemieckich z Mokrego k. Zamościa, która zrzuciła bomby w rejonie Rudnika i Maszowa. W wyniku nalotu zostały uszkodzone budynek gminy i remiza strażyacka w Rudniku. Wieczorem na polach Maszowa znaleziono raną partyzantkę radziecką Anastazję Kuźniecowa. „Lubicz” zorganizował pomoc lekarską i kwaterę. Po wyleczeniu, Anastazja Kuźniecowa została przekazana Gustawowi Królowi „Cyganowi”, dowódcy oddziału AL w Chłaniowie.

Okolo 15 lipca 1944 r. zorganizował pomoc lekarską i zapewnił opiekę trzem ciężko rannym partyzantom radzieckim, którym w czasie przygotowania akcji wysadzenia torów kolejowych w rejonie Ruskie Piaski-Izbica wybuchła mina. Rannymi opiekowała się komórka AK w Płonce. Po nawiązaniu kontaktu, rannych przejął „Cygan” w celu przetransportowania ich do Lasów Janowskich, gdzie w tym czasie koncentrowały się radzieckie oddziały partyzanckie.

W lipcu 1944 r., razem z Henrykiem Grabkiem „Lenko” „Lubicz” przekazał Henrykowi Czachorowskiemu „Luszczycowi”, komendantowi I Rejonu AK w Turobinie, plany umocnień niemieckich na Bugu. Plany te otrzymane z Komendy Obwodu Krasnystaw zostały wcześniej wykradzione Niemcom. Zgodnie z poleceniem, „Luszczyc” przekazał je dowództwu radzieckich oddziałów w Lasach Janowskich.

Akcja „Burza”

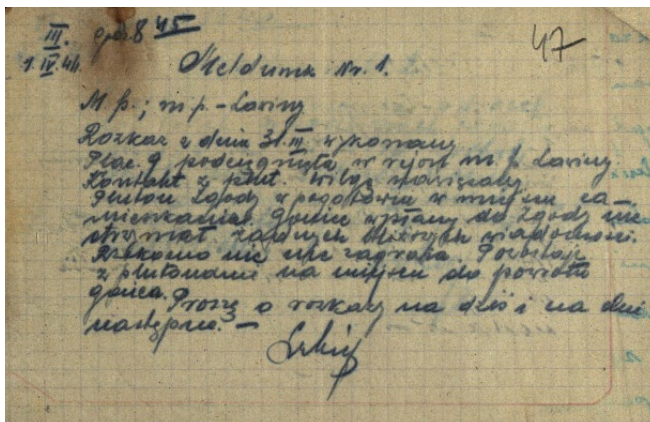
*Dla Ciebie, Polsko! Dla Ciebie!
niesiemy swe życie w dani,
Niech Cię ustrzeże Bóg w niebie,
Ty jesteś serc naszych Pani.*

(Władysław Kwieciński „Dla Ciebie, Polsko!”, 1939)

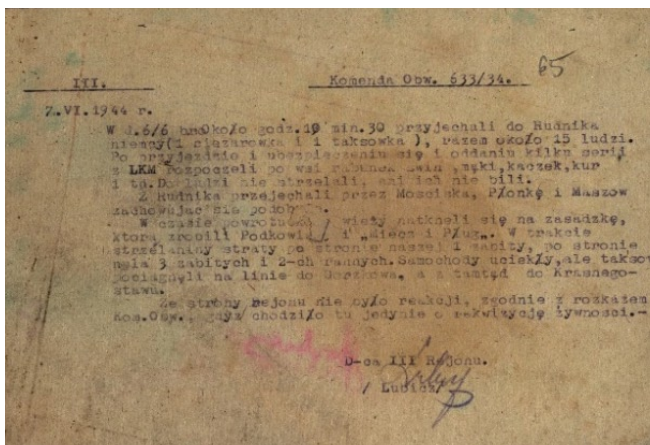
Pełniąc różne funkcje w ruchu oporu, „Lubicz” dużą wagę przywiązywał do szkolenia bojowego. W latach 1943–44 zorganizował szkołę podchorążych i szkołę podoficerską. Szkolenie w tych szkołach zakończono wiosną 1944 r. W archiwum w Lublinie przechowywanych jest kilkadziesiąt meldunków „Lubicza” dotyczących postępów w szkoleniach, liczbie uczestników, posiadanego uzbrojenia, proponowanych awansów itp. Jednym z celów szkoleń było przygotowanie do powstania powszechnego, które w 1943 r., wobec zbliżającego się frontu wschodniego, przyjęło formę akcji „Burza”, czyli operacji wojskowej, która miała być zorganizowana i podjęta przez oddziały AK przeciw wojskom niemieckim w momencie bezpośrednio poprzedzającym wkroczenie Armii Czerwonej. Rozkaz do jej rozpoczęcia wydał w listopadzie 1943 r. komendant główny AK, generał Tadeusz Komorowski.

W czasie „Burzy” Lubicz był adiutantem dowódcy II batalionu 7. Pułku Piechoty Legionów, zgrupowania powstałego w maju 1944 roku. Pułk składał się z czterech oddziałów partyzanckich i nawiązywał do przedwojennych struktur Wojska Polskiego. Dowódcą pułku był Franciszek Jarocki „Jadźwing”, a dowódcą batalionu – Kazimierz Kapłon „Kalina”. W skład II batalionu wchodził utworzony wiosną 1944 r. oddział partyzancki dowodzony przez Jana Małką „Zręba”. Oddział o kryptonimie OP7/II liczył około 120 żołnierzy. Do oddziału tego „Lubicz” dołączył w lipcu 1944 r.

Z pierwszym ugrupowaniem Armii Czerwonej oddział „Zręba” zetknął się już w lesie koło Białki w czasie marszu do Krasnegostawu. „Zręb” подарował sowieckiemu dowódcy konia. Oddział przybył do Krasnegostawu 25 lub 26 lipca 1944 r., a następnie rozlokował się na łące przy drodze z Krasnegostawu w kierunku Gorzkowa. Przybył tam „Jadźwing”, który wraz z „Kaliną”, „Zrębem” i „Lubiczem” udał się do dowódcy wojsk sowieckich w celu nawiązania kontaktu. Dowódca sowiecki nie zajął stanowiska w sprawie współdziałania w walce z Niemcami. Poinformował jedynie, że porozumie się w tej sprawie ze swoim przełożonym. Po powrocie do oddziału „Zręba”, na rozkaz „Kaliny” „Lubicz” udał się do Wierchowiny, aby przyspieszyć przybycie oddziałów z Rejonu I do punktu koncentracyjnego 7 PP Legionów w Surhowie. Po dwóch dniach, „Lubicz” przybył wieczorem do



Meldunek „Lubicza” do Komendy Obwodu, kwiecień 1944.



Meldunek „Lubicza” do Komendy Obwodu, czerwiec 1944.

Surhowa, gdzie już oprócz oddziału „Zręba” znajdowało się kilka oddziałów z najbliższych terenów. „Jadźwing” zarządził odprawę dowódców skoncentrowanych oddziałów. Poinformował zebranych, że aresztowano niektóre osoby z Komendy Okręgu w Lublinie i że skoncentrowanym oddziałom grozi rozbrojenie przez Sowieców. W związku z tym wydał rozkaz zaprzestania dalszej koncentracji i rozejścia się oddziałów już zgromadzonych do swoich placówek. W tej sytuacji „Lubicz” wrócił wraz z około 20 żołnierzami AK na teren Placówki 9, gmina Rudnik.

Konspiracja po „wyzwoleniu”

*Nad szubienice, baty i knuty,
Ponad okrutne katorgi twierdz,
Stoją potężne Twoje reduty,
Zawsze Ci wiernych, tych polskich serc.*

(Władysław Kwieciński, „Polsko, Ty żyjesz”, 1939/1940)

Po wejściu wojsk sowieckich w lipcu 1944 r., kontynuował działalność konspiracyjną. Sowiecki NKWD wraz z lokalnym Urzędem Bezpieczeństwa (UB) kilkakrotnie przeprowadzały rewizję w domu rodziców „Lubicza” w Mościskach. Przez dobę przetrzymywali w areszcie ojca, usiłując wymóc na nim wskazanie miejsca pobytu „Lubicza”. W październiku 1944 NKWD aresztowało i wywiozło do Związku Radzieckiego młodszego brata „Lubicza”, Stanisława ps. „Kosa”. Pracował tam między innymi przy wyrębie i spalaniu drewna, budowie kolei oraz w kopalniach węgla i złota w okolicach Swierdłowska, obecnie Jekaterynburga, na Uralu. Wrócił schorowany do Polski w listopadzie 1947 roku.

W październiku 1944 r. odbyła się w Niemienicach k. Krasnegostawu narada Komendy Obwodu i komendantów rejonów, w tym „Lubicza”, w sprawie dalszej działalności konspiracyjnej. Naradę prowadził Kazimierz Kapłon „Kalina”. W czasie jej trwania padło stwierdzenie, że na tym terenie dowództwo AK jest „spalone”. Rozważano możliwość przejścia najbardziej zagrożonych do pracy konspiracyjnej na innych terenach. Projekt ten odrzucono, ponieważ nie chciano opuszczać szeregowych żołnierzy AK, którzy również byli narażeni na represje ze strony NKWD i UB.

Dla „Lubicza” działalność konspiracyjna po lipcu 1944 r. była kontynuacją działalności poprzedniej – pozostał komendantem Rejonu III Obwodu Krasnystaw. Przyjął nowy pseudonim „Przełęcz” i używał go przy podpisywaniu niektórych meldunków lub rozkazów. Ponieważ przebywał na tym samym terenie i wśród tych samych ludzi, z którymi miał do czynienia w czasie okupacji niemieckiej, praktycznie do końca konspiracji pozostał jednak „Lubiczem”. Komendantem Obwodu i jednocześnie bezpośrednim przełożonym był wówczas Kazimierz Kapłon „Kalina”. Tę funkcję przejął po Janie Wojtalu „Jeżu”, który po wejściu wojsk sowieckich przeszedł do pracy politycznej w ruchu ludowym. Pomimo formalnego rozwiązania AK w styczniu 1945 r., uczestnicy ruchu oporu nadal czuli się żołnierzami tej organizacji.

Jesienią 1944 roku, prawdopodobnie w październiku, zamierzano odbić więźniów osadzonych przez NKWD i UB w Krasnymstawie. W tym czasie na terenie powiatu krasnostawskiego przebywał Tadeusz Kuncewicz „Podkowa” ze swoim oddziałem, który w czasie okupacji niemieckiej działał przeważnie na terenach powiatów zamajskiego i biłgorajskiego. „Lubicz” otrzymał rozkaz, aby wzmocnić oddział „Podkowy” oddziałem z Rejonu III. Miał dołączyć do „Podkowy” w lesie koło Białki. Po przybyciu na miejsce z oddziałem liczącym około 30 osób, od łącznika z Komendy Obwodu dowiedział się, że akcja została odwołana. Oddziału „Podkowy” już nie zastał, lecz ich spotkanie nastąpiło poza obrębem lasu. „Podkowa” wcześniej dowiedział się o odwołaniu akcji i dlatego opuścił las przed przybyciem „Lubicza” i jego ludzi.

Studia i ujawnienie się

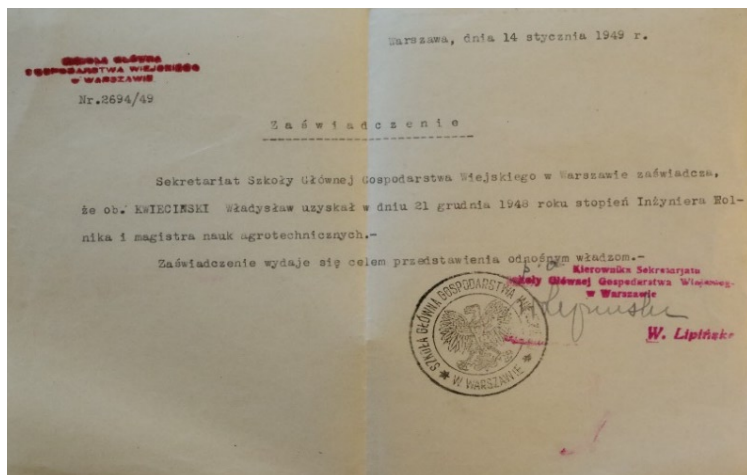
*O, życie!
Słoneczne promienie
i wiośniana rosa
nie żłobią twych kolei,
ciebie orać trzeba
potężnym ramieniem,
by czarnego chleba
zdobyć tym, co proszą,
wśród twoich zawiei.*

(Władysław Kwieciński „O, życie!”, 1941)

W końcu sierpnia 1945 r. wyjechał do Warszawy, aby kontynuować rozpoczęte przed wojną studia na SGGW. Ten wyjazd zakończył jego działalność konspiracyjną. Broni nie oddał, prawdopodobnie zakopał ją w pobliżu gospodarstwa rodziców. Przez ponad rok nie pokazywał się na terenie powiatu krasnostawskiego. Kontakty z kolegami, z którymi współdziałał w czasie wojny były rzadkie i na ogół przypadkowe.



Student SGGW, Warszawa, 1945.



Inżynier rolnik i magister nauk agrotechnicznych, grudzień 1948.

Ujawnił się 13 października 1945 przed Komisją Likwidacyjną byłych Batalionów Chłopskich w Lublinie, w której brał udział Jan Wojtała „Jeż”, ostatni komendant Obwodu Krasnostaw w czasie okupacji niemieckiej. Studia zakończył w grudniu 1948 roku. Egzamin dyplomowy złożył z wynikiem bardzo dobrym, uzyskując tytuł inżyniera rolnika i magistra nauk agrotechnicznych.

Z dokumentów IPN

*Kocham ręce pracujące
bez nagrody
Serca Polskę miłującą
i swobodę*

(Władysław Kwieciński „Kocham Polskę”, 1939)

Pomimo ujawnienia się, „Lubicz” był śledzony przez bezpiekę i jej konfidentów do co najmniej 1953 r. W zestawieniu byłych dowódców organizacji Wolność i Niezawisłość (WiN) przygotowanym w 1951 przez UB Krasnostaw dla Naczelnika Wydziału III UB w Lublinie znajdują się charakterystyki 84 osób. Pod numerem 26 jest następujący tekst (pisownia oryginalna): *Kwiecinski Władysław ps. „Lubicz” s. Jana i Zofii z d. Izdebskich, narodowosc polska, wyznanie rzym-kał, ob. polskie, stopien wojs. plutonowy podchor. ostatni adres Warszawa. Od 1935 r. byl w wojsku w stopniu plutonowego podchor. do 1939r. W czasie okupacji nalezal do org ZWZ nastepnie do A.K. gdzie byl jako dowodca rej. gminy Rudnik gdzie zwalczal ruch postepowy, oraz wrogo ustosunkowany byl do ZSRR i ustroju ludowego. Po wyzwoleniu Polski nie przestajac swej dzialalnosci jak rowniez 1945r. nie ujawnil sie lecz w dalszym ciagu pozostal w konspiracji jako dowodca placowki WIN utrzymujac kontakty z kom, obw. Krasnostaw ps. „Jezem” i wice inspektorem inspektoratu Chelm nielegalnej org. „Win”, oraz w dalszym ciagu pozostal w konspiracji nie ujawniajac sie z przynaleznosci do org WIN.*

W 1946r wyjechał na Z.O. do woj. "lubelskiej".
 26/ Kwieciński Władysław ps. "Lubicz" s. Jana i Zofii z d. Izdebskich, narodowość polska, wyznanie rzym-kat, ob. polskie, stopień wojskowy plutonowy podchor. ostatni adres Warszawa.-
 W 1935r był w wojsku w stopniu plutonowego podchor. do 1939r. W czasie okupacji należał do org. ZWZ następnie do A.K. gdzie był jako dowódca rej. gminy Rudnik gdzie zwalczał ruch postępowy, oraz wrogo ustosunkowany był do ZSRR i ustroju ludowego.- Po wyzwoleniu Polski nie przeszedł na stronę władzy jak również 1945r nie ujawnił się lecz w dalszym ciągu pozostał konspiracją jako dowódca placówki WłN utrzymując kontakty z kom. obw. Krasnystaw ps. "Jezem" i vice inspektorem inspektoratu WłN nielegalnej org. "WłN", oraz w dalszym ciągu pozostał w konspiracji nie ujawniając się z przynależności do org. WłN.-
 W 1946r wyjechał na Z.O. do woj. "lubelskiej" z d. 27.XII.1946r

Z Komunikatu UB Krasnystaw do UB w Lublinie, 1951.

Rzadkie wizyty „Lubicza” w Mościskach pociągały za sobą donosy o tym, gdzie był, z kim się spotkał i co mówił. Kilka raportów podpisanych imieniem i nazwiskiem, było przygotowanych przez lokalnych funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej (MO). Szczególnie jednak aktywni na tym polu byli lokalni „nadający”, czyli donosiciele kryjący się pod różnymi pseudonimami. Teczka UB w Wydziale „C” pod kryptonimem 1285/II zawiera 15 takich „ściśle tajnych” donosów z lat 1946-1952. Jeden z nich, „nadany” w sierpniu 1952 r., sugerował, że na wiosnę 1946 w Joaninie „Lubicz” dowodził zasadzką na funkcjonariuszy MO. Zarzut ten był następnie powtarzany w niektórych innych dokumentach UB, choć dodawano, że jest to „informacja operacyjna” i niezwyfikowana.

Pewną trudnością dla bezpieki było ustalenie miejsca zamieszkania „Lubicza”. Świadczy o tym rozkazy powiatowego UB w Krasnystawie skierowane do komendanta MO w Rudniku o ustalenie miejsca pobytu „Lubicza”, najpierw w maju 1951 r. i ponownie w kwietniu 1953. Poszukiwano go m.in. w Gdańsku. Po ustaleniu, że pracuje w okolicach Jędrzejowa (prawdopodobnie na podstawie donosu), parokrotnie wzywano go na przesłuchania do UB w Jędrzejowie i Kielcach. Ostatni dokument w teczkach UB pochodzi z końca 1968 roku, gdy sprawdzano jego przeszłość „w związku z prowadzonym rozpracowaniem osób podejrzanych o dokonanie przestępstw na szkodę Lubelskiej Wytwórni Tytoniu Przemysłowego w Lublinie”.

Praca zawodowa

*By Cię nie dotknęło piętno
 ty zjadaczu chleba,
 po tym życiu, co nam dane,
 coś zostać trzeba.*

(Władysław Kwieciński „Do zjadacza chleba”, 1941)

Po ukończeniu studiów na SGGW, w styczniu 1949 roku podjął pracę w Ośrodku Doświadczalnym Hodowli i Uprawy Tytoniu w Skroniowie k. Jędrzejowa (woj. kieleckie). Pracował jako instruktor, a następnie inspektor i kierownik doświadczalnictwa. Tu spotkał swoją przyszłą żonę Reginę Nadolską pochodzącą z Rońska k. Krasnegostawu. Pobrali się w 1953 r. W Jędrzejowie urodziły się dzieci Andrzej i Elżbieta.

Pracując w Ośrodku, był współhodowcą kilku nowych odmian tytoniu oraz przyczynił się do



„Lubicz” z prawej, Ośrodek Doświadczalny Hodowli i Uprawy Tytoniu w Skroniowie, 1962.

aklimatyzacji wielu innych, które później były uprawiane na dużą skalę w całym kraju. W styczniu 1957 r. przeszedł do pracy w organizującym się Centralnym Laboratorium Przemysłu Tytoniowego w Krakowie. Pracował na stanowisku starszego asystenta – kierownika Pracowni Agrotechnicznej.

We wrześniu 1957 r. podjął pracę w Jędrzejowskiej Wytwórni Przemysłu Tytoniowego jako główny inżynier – zastępca dyrektora. W 1964 r. nastąpiło połączenie Jędrzejowskiej Wytwórni Tytoniu Przemysłowego z Wytwórnią Papierosów w Radomiu. Ponieważ stanowiska dyrektorskie były zarezerwowane dla członków PZPR, a Kwieciński ponownie odmówił wstąpienia do partii, został przeniesiony służbowo do Zjednoczenia Przemysłu Tytoniowego w Warszawie. W rezultacie, w 1964 roku przeprowadził się z rodziną do Warszawy.

W Zjednoczeniu pracował na stanowiskach: głównego specjalisty, zastępcy naczelnika Wydziału Uprawy, Kontraktacji i Skupu Tytoniu oraz naczelnika Wydziału Produkcji i Techniki. Był współautorem podręcznika „Tytoń” wydanego przez Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne w 1969 r. oraz wielu broszur i opracowań, a także artykułów popularnonaukowych i instruktażowych zamieszczonych na łamach „Wiadomości Tytoniowych”. Przez wiele lat był aktywnym członkiem Naczelnej Organizacji Technicznej.

Na emeryturę przeszedł 1 listopada 1980 roku. Z zapałem uprawiał działkę i uczestniczył w wychowaniu wnuków. Do końca życia pisał artykuły do „Wiadomości Tytoniowych” i był jednym z redaktorów tego pisma.

Przez przypadek, w 1992 r. nawiązał kontakt ze Stanisławem Kleczkowskim, z którym zbiegł z sowieckiego transportu w końcu września 1939. Nie mieli kontaktu ze sobą przez 52 lata. W 1993 został członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Zmarł w Warszawie 2 października 1996 roku, w wieku 80 lat.

Stopnie wojskowe i odznaczenia wojskowe i cywilne

Dopiero w 1992 zweryfikował swój stopień kapitana, na który został mianowany w czasie oku-

pacji. Po złożeniu posiadanych dokumentów, stopień ten został zatwierdzony rozkazem personalnym Ministerstwa Obrony Narodowej nr 53 z dnia 30 maja 1992. Do tego czasu w jego książeczce wojskowej miał wpisany stopień szeregowca. W marcu 1996 r., minister obrony narodowej mianował go na stopień majora.

Za działalność w czasie wojny i za pracę zawodową otrzymał następujące odznaczenia:

- Krzyż Armii Krajowej – leg. nr 26234, Komisja Krzyża, Londyn, 5 sierpnia 1982,
- Medal Wojska po raz 1, 2, 3 i 4 – leg. nr 29413, Ministerstwo Obrony Narodowej, Londyn, 15 sierpnia 1948,
- Krzyż Kampanii Wrześniowej – leg. nr 8195, Ministerstwo Spraw Wojskowych, Londyn, 15 sierpnia 1985,
- Krzyż Partyzancki – leg. nr 2652-83-31, uchwała Rady Państwa, Warszawa, 28 września 1983,
- Medal Zwycięstwa i Wolności – leg. nr 3147-83-4, uchwała Rady Państwa, Warszawa, 28 września 1983,
- Medal za Udział w Wojnie Obronnej 1939 – leg. nr 313-82-60 MW, uchwała Rady Państwa, Warszawa, 14 lipca 1982,
- Złoty Krzyż Zasługi – leg. nr I-38418, uchwała Rady Państwa, Warszawa, 22 lipca 1964,
- Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski – leg. nr 725-90-7, uchwała Rady Państwa, Warszawa, 21 maja 1980.

Ku jego pamięci, 3 września 2018 został posadzony dąb oraz umieszczona tablica pamiątkowa w sąsiedztwie Szkoły Podstawowej w Płonce, a 19 września 2022 r. szkoła ta przyjęła „Lubicza” jako swego patrona.

*Przygotował Andrzej Kwieciński,
syn „Lubicza”, na podstawie notatek
i dokumentów osobistych „Lubicza”,
materiałów Instytutu Pamięci Narodowej
i dokumentów Archiwum Państwowego
w Lublinie*

Waldemar Seroka

Górecko – ziemia obiecana



*Przeżytych kształtów jakiś cud
przywróci do istnienia...*

*A mnie się marzy, by Górecko
ocalić od zapomnienia.*

Za górami, za lasami, za głębokimi jarami jest wieś Górecko. Za sanacji jeździło się tam wyrabiać samodziół na pionowych krosnach, za Niemców – po karabiny, a za demokracji – na „party” przy księżycu i... „księżycówce”. Droga z Ostrzycy do Górecka wiodła przez Bobliwo, a na szagę – przez las za Ostrówkiem lub przez Okręgłak koło Wirkowic. Drogi były polskie – gruntowe, a grunty lessowe, więc po deszczu strach było tam się zapuszczać nawet piechotą. Ale zostajmy przy karabinach.

Cała okolica wiedziała, że można tam było kupić prawdziwe cacka. Modne kawaleryjskie mousery, visy, granaty i amunicję fasowano od ręki. Na erkaem typu Browning – ze względu na cenę – przyjmowano zlecenie. A wszystko przedniej jakości – z Warszawskiej Fabryki Karabinów lub radomskiego „Łucznika”. Ceny kształtowały się na poziomie 400-600 złotych za karabin, przy średniej płacy robotnika 200 złotych miesięcznie. Za nagana trzeba było dać 500 złotych, a za visa 650¹. Ceny broni maszynowej szły już w tysiące. Wprawdzie odgórne instrukcje AK zakazywały „wykupowania broni od ludności własnej”, lecz jej posiadanie było często warunkiem przyjęcia do konspiracji. Tak więc handel bronią stał się wkrótce zjawiskiem powszechnym.

Tylko skąd, u licha, taka broń na tym zadupiu? Wszak we wrześniu nie było tu żadnych bitew, ani rozbrajania się oddziałów Wojska Polskiego. Okazało się, że pochodziła... z Górecka! Z Górecka Starego w gminie Aleksandrów koło Biłgoraja, odległego stąd o 50 kilometrów. Aby zrozumieć w czym rzecz, trzeba się cofnąć do lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia, gdy w Ordynacji Zamojskiej likwidowano serwituty.

Uwłaszczenie włościan w 1864 roku dawało im, oprócz ziemi, prawo do serwitutów, czyli prawo korzystania z dworskich łąk, pastwisk i lasów poprzez pasienie bydła, oraz pozyskiwanie drewna na opał i budulec. Wobec masowego wyrębu, szczególnie w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości, lasom ordynackim zaczęła grozić dewastacja ze strony prawie 16 tysięcy serwitutantów, którzy ulegając radykalizacji nastrojów, uważali je za swoją własność. Aby do tego nie dopuścić, administracja ordynacka zaczęła nakłaniać chłopów do zrzekania się, w drodze dobrowolnych umów, ze służebności i gruntów ukazowych w zamian za tak zwany ekwiwalent zaserwitutowy w postaci kilkumorgowych parcel gruntów ornych.

Taką umowę zawarło kilkadziesiąt chłopów z Górecka Starego – wsi zagrodniczej z dominacją kartowatych osad włościańskich na piaszczystych zagonach. Ich właściciele żyli dotąd bardziej z lasu niż z roli, więc gdy zarząd ordynacji złożył im korzystną ofertę, przystali na to z ochotą. Ale urzędnicy, chcąc ich okpić, zamiast obiecanej „dobrej ziemi” w powiecie krasnostawskim, próbowali im wcisnąć jałowiznę pod Szczecbrzeszynem. Oburzeni chłopci wnieśli do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych skargę, co poskutkowało przydzieleniem im wreszcie upragnionej pszennej ziemi.

Na krańcach ordynackich gruntów, na styku powiatu zamojskiego z krasnostawskim odłogowały, od czasów „wielkiego cięcia”, ogromne połacie gruntów poleśnych. Na północ od Wirkowic rozciągała się rozległa nowina, na której urządzili się osadnicy spod Księżpola². Bieda wygnała ich z przysiółka Pniaki – integralnej części wsi Lipowiec w powiecie biłgorajskim. I tak, z biegiem czasu, powstał tu nowy przysiółek – Pniaki koło Wirkowic.

Obszar od południa, od strony Bobliwa, przypadł kolonistom z Górecka Starego. Każdy z nich, w zależności od wielkości gospodarstwa tabelowego, otrzymał od 5 do 7 mórg ziemi, której każdą piędź musiał wydrzeć leśnej porębą własnymi rękoma. W roku 1930 rozpoczęła się przeprowadzka. Rozebrane budynki ładowano na fury i wiooo! – do „ziemi obiecanej”. Tu na nowo je zestawiono i tak doszło do „lokacji” Górecka – na „surowym korzeniu” i kolonijnym charakterze zabudowy wsi. Stała się ona

¹ I. Caban, Z. Mańkowski. *ZWZ i AK w Okręgu Lubelskim 1939-1944 Część II – Dokumenty*. Lublin 1971, ss. 132-133 i 326.

² Relacja Jerzego Teligi z Izbicy.

życiową przystanią dla 22 rodzin o obco tu brzmiących nazwiskach: Adamowicz, Blicharz, Bździuch, Dobek, Dubaj, Ferens, Gontarz, Gołąb, Grochowicz, Karczewski, Łazorczyk, Malec, Marek, Puźniak, Stefański, Studnicki, Świstek, Ziółkowski³. A gdy słynni studniarze Świstek i Grochowicz wykopali głęboką na 50 metrów studnię, można już było jakoś żyć⁴.

Na przedwojennej sztabówce nazwa topograficzna Górecko odnosi się do wsi samoistnej o tej samej nazwie, ale w księgach parafialnych figuruje jako Kolonia Wirkowice (gmina Nielisz, powiat zamojski). Parafia tarnogórska, do której przypisano Górecko, należała wraz z Izbicą do gminy Tarnogóra, ale z siedzibą w Izbicy. Natomiast dzieci z Górecka poszły do szkoły w Bobliwie, gmina Gorzków: – *W roku 1931 obwód szkolny [w Bobliwie] powiększył się o Kolonię Wirkowice. Liczba uczniów wzrosła o 50 i w latach trzydziestych dochodziła do 90⁵*. Kończąc ten wątek pełen administracyjnych paradoksów, można jeszcze dodać, że do roku 1935 mieszkańcy „nowego” Górecka jeździli do Starego obrabiać dawne grunty ukazowe. Dopiero interwencja komornika przerwała ten proceder.

Był początek października 1939 roku. Pogasy już ogniska wrześniowych walk, jedynie na Polesiu generał Kleeberg nie składał broni. W Górecku Kościelnym trwały przygotowania do odpustu na świętego Franciszka. Był to już czwarty tego roku odpust w parafii, ale pierwszy w nowych realiach. Mieszkańcy naszego Górecka też się do niego spobili, głównie z ciekawości i troski o los swoich bliskich – wszak przez ich rodzinne strony przetoczyła się wojenna nawałnica.

– *Gdy przyjechaliśmy do Górecka* – opowiada Stanisław Ferens (rocznik 1925) – *za stodołą u naszych kuzynów stała armata, a przy niej stos artyleryjskich pocisków. Wszędzie wałały się wielkie*

ilości porzuconej broni i amunicji, którą co przytomniejsi zbierali i chowali. Najprostszym sposobem ukrycia było wrzucenie jej do Bździny [potok Szum], byle tylko nie wpadła w ręce Niemców. Dopiero później była czyszczona i konserwowana.

Taki stan rzeczy zastał Ferens, gdy walczące tu oddziały WP złożyły już broń. Tydzień wcześniej, 26 września wieczorem, generał Emil Przedzrymirski podpisał w lesie koło Górecka Kościelnego kapitulację swojej armii, – *w myśl której oddziały polskie miały składać broń w Tereszpolu dnia 27 września. W nocy z 26 na 27 września przystąpiono na wielką skalę do niszczenia sprzętu. Od rana 27 września rozpoczęła się kapitulacja. [...] Komunikat Naczelnego Dowództwa niemieckiego z 27 września podaje: Do niewoli zostało wziętych: 500 oficerów [...] i 6000 ludzi⁶.*

Po niemieckiej klęsce pod Stalingradem nastąpił żywiołowy rozwój ruchu partyzanckiego. Gwałtownie też wzrosło zapotrzebowanie na broń. Górecko i Pniaki stały się wkrótce partyzanckimi bazami. Korzystne położenie – z dala od świata i bitych dróg, oraz bliskość lasów sprawiło, że zamojskie oddziały BCh „Wichra”, „Głaza” i „Kmiecia” oraz „Żandarma” z Tarnogóry, urządziły tu swój garnizon. Oprócz nich gościły tu także oddziały partyzantki sowieckiej i AL, a w samych Wirkowicach i Bobliwie działały dobrze zorganizowane struktury Armii Krajowej.

Pierwsze karabiny, przywiezione jeszcze w początkach okupacji, rozeszły się jak przysłowio-we bułeczki. Trafiły w większości do oddziału „Wichra”, który odtąd stale korzystał z usług Szczepana Ferensa, głównego organizatora i koordynatora dostaw. To on (Ferens) wpadł na pomysł, aby wykorzystać do tego furmanki z podwójnymi dennicami jako schowki na broń. Aby wyjazd był „legalny”, oprócz obroku dla koni, trzeba było też zabrać kosę, grabie, widły – na co Niemcy dawali się nabrać – oraz kennkartę z adnotacją *Górecko Stare* w rubryce *Geburtsort* (miejsce urodzenia). Resztę pozorów legalności dopełniały stare kwity i nakazy podatkowe sprzed regulacji stosunków własnościowych.

– *Po jakimś czasie* – wspomina Stanisław Ferens – *gdy akcje wysiedleńcze na Zamojszczyźnie osiągnęły apogeum, wyprawy furami stały się*

³ Wg. relacji Zofii Łazorczyk i Stanisława Łazorczyka z Górecka, część kolonistów osiadła w tym samym czasie w Hubalach pod Zamościem i w gminie Gorzków. Wcześniej, na początku lat 20. XX wieku w Górnie k. Tomaszowa Lubelskiego pojawili się koloniści z Górecka Starego i Kościelnego, którzy zakupili (?) tutaj ziemię... Patrz E. i J. Niedźwiedz oraz M. Czubaj-Gancarz: *Dzieje miejscowości gminy Tomaszów Lubelski*, 2021 ss. 64-65.

⁴ Relacja Jerzego Teligi.

⁵ E. Kmieć. *Historia szkół w gminie Izbica w XX wieku (zarys)*, Izbica 2012 s. 49.

⁶ L. Głowacki. *Działania wojenne na Lubelszczyźnie w roku 1939*. Lublin 1976, s. 172.

zbyt ryzykowne. Wyruszaaliśmy więc piechotą, najczęściej pod wieczór, a o świcie byliśmy na miejscu. Gorzej było w drodze powrotnej: dzwigaliśmy po dwa-trzy karabiny i amunicję. Do tego mogliśmy iść tylko nocą, obchodząc z dala wsie nasiedlone „Czarnymi”. Zdarzało się, szczególnie letnią porą, że brakowało nocy, by dojść do domu. Wtedy melinowaliśmy u znajomych Marcina Ferensa w Płonce lub Rudniku i o zmroku ruszaliśmy dalej...

Ile tej broni z wrześniowych pobojuwisk Roztocza trafiło w ręce naszej partyzantki – nie sposób dziś dociec. Nie ulega jednak wątpliwości, że wkład mieszkańców Górecka w dozbrajanie oddziałów BCh i placówek III Rejonu AK (Gorzków-Izbica-Rudnik) był nie do przecenienia. Przy okazji warto też wspomnieć o nowym rodzaju uzbrojenia, jakie pojawiło się wraz z przybyciem tu pierwszych rajdowych oddziałów partyzantki sowieckiej.

Na osi ich marszu do Puszczy Solskiej i Lasów Janowskich leżało Górecko, gdzie za dach nad głową nie żądano zapłaty, wszak „gość w dom – Bóg w dom”, ale za спирт na żytnim zacierze trzeba było płacić jak za zboże⁷! Płacili bronią, którą można było łatwo spieniężyć. W taki sposób pluton terenowy AK Ostrzyca-Mchy-Kolonia Tarnogóra (z Ostrówkiem) „zdobył” przeciwpancerną rusznicę PTR (*protiwo tankoweje rużjo*) i samopowtarzalny karabin, tzw. samozariadkę z wymiennym magazynkiem na 10 nabojęw. I choć strzelać z niego można było tylko ogniem pojedynczym, to dzięki większej szybkostrzelności, stanowił namiastkę broni maszynowej.

Słynne pepesze (*Nic tak nie cieszy, jak seria z pepeszy!*) stały się wyłącznym atrybutem AL-owców z Piask Szlacheckich, ale dopiero, gdy front był na Bugu. Wcześniej i oni zaopatrywali się w Górecku: *Sprzedaliśmy spirytus* [zdobyty w Surhowie] i za uzyskane pieniądze kupiliśmy dodatkowy pistolet. Wraz z „Boleszczycem” udaliśmy się [w styczniu 1944 r.] do kolonii Górecko, do Jana Łazorczyka. On i jego sąsiedzi handlowali bronią, którą przywozili z powiatu biłgorajskiego. Jan Łazorczyk dawno już nie był w Biłgorajskim, a to, co miał wcześniej, już sprzedał. Po dłuższym namyśle powiedział, że jest tu jeszcze jedna „siódemka”. Po chwili wy-

ciągnął ją gdzieś z łózka, ze słomy. Kiedy wymienił cenę, nie targowaliśmy się wcale. Nosiliśmy ją z „Boleszczycem” na zmianę. Jeden tydzień on nosił „siódemkę”, a ja nagana, w następnym tygodniu było odwrotnie⁸.

Ten dryg mieszkańców Górecka do organizowania dostaw broni, wbrew pozorom, nie wynikał li tylko z chęci zysku. Ci biedni ludzie nieustannie ryzykowali życiem swoim i swoich najbliższych i dlatego to, co robili, należy cenić na równi z bohaterstwem na polu walki. Ten kapitał zasług dla konspiracji sprawił, że jeszcze wiele lat po wojnie Górecko otaczała aura partyzanckiej legendy. Mówiono, że ludzie śpią tu na karabinach, że gdyby tak poszukać...

Dziś Górecko jest wsią opustoszałą. Z 22 numerów pozostało 4. Próżno szukać jej pierwotnej nazwy w urzędowych papierach. Nawet w mowie potocznej mówi się coraz częściej „Wirkowice Drugie”. Wprawdzie na mapie GUGiK jest Górecko, ale nie jako wieś samoistna, lecz przysiółek tworzący wraz z innymi (Bryczówki, Bukowiec, Choiny, Hektary, Jażwiny, Kościelna Droga, Okręglak, Pniaki i Wygon) Wirkowice Drugie w gminie Izbica.

Miejsca dawnych siedlisk znaczą dziś kępy tureckiego bzu i wyniosłe korony starych odmian czereśni. Gdzieś tam można spotkać opustoszałe domostwo. Mimo pozornej martwoty, warto tu zajrzeć. Trzeba się tylko wspiąć szerokim gościńcem na Garbaty Pagór (280 metrów n.p.m.), by się zachłysnąć „górskim” pejzażem, gdzie w cieniu wiekowych lip skrył się Chrystus przydrożny – świadek znojnego żywota kilku pokoleń mieszkańców wsi. Tu warto przycupnąć na chwilę i patrzeć... jak Madonna wypatrująca. A komu obca jest radość wędrowania, niech wjedzie wyciągiem na stok w Bobliwie, by u swych stóp mieć „Bieszczady”:

A ponad nami jasnym pyskiem,
Zabyłśnie, rozwiewając spleen
Księżyc nad Kościeliskiem
Księżyc nad Kościeliskiem, beguine, beguine
(W. Młynarski)

Waldemar Seroka

⁷ Oficjalna cena litra wódki kupowanej za bony premiovne wynosiła 11 złotych, zaś cena czarnorynkowa 120 złotych – tyle samo co kilogram słoniny lub masła.

⁸ J. Błażejczyk. *Zanim przyszło nowe*. Wyd. MON 1979, s. 100.

Jacek Kiszczak

Maria Ludwika ks. Czartoryska h. Ślepowron (1883-1958).
O ostatniej z Krasińskich
dziedzicze dóbr Borowica-Żulin



Maria Ludwika Joanna Józefa z hrabiów Krasińskich księżna Czartoryska herbu Ślepowron urodziła się 24 marca 1883 r. w Warszawie. Jej ojcem był hrabia Ludwik Józef Adam Krasiński (1833-1895), a matką Magdalena Zawisza-Kierzgajło h. Łabędź (1861-1945). Ojciec – szambelan austriacki, kawaler honorowy maltański, finansista i przemysłowiec, przekształcił dotychczas zaniedbane gniazdo rodowe w Krasnem, w ziemi ciechanowskiej, w nowoczesny i wyróżniający się w skali kraju majątek ziemski. Znany był także jako społecznik, który w latach 80. XIX wieku zainteresował się głodującymi Kurpiami¹ oraz był współautorem pięciotomowej „Encyklopedii rolnictwa i wiadomości związek z niem mających”. Matka Maria Magdalena Radziwiłłowa, *de domo* Zawisza-Kierzgajło była znaną białoruską działaczką narodową i filantropką².



Hrabia Ludwik Józef Adam Krasiński h. Ślepowron
(źródło: P.P. Cypla, „Ostatni hrabia na Krasnem Ludwik Józef Adam Korwin-Krasiński herbu Ślepowron”, Warszawa 2015).

Maria Ludwika ks. Czartoryska h. Ślepowron (1883-1958)



Maria Magdalena Radziwiłłowa, *de domo* Zawisza-Kierzgajło h. Łabędź (źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Maria_Magdalena_Radziwi%C5%82%C5%82owa#/media/Plik:MagdalenaZavisha.jpg).



Maria Ludwika Joanna Józefa z hrabiów Krasińskich księżna Czartoryska h. Ślepowron (źródło: B. Woźniak, „Ślub jak z bajki. Maria Ludwika Krasińska i Adam Ludwik Czartoryski”, „Gazeta Opinogórska” 2(84), 2017, s. 13).

Ludwik Krasiński zmarł nagle w nocy 21 IV 1895 r. w Warszawie. Był ostatnim męskim potomkiem „starej linii rodu Krasińskich”. Dziedziczką całego majątku została niespełna dwunastoletnia córka Maria Ludwika. Dziedziczyła po ojcu ogromne dobro:

- na Mazowszu: w Krasnem i okolicach – 3200 ha ziemi rolnej, cukrownia, młyn, place i zakłady w Ciechanowie, stadnina koni wyścigowych w Krasnem, wiele kamienic po dawnej jurysdykcji Krasińskich w Warszawie (m.in. na

¹ Z inicjatywy Krasińskiego zawiązał się komitet mający na celu pomoc głodującym Kurpiom, a sam hrabia na wstępie ofiarował 500 rubli oraz założył w Kadzidle dla nich fabrykę guzików – M.W. Kmoch, *Maria Ludwika Joanna Józefa z Krasińskich księżna Czartoryska (1883-1958) i jej działalność w regionie*, „Krasnosielski Zeszyt Historyczny”, nr 38-41, 2019, s. 102.

² https://pl.wikipedia.org/wiki/Maria_Magdalena_Radziwi%C5%82%C5%82owa [dostęp: 05.11.2022].

- Krakowskim Przedmieściu, Okólniku, Foksalu, Ordynackiej, Kredytowej, Królewskiej), 1050 ha lasu w Magnuszewie,
- Dolinę Ojcowską – 750 ha lasu, 300 ha roli, zakłady zdrowotne, pstrągarnie, wille i ruiny zamku,
- majątki na Lubelszczyźnie: m.in. dobra Borowica-Żulin³, 2980 ha lasu i tartak w Suchem, 2250 ha lasu i 200 ha roli oraz stawów w Gutowie, 1000 ha lasu w Osmolicach,
- Rohatyń i okolice: m.in. pałac i park, 1320 ha lasu, 80 ha roli, młyn,
- posiadłości i kopalnie asfaltu „Skrip” na wyspie Brazza w Austrii,
- posiadłości we Włoszech: Manopello, Letto-manopello wraz z kopalniami asfaltu.

Po matce odziedziczyła dobra na dzisiejszej Białorusi, m.in. Żarnówkę (posiadłość obecnego prezydenta Białorusi)⁴.

31 VIII 1901 roku, wówczas osiemnastoletnia Maria Ludwika wyszła za mąż za polskiego arystokratę księcia Adama Ludwika Czartoryskiego (1872-1937), I Ordynata na Sieniawie, syna Władysława Czartoryskiego i Małgorzaty Orleańskiej. Książę oświadczył się Marii przy kapliczce-grocie w parku w Krasnem, którą księżna zbudowała na wzór groty w Lourdes, wykorzystując przy tym kamienie z okolicznych pól. Maria Ludwika wniosła Adamowi Czartoryskiemu w posagu majątek w Krasnem z przyległościami, m.in. Augustów, Helenowo, Żbiki, Węgrzynowo, Wężewo, Zalesie, Kozin, Nowa Wieś, Kurowo, Sławki, Filipy czy Magnuszew⁵. Małżeństwo doczekało się ośmiorga dzieci:

- Małgorzata Izabela, (ur. 1902 w Warszawie, zm. 1929 w Cannes), od 1927 r. żona ks. Gabriela Burbona-Sycylijskiego,
- Izabela (ur. i zm. 1904),

- Elżbieta Bianka (ur. 1905 w Krasnem, zm. 1989 w Genewie), od 1926 r. żona Stefana Adama Zamojskiego,
- Augustyn Józef Czartoryski (ur. 1907 w Warszawie, zm. 1946 w Sewilli), od 1937 r. mąż Marii de los Dolores Burbon-Sycylijskiej,
- Anna Maria Jolanta (ur. 1914 w Gołuchowie, zm. 1987 w Limie), od 1936 r. żona Władysława Alojzego Radziwiłła,
- Władysław Piotr (ur. 1918 w Gołuchowie, zm. 1978 tamże), od 1949 r. mąż Elżbiety York,
- Teresa Maria (ur. 1923 w Gołuchowie, zm. 1967 w Sankt Gallen), od 1945 r. żona Jana Kowalskiego,
- Ludwik Adam (ur. 1927 w Warszawie, zm. 1944 tamże), zginął w powstaniu warszawskim⁶.



Książę Adam Ludwik Czartoryski, portret sprzed 1913 r. (źródło: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Adam_Ludwik_Czartoryski#/media/Plik:Adam_Ludwik_Czartoryski_\(-1913\).jpg](https://pl.wikipedia.org/wiki/Adam_Ludwik_Czartoryski#/media/Plik:Adam_Ludwik_Czartoryski_(-1913).jpg)).

Małżeństwo i dochody z majątku Kasińskich wsparty finansowo podupadające wówczas dobra Czartoryskich, m.in. fatalnie rozwijający się hotel „Lambert” w Paryżu, ordynację Sieniawską czy Gołuchowską⁷. Maria Ludwika wraz z Adamem Czartoryskim skupiali się bardziej na polu kulturalnym, charytatywnym i humanitarnym aniżeli nad

³ 16 stycznia 1913 roku księżna Czartoryska sprzedała całe dobra Żulin wraz z folwarkiem w Borowicy za sumę 744 000 rubli Nikodemowi Budnemu, który na dużą skalę rozwinął uprawę buraków cukrowych, ziemniaków i gospodarkę rybną, a w Borowicy hodowlę koni.

⁴ M.W. Kmoch, 2019, s. 102; https://pl.wikipedia.org/wiki/Maria_Ludwika_Krasi%C5%84ska [dostęp: 05.11.2022].

⁵ Tamże, s. 103.

⁶ https://pl.wikipedia.org/wiki/Adam_Ludwik_Czartoryski [dostęp: 05.11.2022].

⁷ <http://ochronakrasne.blogspot.com/p/marii-ludwiki-ks-czartoryska.html> [dostęp: 08.11.2022].



Adam Ludwik i Maria Ludwika wraz z dziećmi:
Augustynem, Małgorzatą, Jolantą i Elżbietą
(źródło: M.W. Kmoch, 2019, s. 102).

rozwojem gospodarczym swojego majątku. Prowadzili mecenat naukowy i artystyczny, m.in. fundację szkół, przytułków oraz ochronek. Księżna uchodziła za kobietę samodzielną i bardzo zaradną. Po swojej matce odziedziczyła cechę oszczędności, nigdy nie odmówiła pomocy materialnej potrzebującym. Maria Ludwika po rodzicach odziedziczyła też znaczne zbiory pamiątek historycznych oraz dzieł sztuki będących spadkiem po Krasińskich, Radziwiłłach i Zawiszach, które przekazała Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie⁸.



Maria Ludwika Krasińska ks. Czartoryska
(źródło: B. Woźniak, 2017, s. 12).

Przed II wojną światową księżna zabezpieczała jak tylko mogła najcenniejsze obiekty ze zbiorów gołuchowskich (w imieniu nieletniego syna Władysława była ich kuratorem), wywożąc je do Warszawy. Wybuch wojny zastał ją w majątku w Rohatynie, z którego po 17 września musiała uciekać przed wkraczającymi wojskami sowieckimi. Do końca wojny przebywała wraz z córką Teresą i synem Ludwikiem w stolicy. Teresa podczas wojny pracowała jako pielęgniarka, natomiast Ludwik wstąpił w szeregi Armii Krajowej i walczył w powstaniu warszawskim. Maria Ludwika starała się utrzymać pozostałości majątku (udało się jej utrzymać zasadę własności Muzeum i Biblioteki Czartoryskich w Krakowie). Pogarszający się stan zdrowia skłonił ją do wyjazdu z Polski do Francji w 1947 roku. Zmarła 23 stycznia 1958 roku w Cannes. W 2018 roku jej szczątki zostały sprowadzone do Polski. Spoczęła w rodowej krypcie Czartoryskich w Sieniawie⁹.



Nagrobek Marii Ludwiki ks. Czartoryskiej
(źródło: M.W. Kmoch, 2019, s. 105).

Starsi mieszkańcy Krasnego pamiętają księżną. „Gdy była I Komunia w parafii, po uroczystości księżna zapraszała dzieci na poczęstunek – placek z mlekiem. Co roku tak robiła. Ona opiekowała się dziećmi, założyła dla nich ochronkę. A gdy widziała, że jakieś dziecko jest zdolne, łożyła na jego naukę. Bardzo troszczyła się o kościół, dbała, aby zawsze był piękny i czysty” – wspominają panie Halina i Krystyna, które w parafii Krasne spędziły dzieciństwo.

Jacek Kiszczak

⁸ M.W. Kmoch, 2019, ss. 103-104.

⁹ <http://ochronkakrasne.blogspot.com/p/marii-ludwiki-ks-czartoryska.html> [dostęp: 08.11.2022].

Arkadiusz Kostecki



pałacu w Olszance



Europejska architektura klasyczna, a później klasycystyczna od wielu lat stanowi źródło inspiracji dla pokoleń projektantów, architektów i budowniczych, czego świadectwem są nawet powstające współcześnie domy i hotele, przypominające swą bryłą dwory i pałace z dawnych wieków. Na ziemi krasnostawskiej zachowało się wiele takich obiektów, a w samej gminie Łopiennik Górny istnieją dwie piękne budowle oparte na wzorach klasycznych. Pierwszą z nich jest osiemnastowieczny drewniany kościół w Borowicy, który w ostatnich latach cieszy oko turystów – znajduje się pod stałym nadzorem konserwatora, zadbany przez administratora parafii i ukochany przez wiernych. Niestety, drugi z zabytków nie miał do tej pory tyle szczęścia. Mowa o pałacu w Olszance.

Neoklasycystyczny pałac ulokowany pod adresem Olszanka 121, dotychczas nie doczekał się szczegółowych opracowań historyczno-architektonicznych – podobnie jak i wieś, w której się znajduje. Olszanka jest dość młodą miejscowością, formalnie powstała w XIX w. Nie oznacza to jednak, że tereny te były wcześniej niezamieszkane. Wręcz przeciwnie, nieliczne przeprowadzone na tych ziemiach badania archeologiczne sugerują, że pierwsze osadnictwo funkcjonowało tutaj ponad 5 tysięcy lat temu.

W Olszance, Krzywym i Łopiennikach odnaleźć można wiele specyficznych pagórków, które wydają się być usypane setki lat temu. Według hipotezy prof. Stefana Krakowskiego, to w tej okolicy książę Leszek Czarny stoczył w 1282 r. wygraną bitwę z wojskami Litwinów i Jaćwingów. Prof. Krakowski zasugerował, że wspomniane kopce mogą być kurhanami, czyli średniowiecznymi mogiłami poległych wojów – hipoteza ta nie została jednak dotychczas w żaden sposób potwierdzona.

Dalsze losy gruntów olszańskich były ściśle związane z dobrami szlacheckimi w Krzywym i Łopienniku. Przez kilka wieków właściciele majątku w Krzywym spierali się o te ziemie z zarządcami dóbr królewskich w Łopienniku oraz właścicielami

szlacheckiej części Łopiennika. Największy zatarg miał miejsce na przełomie XV i XVI w., kiedy to pomiędzy zwaśnionymi stronami – Tomaszem Krzywskim z Krzywego i Florianem Chrzastowskim z Łopiennika Ruskiego – arbitrem został sam król Jan I Olbracht. Spory pomiędzy właścicielami Krzywego i Łopiennika trwały z przerwami aż do utraty przez Rzeczpospolitą niepodległości w 1795 r. Można jedynie domniemywać, że przedrozbirowe wzmianki o folwarku i leśniczówce w Krzywym i Łopienniku Lackim (Saskim) dotyczą właśnie Olszanki.

Nazwa „Olszanka” nie pojawiła się nawet na mapie topograficznej Królestwa Polskiego z 1843 r. Pierwsza odnaleziona przeze mnie wzmianka o wsi noszącej tę nazwę pochodzi z 1867 r. Olszanka weszła wówczas w skład nowo powstałej gminy w Łopienniku Lackim. W 1879 r. folwark w Olszance został formalnie wydzielony z dóbr w Krzywym. W 1885 r. opisywany majątek obejmował 914 mórg gruntów (prawie 512 ha, czyli ponad 5 km²), a w szczególności: grunty orne i sady – 319 mórg (178,5 ha), łąki – 17 mórg (9,5 ha), pastwiska – 4 morgi (2 ha), lasy – 559 mórg (313 ha) oraz nieużytki – 15 mórg (8 ha). Zabudowania folwarczne w tym czasie były niewielkie i obejmowały 4 budynki murowane (w tym pałac) oraz 12 budynków drewnianych. Folwark posiadał także młyn wodny *na bezimiennej strudze* (prawdopodobnie chodzi o rzekę Łopę lub jeden z cieków ją zasilających).

Wiosną 1887 r. przeprowadzono licytację dóbr w Krzywym i Olszance – niestety, jej przebieg nie jest znany. W 1896 r. dobra w Olszance i Krzywym zostały znów wystawione na licytację przez niejakiego Podbielskiego. Dobra nabył Jan Kazimierz Siemiątkowski herbu Jastrzębiec, urodzony w 1869 r., syn Jana i Marii z Cieciszewskich. Majątek został sprzedany za kwotę 60 412 rubli w złocie. Niedługo potem nowy właściciel przeniósł się do Olszanki wraz ze swoją żoną Stefanią z domu Wessel, córką właściciela majątku w Żyrzynie k. Puław. W 1902 r. w Olszance urodził się ich syn Andrzej Antoni. W lutym 1906 r. Siemiątkowski został skazany na trzy miesiące więzienia za propolską działalność w Łopienniku, wbrew zakazom władz carskich. W tym samym czasie ujęto 13 właścicieli ziemskich z okolic Krasnegostawu. Siemiątkowski uniknął aresztowania, ponieważ przez pewien czas prze-



Wygląd pałacu od strony południowo-zachodniej (źródło: https://clipp.info.pl/templates/yootheme/cache/olszanka_galeria_01-baa1eda6.webp, dostęp: 15.08.2022).

bywał poza Olszanką. Dwa lata później, w 1908 r. właściciel majątku wszedł w skład komitetu budowy nowego kościoła w Łopienniku Nadrzecznym.

W 1911 r. dobra w Krzywym i Olszance nabył Jan Eustachy Kowerski herbu Białynia. Urodzony w 1883 r. w Józefowie (obecnie Józów) koło Bychawy, syn pisarza Jana Stefana Antoniego Kowerskiego oraz Jadwigi Teresy Kowerskiej z Malinowskich. Jan Eustachy nabył włości w Olszance za cenę 7300 rubli za włókę (30 mórg). Majątek obejmował wówczas 50 włók (1500 mórg, czyli ok. 840 ha), przez co finalnie transakcja opiewała na kwotę 365 000 rubli. W wyniku działań wojennych majątek nieco ucierpiał – w 1915 r. spalono połowę zabudowań Olszanki. Pomimo strat, ówczesny właściciel dóbr nadal wspierał miejscową społeczność. W 1919 r. ks. Stanisław Szepietowski wystosował podziękowanie w prasie dla Jana Kowerskiego za przekazanie na użytek przytułku dla sierot w Krasnymstawie materiału na ubranka dla dzieci.

W 1924 r. folwark w Olszance należał już do Edwarda Kałużyńskiego, który został wpisany do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Lublinie jako współnik działającej od 15 stycznia 1924 r. Lubelskiej Spółki Zbożowej. Prawdopodobnie Kałużyński wszedł w posiadanie majątku w Olszance nieco wcześniej, w 1922 lub 1923 r. W 1930 r. majątek obejmował grunty o łącznej powierzchni 342 ha. W artykule „Ziemiaństwo powiatu krasnostawskiego

w okresie międzywojennym”, Aleksandra Borzęcka wspomina, że rodzina Kałużyńskich utrzymywała szerokie kontakty z okolicznymi właścicielami ziemskimi, między innymi z Epsztainami z Pilaszkowic. Kałużyński dał się poznać jako filantrop i działacz społeczny – wspierał finansowo budowę Domu Żołnierza w Lublinie w latach 1924-1928, był też jednym z inicjatorów powołania w Łopienniku „Niedzielnego Uniwersytetu Ludowego” w 1932 r.

W 1937 r. Dyrekcja Główna Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie ogłosiła w „Kurjerze Warszawskim” licytację zadłużonego folwarku w Olszance. Jako właścicieli i wierzycieli majątku dyrekcja TKZ wskazywała: 1. Wandę Poznańską, 2. ewentualnych nieujawnionych spadkobiorców Stanisława Zawadzkiego, 3. Bronisławę z Karszo-Siedlewskich Vetterową, 4. Zakład Ubezpieczeń od wypadków we Lwowie. Nieumorzona część pożyczki w terminie licytacji opiewała na kwotę 137 577 zł, zaś cena wywoławcza majątku wyniosła 652 000 zł. Prawdopodobnie licytacja nie doszła do skutku, gdyż jeszcze w maju 1939 r. Dyrekcja Główna TKZ ponownie ogłaszała licytację folwarku.

Reforma rolna z 1944 r. doprowadziła do przejęcia majątku w Olszance na cele gminy w Łopienniku Górnym. Zniszczony podczas działań wojennych pałac został częściowo wyremon-

towany i przebudowany w 1959 roku. Następnie przez wiele lat był wykorzystywany jako budynek szkoły podstawowej. W kwietniu 1969 r. pałac został wpisany do rejestru zabytków pod numerem A60/402. Pod koniec XX w. zabytek przestał być używany i zaczął niszczyć, a następnie przez szereg lat był wystawiony na sprzedaż za pośrednictwem jednego z lubelskich biur nieruchomości. W latach 2008-2009 na koszt prywatnego właściciela zrekonstruowano stropy wewnętrzne w pałacu, tworząc nową konstrukcję betonową. Poprzednie drewniane stropy, ze względu na zły stan techniczny zapadły się kilka lat wcześniej. Betonowa konstrukcja nadmiernie obciążyła ściany pałacu, które wymagają wzmocnienia.

Pałac został wzniesiony na planie prostokąta z ryzalitami przy każdej ze ścian. Jako materiał budowlany wykorzystano biały kamień wapienny (opoka) oraz czerwoną cegłę wypalaną (nieliczne, przeważnie nowsze elementy). Budynek posiada dwie kondygnacje oraz piwnice. Okna i drzwi na parterze są zwieńczone półkolistym łukiem, zaś okna na piętrze mają klasyczną, prostokątną formę, są zamknięte płasko. Także podpiwniczenie posiada niewielkie, prostokątne otwory okienne. Ściany zewnętrzne parteru dodatkowo zdobi boniowanie. W sporej części tynków widoczne są ubytki erozyjne, a nowsza dobudówka z czerwonej cegły (od strony północno-zachodniej) nigdy nie została otynkowana.

Elewacja przednia pałacu, zwrócona ku położonym na północny wschód stawom, jest siedmioosiowa. Środkowe trzy osie tworzą ganek (który prawdopodobnie przed II wojną światową miał nieco inny wygląd). Ganek posiada dwie ścianki boczne, zaopatrzone w pojedyncze okna, identyczne do tych znajdujących się w głównych ścianach pałacu. Ścianki ganku zwieńczone są dwoma sterczynami w kształcie graniastosłupów, a niegdyś były także flankowane pilastrami. Kondygnacja górna i zadaszenie ganku od zewnątrz opiera się dodatkowo na dwóch słupach – niegdyś były to słupy drewniane, a obecnie żeliwne. Przed gankiem ulokowano taras, na który od podwórza prowadzi jedenaście stopni. Schody po obu stronach posiadają murewane balustrady.

Od południowo-zachodniej strony uwagę przykuwa klasycystyczny portyk o miłych dla oka proporcjach, z gładkim belkowaniem i profilowa-

nym tympanonem posiadającym półkolistą wnękę (okienko). Portyk oparto na czterech tokańskich kolumnach. Tylna elewacja pałacu jest pięcioosiowa, przy czym wspomniany portyk stanowi trzy środkowe osie. Kolumny portyku stoją na podmurówce z czerwonej cegły. Do portyku wiodą bardzo zniszczone schody, również z cegły.

Konstrukcja dachu jest czterospadowa, łamana, z okapem na kroksztynach. Obecnie dach pokryty jest eternitem falistym, aczkolwiek w latach powojennych pałac był pokryty eternitem płaskim, zaś przed wojną – czerwoną dachówką. Podczas remontu w 1959 r. wewnątrz pałacu zostało częściowo przebudowane. Od strony północno-zachodniej dobudowano wówczas z czerwonej cegły prostokątne pomieszczenie, w którym urządzono łazienkę. Zachowało się bardzo mało historycznych zdjęć obiektu, przez co trudno ocenić jego wygląd przed wojną – w szczególności chodzi tu o wyposażenie i frontową ścianę pałacu.

Kompleks pałacowo-parkowy rozlokowany został na stoku niewielkiego wzniesienia nad doliną rzeki Łopy. Całość kompleksu rozmieszczona jest na kilku osobnych działkach zajmujących łączną powierzchnię około 12,5 ha. Oprócz pałacu, w skład zespołu wchodzi stajnia cugowa oraz dawny magazyn, park i stawy rybne.

Stajnia cugowa została zbudowana w 1926 r. z białego kamienia (opoki) na planie litery „T”. Część frontowa niegdyś była kryta dachem czterospadowym, zaś korpus tylny – dwuspadowym z eternitu płaskiego. Dodatkowo w dachu istniały lukarny doświetlające wnętrze. Elewacja frontowa, zwrócona na północny-wschód, charakteryzowała się podcieniem z trzema półkolistymi arkadami, zaś nad podcieniem – trójkątny szczyt z okulusem w kartuszowym obramieniu. Elewacja północno-zachodnia także posiadała trójarkadowy podcień, zaś od południowego zachodu na piętrze znajdował się ganek wsparty na dwóch beczkowatych kolumnach, do którego z obu stron prowadziły schody. Otwory drzwiowe i okienne były zamknięte półkoliście. Wszystkie podcienie i narożniki posiadały niewielkie przypory. Po pożarze w II poł. XX w., dach na stajni zapadł się do środka. Aktualnie cały budynek jest już zagrożony całkowitym zniszczeniem.

Piętrowy magazyn dworski także został wzniesiony z białego kamienia, na planie prostokąta

z ryzalitem od strony południowo-zachodniej. Dach jest dwuspadowy, z wydatnym okapem na kroksztynach, kryty płaskim eternitem.

Park posiada nieregularny układ alejek, z dość licznie zachowanym starodrzewem. Podstawę kompozycji parku krajobrazowego stanowią dwie aleje: lipowa, kierująca się na północny wschód od pałacu, oraz gorzej zachowana świerkowo-modrzewiowa, prowadząca na wschód od budynku. Na terenie parku można zobaczyć przedstawicieli wielu unikatowych gatunków drzew – iglicznia trójcierniowa (obwód pnia ok. 170 cm), klon srebrzysty (ok. 240 cm), buki czerwonołistne (ok. 240, 180 i 180 cm), dąb stożkowaty (ok. 200 cm), korkowiec amurski (ok. 235 cm) czy też jodła kalifornijska. Gatunki te zostały sprowadzone zapewne w celu upiększenia i urozmaicenia flory tutejszego parku. Rosną tu także liczni przedstawiciele rodzimych gatunków, spośród których na szczególną uwagę zasługują: dąb szypułkowy „Jan” (o obwodzie ok. 415 cm), lipa drobnolistna (ok. 415 cm), modrzew europejski (ok. 330 cm) czy grab zwyczajny (ok. 200 cm). Uzupełnieniem kompleksu są znajdujące się na północ od pałacu stawy, które nie podlegają pod opiekę konserwatora zabytków.

Arkadiusz Kostecki

Bibliografia:

R. Bałabuch, A. Łuczyński, *Rezydencje magnackie i dwory szlacheckie Lubelszczyzny. Cz. 3. Powiaty: chełmski, krasnostawski, lubelski, świdnicki*, Dęblin 2011,

A. Borzęcka, *Ziemiaństwo powiatu krasnostawskiego w okresie międzywojennym*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 2 (8) 2009,

L. Cimek, *Z ziemi krasnostawskiej do Uzbekistanu. Franciszek Żurek (1895-1942)*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 3 (9) 2009,

K. Doraczyńska-Dziuba, M. Fornal, B. Kruk, M. Kurczewicz, L. Kuśmierz, J. Matys, P. Mazur, E. Podkościelny, J. Sadaj-Sado, A. Semeniuk, A. Wiśniewska, K. Zarzycka-Goliszek, *Prace konserwatorskie i remontowe w zabytkowych obiektach architektury oraz ich zespołach w roku 2009*, [w:] „Wiadomości konserwatorskie województwa lubelskiego. Rok 2010”, Lublin 2010,

J. Kiszczak, *Olszanka (gm. Łopiennik Górny). Zarys tła historycznego i archeologicznego osady*,

[w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 4 (50) 2019,

J. Łojek, *Drzewa egzotyczne w zabytkowych parkach*, [w:] „Wiadomości konserwatorskie województwa lubelskiego. Rok 2002”, Lublin 2003,

K. Stołecki, *Krasnystaw na łamach „Gazety Warszawskiej” 1879-1918. Ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 4 (26) 2013,

K. Stołecki, *Powiat krasnostawski na łamach „Głosu Lubelskiego”, organu prasowego lubelskiej Narodowej Demokracji w latach 1916-1917*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 4 (54) 2020,

K. Stołecki, *Powiat krasnostawski na łamach „Głosu Lubelskiego”, organu prasowego lubelskiej Narodowej Demokracji w latach 1918-1919*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 1 (55) 2021,

K. Stołecki, *Powiat krasnostawski na łamach „Głosu Lubelskiego”, organu prasowego lubelskiej Narodowej Demokracji w latach 1924-1925*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 4 (58) 2021,

K. Stołecki, *Powiat krasnostawski na łamach „Kuryera Warszawskiego” w latach 1891, 1894-1896*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 1 (35) 2016,

K. Stołecki, *Powiat krasnostawski na łamach „Kuryera Warszawskiego” w latach 1903-1907*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 4 (38) 2016,

K. Stołecki, *Powiat krasnostawski na łamach „Kuryera Warszawskiego” w latach 1908-1912*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 1 (39) 2017,

K. Stołecki, *Powiat krasnostawski na łamach „Kuryera Warszawskiego” w latach 1929-1939*, [w:] „Nestor” Czasopismo artystyczne, nr 1 (43) 2018,

Zintegrowana Strategia Rozwoju Obszaru Funkcjonalnego „Zbiornik Wodny Oleśniki”, opr. R. Boguszewski, B. Filipowicz, K. Szelaąg, Łopiennik Górny 2015,

„Głos Lubelski. Pismo codzienne”, R. 11 (1924), nr 178, s. 6,

Portal *Lubelskie Korzenie. Baza indeksów*, dostęp online: www.regestry.lubgens.eu.

Ewidencja zabytków z obszaru Lokalnej Grupy Działania „Krasnystaw PLUS”: Gmina Łopiennik Górny, źródło online: http://lgdkrasnystaw.pl/images/pliki_do_pobrania/ewidencja_zabytkow/Łopiennik_Gorny.pdf, dostęp: 15.08.2022.

Lucjan Cimek

Olesin, Oleśnica, Oleśniki



Nazwy wsi wymienione w tytule, to prastowo o wielorakiej postaci nagłosowej, np. *olsza* – *olcha*, jako gatunek drzewa z rodziny brzoźowatych i *ols* – *oles*, jako typ lasu bagienneego występującego na torfowiskach niskich, niekiedy z tendencją do przechodzenia w torfowiska przejściowe. W takich lasach bardzo często, jako w środowisku najbardziej odpowiednim, występuje gorysz błotny, popularnie zwany też oleśnikiem lub olśnikiem.

Oleśnik to bylina (lub roślina dwuletnia) z rodziny baldaszkowatych. Jest rośliną leczniczą, dawniej także przyprawową. Używana była zamiast imbiru i nawet w tym celu uprawiana. Rośnie do wysokości 150 cm. Zawiera olejek eteryczny w ilości około 2 do 3,5 procent.

Od tych roślin (drzew i bylin) wywodzą się nazwy wielu miejscowości, z których na naszym terenie, do dziś przetrwały Oleśniki w gminie Trawniki i Olesin w gminie Gorzków. Natomiast Oleśnica (z przyległą do niej Bindugą) w gminie Krasnystaw już nie istnieje. Stanowi, jako tzw. Kępa, przysiółek Wincentowa od strony Wieprza. Można powiedzieć, że Kępa jest reliktem dawnych lat, w którym ongiś znajdowała się karczma dla flisaków spławiających drewno pozyskiwane w okolicznych lasach. W tej karczmie, oprócz wyszynku, sprzedawano też korzeń oleśnika.

Najbardziej prężną i ludną wsią są Oleśniki (należące poprzednio do gminy Fajstławice). Obecnie to wieś przyszłościowa, dobrze zagospodarowana, stanowiąca zwarty zespół ludzki skupiony wokół kościoła parafialnego pod wezwaniem MB Częstochowskiej. Ponadto w Oleśnikach jest zabytkowa kapliczka wybudowana w 1923 r. Tutejszą parafię erygował 3 października 1983 r. biskup lubelski ks. prof. Bolesław Pylak. Powstała ona z podziału parafii Trawniki i została włączona do dekanatu piaseckiego. Same Oleśniki zasłynęły z powszechnego udziału mieszkańców w powstaniu styczniowym i pielęgnują tę tradycję.

Atrakcyjnie położoną jest niewielka wieś Olesin w gm. Gorzków. Dawniej trudno dostępna

ze względu na brak szosy. W czasie II wojny światowej stanowiła bazę partyzancką, za co zapłaciła po tzw. „wyzwoleniu” krwią i męczeństwem wielu osób. 13 listopada 1944 r. została okrażona przez oddziały NKWD i UB, a złapanych żołnierzy Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej deportowano do sowieckich łagrów. Dzisiaj w tej wsi, niegdyś licznej, mieszka około 60 osób, przeważnie ludzi starszych, tam gdzie gospodarzy zabrakło – przyroda na powrót przejmując teren. Młodzi przyjeżdżają do Olesina, tylko w sezonie letnim, aby nacieszyć wzrok wspaniałymi widokami i odpocząć wśród bujnej zieleni okolicznych lasów. Śnieżne zimy też są tu bardzo piękne, ale ostatnio takich jak na lekarstwo.

Każdy z nas ma jakieś odniesienia czy też skojarzenia związane ze swoją miejscowością, wsią i miastem. Czasem jest to prawdziwe odludzie, gdzie zwierzęta zaglądają do okien i diabeł mówi dobranoc. Takie siedliska też mają swoją historię, nie zawsze pisaną, a niejednokrotnie zmyśloną.

Przypisywanie genealogii nazw: Olesin, Oleśnica i Oleśniki pochodzących jakoby od Zbigniewa Oleśnickiego – biskupa krakowskiego i kardynała, co usilnie wmawiają nam lokalni pseudohistorycy, jest w tym przypadku nieuprawnione. Wierzą, że to podnosi rangę tych miejscowości, ale tylko w ich mniemaniu. Tak naprawdę, co ma piernik do wiatraka.

Lucjan Cimek



rys. Urszula Gierszon

Lucjan Cimek

Wieś Olesin

Gospodarstw kilka, wieś mało znana,
Królestwo piękna, szczęściem malowana.
Słomianych starych chat poszycie –
Gospodarstw kilka, spokojne życie,
Tak było...

W bliskości zabudowań wiejskich,
Jak pośród ścisku czarne literki.
Krzyżują się dwie drogi polne –
To dwie na krzyż złożone belki,
W 1947 roku...

Na krzyżu błyszczące tablice,
Będące życia wsi zwierciadłem.
To jej historia, szybko odgadłem –
Stojąc, pod krzyżem postawionym,
Jesienią, 2021 roku.

Czas jak kamień, mchem porasta,
I myśl się płacze, i serce smuci.
To, co minęło, już nigdy nie wróci –
I niech tak na wieki zostanie.
Amen.

Józef Adam Dąbek

Testament śp. Wincenty z Pęczkowskich Makomaskiej, dziedziczki dóbr Wierchowina



Testament to dokument szczególnego przeznaczenia, który zwykle kojarzy się nam jako zapis regulujący sprawy spadkowe. Osobie wyrażającej swą ostatnią wolę zależy przede wszystkim na rozdysonowaniu posiadanego majątku zgodnie ze swoim postanowieniem. Wtedy dla spadkobierców, jeśli jest ich kilku, testament jest dokumentem prawa spadkowego. Wyrażając to w języku potocznym, spadkobiercy mają tam napisane „czarno na białym” co się komu należy. Testament dziedziczki Wincenty to dokument w swej treści wyjątkowy. Jest on w zasadzie rodzajem pożegnalnego listu adresowanego do swej rodziny, w którym jak się okazuje, można zawrzeć znacznie więcej niż tylko same cyfry określające podział dóbr materialnych. Czytając jej przeniesione na papier myśli, mamy wyjątkowy, poruszający przykład tego, co człowiek może przekazać swoim bliskim w obliczu zbliżającej się własnej śmierci. Czytając jej słowa, w których wyraża swoje najgłębsze uczucia, mamy sposobność przypomnieć sobie o tym, co jest w życiu najważniejsze. Bo przecież, jak dawno zostało powiedziane, „nie samym chlebem człowiek żyje”.

Nawiązanie historyczne

Ten wymieniony w tytule testament został sporządzony na początku trzeciej dekady XIX wieku. Zanim przejdziemy do przedstawienia pełnej treści testamentu, uznałem za istotne, aby w kilku zdaniach opisać związane z tamtym okresem uwarunkowania historyczne. Przeglądając dokumenty wiejskich parafii z tamtych lat, znajdujemy wiele dowodów świadczących o dobrej współpracy pomiędzy duchowieństwem i lokalnymi właścicielami dóbr ziemskich, czyli tak zwanymi dziedzicami. Owoce tej współpracy miały dla ówczesnego społeczeństwa wymierną wartość. O fundamentalnej roli Kościoła rzymskokatolickiego i polskiego ziemiaństwa w zachowaniu wiary katolickiej



Uroczystość odnowienia krzyża Sybiraków w Olesinie.
Autor wiersza pierwszy po lewej od ks. A. Wołoszyna
(fot. Witold Skowron, 27 listopada 2021).

i narodowej tożsamości, zwłaszcza przez ludność zamieszkującą obszary wiejskie, wiele już zostało powiedziane i napisane. Rola ta była szczególnie istotna w okresie zaborów, kiedy byliśmy jako naród pozbawieni własnej państwowości. Należy tu przypomnieć może mało znany fakt historyczny, że administracja Kościoła rzymskokatolickiego była jedyną polską instytucją, jaka nieprzerwanie i zgodnie z prawem działała na obszarach wszystkich trzech zaborów. Czas zaborów był to też czas, kiedy większość wiejskich parafii przeżywała następujące po sobie lepsze lub gorsze okresy, tak pod względem materialnym, jak i duchowym.

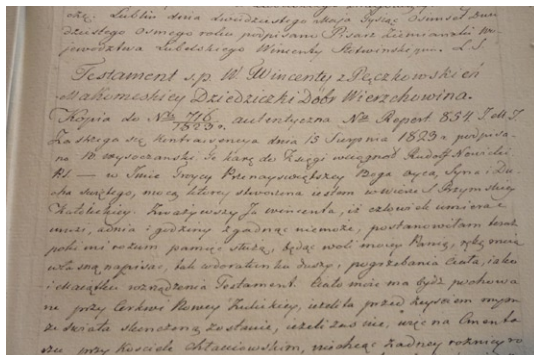
Uposażenie każdej wiejskiej parafii zwykle zależało od jej obszaru oraz od zamożności i ofiarności lokalnych właścicieli ziemskich. Dochód parafialny pochodził z wielu źródeł. Składał się on z zysków pochodzących z uprawy własnego gospodarstwa, z przynależnych plebanowi dziesięcin, których prawo pobierania sięgało jeszcze czasów średniowiecza, z ofiar składanych za posługi religijne (chrzty, śluby, pogrzeby), jak też z różnych powodów czynionych, tak zwanych darowizn. Powszechnie stosowaną formą darowizn na rzecz parafii, było przeznaczanie na ten cel określonych sum pieniężnych, zabezpieczonych na posiadanych włościach. Darczyńcami byli zazwyczaj właściciele majątków ziemskich znajdujących się na terenie danej parafii. Sumy te lokowane w banku na ustalony procent, przynosiły dla parafii stały roczny dochód. Zazwyczaj proboszcz lub wikary byli wtedy zobowiązani do odprawienia pewnej liczby mszy świętych, w intencjach ustalonych przez ofiarodawców. Można domniemywać, że finansowe wspieranie swojej parafii przez dziedziców lokalnych wiosek, było przez nich uważane jako pewnego rodzaju obowiązek, jak też dodatkowo podkreślało rangę ich społecznego statusu.

W dokumentach parafii Chłaniów pod nazwą „Akta funduszowe”, pochodzących z XVIII i XIX wieku, można znaleźć kilka skrupulatnie opisanych pozycji dotyczących darowizn. Jeden z takich zapisów, mówiący o darowiźnie 200 złotych polskich rocznie, ofiarowanej przez dziedziczkę włości Wierzchowina, Wincentę Makomaską z domu Pęczkowską, zwrócił moją szczególną uwagę. Jest to zapis testamentalny, sporządzony 24 marca 1823 roku. Treść tego testamentu, pisanego

zapewne już w okresie jakiejś poważnej choroby, jaka wówczas spotkała młodą dziedziczkę, jest dla mnie jakże przejmującym dowodem jej szlachetnych intencji i godnych podziwu cech charakteru. Jest też przede wszystkim jasno wyrażoną deklaracją jej głębokiej wiary i rzadko spotykanej pokory wobec własnego losu. Można tu przypomnieć o często dyskutowanym przez historyków etosie polskiego ziemiaństwa. Mówi się tam między innymi, że siła i znaczenie tej części społeczeństwa opierały się na kilku uznawanych przez nich podstawowych wartościach. Były to niezachwiana wiara w Boga, patriotyzm i przekazywana przez pokolenia dbałość o silne więzy rodzinne.

Niespieszne i uważne odczytanie tego tekstu pomoże, jak sądzę, dokładnie zrozumieć i w pełni docenić jego wyjątkowość. Stosowana wtedy pisownia, gdzie literę „j” zastępowano literami „i” albo „y”, nie powinna zbytnio utrudniać odczytywania treści testamentu. Warto więc go tu przytoczyć w dosłownym, oryginalnym zapisie, z wieloma wyrazami celowo napisanymi z dużej litery. Tak wyróżnione słowa podkreślają ich znaczenie i pomagają w pełni zrozumieć ten poruszający przekaz jej ostatniej woli. Wincenta Makomaska z domu Pęczkowska zmarła kilka miesięcy później, 6 sierpnia w majątku męża w Żulicach, mając zaledwie 28 lat.

Treść testamentu i dokumenty z nim związane



Początkowy fragment testamentu.

W Imię Tryocy Przenajświętszej Boga Oyca, Syna i Ducha Świętego, mocą której stworzona jestem w Wierze Rzymskiej y Katolickiej. Zważywszy,

Ja Wincenta, iż człowiek umierać musi, a dnia i godziny zgadnąć nie może, postanowiłam teraz poki mi rozum i pamięć służą, będąc woli moiej Panią, ręką moją własną napisać, tak w doratunku duszy, pogrzebienia ciała, iako i Maiątku rozporządzenia Testament. Ciało moje ma bydz pochowane przy Cerkwi Nowey Żulickiey ieżeli ta przed Zeysciem mym ze świata skończona zostanie, ieżeli zaś nie, wziąć na cmentarzu przy Kościele Chłaniowskim, nie chcąc żadney różnicy robić w spoczynku Ciała mego od Ubogich Włościan, widząc i wierząc, że w Obliczu Boga wszyscy równi iesteśmy. Jeżeli za życia przyzwyczajaniem do uważania za coś wyższego mogłam Maięstat Boski obrazić, żałuję tego i żądam zadosyć uczynić tę wolę moją zalecając naimocniej wypełnienie Jey, proszę tylko o postawienie przy tym Grobowcu Znaku niekosztownego, tylko nazwisko y dzień śmierci wyrazić, aby przechodzący westchnął za duszę mą i Tosia córka moia, wiedziała gdzie Matka pochowana. Zaraz po wyjściu Duszy z ciała upraszam o rozesłanie do Kościołów na podzwonne na dni trzy. Ile będzie księży na Pogrzebie, oprócz Mszy która w ten dzień odprawiać się będzie, każdego łacińskiego obligować o odprawienie w swoim Kościele pięciu Mszy Świętych. Przeznaczam na wieczne czasy z Dochodów wsi moiej dziedzicznej Wierzchowiny do Kościoła Chłaniowskiego corocznie w dniu 21 stycznia płacić Zp. [złotych polskich] 200 Dwieście monetą Kurs w Kraiu mającą, na Fundusz utrzymania księdza Wikarego w pomoc Proboszczowi, a to obligując aby za duszę moją w tydzień iedna Msza była. Po przywiązaniu Męża mego spodziewam się, iż zawsze o duszy moiej pamiętać będzie, że w rocznice mey śmierci błagalne modły ratować mnie będą.

Teraz iuż co do maiątku mego i wsi Wierzchowina w Powiecie Krasnostawskim Województwie Lubelskim położony jest, pod prawem moim Dziedzictwem, ze spadku po Oycu moim śp. Norbercie Pęczkowskim. Na maiątku Oycy mego zabezpieczona jest posagowa Summa mey Matki w Kwocie Zp. 35000 a więc gdy Dział Sądowy między mną a Bratem mym Franciszkiem Piotrem Pęczkowskim w Lublinie będzie robiony, aby Summa ta przy Wierzchowinie została. Na wsi Miętkie w Powiecie Tomaszowskim Województwie Lubelskim, mam Summę Dwadzieścia tysięcy Zp. przez

J.W. Woiewodzinę Zamoyską Matce moiej Teofilii Wyszyńskiej darowaną i potem na teyże wsi Miętkie zabezpieczoną, która na mnie iako iedyną Jey córkę spadła i Ja tego właścicielką iestem, lecz że na Zp. 3000 kwit ma J.W. Józef baron Wyszyński, Dziedzic Miętkiego, moje Summy Kapitałne iest 17000 Zp. i zaległe procenta. Na wsi Staw w Powiecie Zamojskim Woiewództwie Lubelskim, mam Summę 417 sztuk Dukatów, wyraźnie czterysta siedymnaście sztuk Dukatów i procenta zaległe mnie należną z Sukcesyi, którą to drugą połowę Summy sukcesyiney odebrali od nabywcy tey wsi, pomienionego J.W. Tomasza barona Wyszyńskiego i mnie wypłacić zobowiązany iest.

Całego więc Maiątku mego tak Oyczyste- go iak y Macierzystego dziś przeze mnie posiadane- go, y prawem spadku przyiść mogącego po śmierci mey, stanie się Dziedziczką i właścicielką Córka moia Teofila Makomaska, iako iedynaczka z Małżeństwa między mną i Wincentym Makomaskim zawartego. Opiekunem bez zdawania kalkulacji nikomu, teyże Córki moiej będzie Mąż moy, znając naycnotliwszy iego charakter, pewną iestem iż przed poysciem za mąż Córki naszej, ten ukochany Mąż opłaci długi iakie po Oycu do schedy moiej działem między mną i Bratem moim do płacenia przekazanemi zostały. Przeznaczam na zaspokojenie summy moiej dwie wyżej wymienione, iedna na wsi Miętkim, druga na wsi Stawie hipotekowane, któremi Mąż sobie odebrawszy, według potrzeby rozrządzi. Gdyby Córka nasza Teofila Makomaska, przed rokiem dwudziestym wieku swego za mąż poszła, zastrzegam, że od woli i Łaski męża mego a Oyca Jey zależeć będzie oddanie Jey Wierzchowiny, albowiem Ja stanowią, że aż do doyscia Jey do lat dwudziestu Mąż moy rządzić tą wsią ma, a ieżeli Bóg pobłogosławi że prędzej długi spłaci Intratą, aż do pomienionego wieku Córki naszej rozrządzać i te na siebie obra- cać mocen będzie, wyiawszy Edukacyję i utrzymanie Córki tey naszej ukochaney, na co wiem że żałować nie będzie równie z mego iak ze swego Maiątku. Gdyby zaś do roku dwudziestego za mąż nie poszła, zaklinam cię i proszę moy Mężu, aby Intrata z Wierzchowiny iuż dla niey składana była od tegoż roku. Od dnia zaś śmierci moiej obliguję Męża mego aby Wierzchowiny żadnemi długami nie obciążał. Gdyby zaś z wyroków Nieba córka

nasza Teofila Makomaska, w małoletnim wieku żyć przestała, wyżej wyrażonych Summ to jest 35000 Zp. w monecie srebrnej na dobrach Oyca mego zabezpieczonych jako posag mey Matki, tudzież Summy z Miętkiego i z Stawów odebrać się mia-nych, które jako moje deportata na wsi Wierzchowinie uważane bydz winny, ukochany Mąż my stałby się z woli moiej Dziedzicem właścicielem. Wieś zaś Wierzchowinę na przypadek ten iakby ta córka nasza zesła ze świata, sprzedać obliguję i po odrąceniu tych 35000 Zp. posagowych mey Matki, któremi iuż wyżej rozporządziłam i po opła-czeniu wszystkich długów, które z działu przypadły i wspólnych naszych z Mężem moim rewersów na podniesienie Gospodarstwa okazali by się, resztę Summy do Szacunku iaki by się wziął od kupuią-cego, na dwie równe części podzielić i jedną Bratu moiemu Franciszkowi Piotrowi Pęczkowskiemu, drugą ukochanemu moiemu Mężowi Wincentemu Makomaskiemu wziąć upoważniam i wyrażnie tak stanowią. Teraz przystępuję do pożegnania osób które zostawiam.

Zaczynam od Ciebie Nayukochańszy Mężu, dziękuję Ci za szczęście, które w pożyciu z Toba miałam, zostawiam Ci życzenia nayszczul-sze, żebyś pędził lata pomyślne, o spełnienie tego razem błagam Boga. Żal który czuję myśląc o roz-staniu z Tobą, nie pozwala mi dłużej Cię żegnać. Zostawiam ci Dziecko, kochay Ją i staray się o Jey szczęście, wychoway Ją w Boiaźni Boga, strzeż od złych przykładów. Gdybyś wszedł w związki małżeńskie, niech to iey domowego szczęścia nie nadweręża, masz obowiązek oddania Jey tego przywiązania iakie Ja mam do Ciebie, iuż Matki mieć nie będzie! To co Ja dążąc do uszczęśliwie-nie Jey była bym uczyniła, ró b Ty i z swego obo-wiązku y w zastępstwie mnie. Tosiu moja kochana zostawiam Ci błogosławieństwo nayszczul-sze, słu-chay przestróg Oyca i Stryienki, w którey Bóg zo-stawia ci po stracie Matki pociechę, pomoc, radę, bądź nabożna i pamiętaj że Bóg patrzy na czyn-ności Twoie, ufay w Bogu a nigdy cie nie opuści, biednych ile możliwości wspomagay, o nikim źle nie mów, nie powtarzay co złego usłyszysz a będziesz szczęśliwa. Oby cię Bóg błogosławił zawsze, o co błagać Go nie przestanę, aby obdarzył cię cno-tami, rządził Duchem swoim, tak żebyś w tym i w przyszłym życiu odbierała nagrodę.

Żegnam Was Szanowni Rodzice Męża mego, po raz ostatni składam Wam dzięki za do-wody affektu, który od was odbierałam. Żałuję że dłużej nie pozwoli mi Bóg odwdzięczać się za ich łaskawe serca. Chciey także przyjąć Babuniu moja Wyszyńska wynurzenie uczuć serca wnucz-ki, która Cię zawsze kochała, odbierz te ostatnie pożegnanie i prośbę abyś mężowi memu nie uchyla-ła affektu swego y prawnuczce którą zostawiam.

Teraz Wy naidrożsi Braterstwo męża mego, czytajcie te wieczną pamiątkę tey szczerrey Przy-iaźni, którą dla Was miałam, podwoyne związki pokrewieństwa w niey łączyły serce moje i tey ukochaney Bratowej, iak tysiączne przymioty, które w Towarzystwie są potrzebne, a które ta osoba posiada. Ile w przeciągu naszej znajomości, chwil przyjemnych, często dobrej rady doznawałam od Ciebie kochana moja Kostusiu, tyle niech na Was Oboie i Dzieci Wasze spływa z Nieba dobrego, po-łecam Ci Tosię, uważay na Jey moralność, wygodę y spokojność, Ciebie robię współ opiekunką Jey osoby, razem z Mężem moim staraycie się o Jey szczęście.

Żegnam Ciebie Kochany moy Bracie Pio-trze Pęczkowski, tracisz Siostrę, która Cię bardzo szczerze kochała, zostanie Ci szwagier iakich mało na świecie, zawsze żyi z nim w przyjaźni i Tosią naszą, kochany to jest prośba ostatnia, ży-czę Ci abyś w wyborze towarzyski życia znalazł szczęście nieodmienne. Żegnam was Słudzy moi y Poddani, także przepraszam z głębi serca, ieżeli się komu naraziłam dla miłości Boga daruycie mi przebaczenie.

Dzięki Tobie składam naiwyższy Boże, żeś mi pozwolił to rozporządzenie napisać, które chcę aby było w niczym nie zmienione, na Egzekutorów tego Testamentu w potrzebie upraszam W. [Wiel-możnego] Jana Makomaskiego, W. Pawła Kose-ckiego y W. Józefa Wyszyńskiego, spodziewam się że mi nie odmówią tego. Taka jest we wszyst-kiem wola moja, ręką moją własną cały ten Testa-ment pisałam y podpisauię go. – w Żulicach, dnia 24 marca 1823 roku. Wincenta z Pęczkowskich Makomaska.

Po przytoczeniu tego niezwykłego tekstu, chciałbym w tym miejscu zamieścić kilka zdań komentarza. Cały testament składa się jakby z kilku części. W pierwszej, w sposób jasny i przej-

mujący w swej prostocie, Wincenta odnosi się do spraw ostatecznych, decydując o szczegółach związanych z celebracją własnego pogrzebu. Nieco zawiłe mogą wydawać się sprawy majątkowe, opisane w drugiej części testamentu. Jednak sam podział spadku, jaki ma przypaść na rzecz córki i męża, lub męża i brata, wyrażony jest w sposób niebudzący wątpliwości. Może tylko zastanawiać ten fragment testamentu, gdzie Wincenta, kreśląc plany dla swej najbliższej rodziny i pisząc o zamążpójściu Tosi, dopuszcza też, „z wyroków Nieba”, możliwość przedwczesnej śmierci własnej córki. Pisząc tak, miała być może w pamięci podobne nieszczęścia, jakie w obu skoliగాonych familiach miały już miejsce wcześniej. Ostatnia część testamentu to pożegnanie z najbliższymi. Pamięta tam o wszystkich bliskich jej osobach. Szczególnie chwytają za serce jej słowa kierowane do męża i córki. Czytając pisane z prawdziwą matczyną troską wskazówki i przemyślenia adresowane do córki, trudno się oprzeć chwilom wzruszenia. Sam tego doświadczyłem. Wiele z napisanych tu uniwersalnych prawd może też trafić do każdego z czytających ten testament. Wszak „nie znamy ani dnia, ani godziny”.

Napisany 24 marca 1823 roku testament, został znaleziony prawdopodobnie dopiero po śmierci dziedziczki. Może o tym świadczyć umieszczony pod nim następujący zapis: *Niniejszy Testament z dwóch arkuszy składający się przez podpisanego Podśędka w Sekretarzyku wynaleziony w przytomności Męża zmarłej i obecnych świadków W. Pawła Koseckiego i W. Józefa Wydźgi, nieopieczętowany, mieszczący w sobie wierszów 195. Który to dokument w czasie opieczętowania w dniu 15 sierpnia 1823 r. przez podpisanego Podśędka zaparafowany został [podpisano] B. Wysockański.*

Na sąsiednich stronach parafialnego archiwum, obok zapisanej tam ostatniej woli dziedziczki, zamieszczone są też dwa dokumenty, oba sporządzone w Lublinie, mówiące o kolejnych etapach uprawomocnienia tegoż testamentu i związanych z tym skutkach cywilnoprawnych. W jednym z nich, datowanym na 27 XII 1826 r., w oparciu



Kościół parafialny w Żulicach (fotografia pochodzi ze strony internetowej parafii Żulice).

o wcześniej wydane decyzje przez biskupa diecezji lubelskiej oraz przez Komisję Rządową Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, ustala się, że testamentalnie przeznaczona suma 200 złotych polskich w dniu 21 stycznia każdorocznie wypłacać się mająca, na fundusz Wikariusza przy Kościele Parafialnym w Chłaniowie, z obowiązkiem odprawienia w każdym tygodniu jednej Mszy Świętej. Ponadto, pismo to zawiera polecenie skierowane do ówczesnego chłaniowskiego proboszcza: *Komunikujemy JW Michałowi Gorayskiemu, Kanonikowi Katedry Lubelskiej i Proboszczowi Kościoła w Chłaniowie z poleceniem aby takową decyzję w spisie Funduszków Kościoła swego, z wyrażeniem dochodu rocznego 200 złotych polskich na fundusz Wikariusza zamieścić postarał się.* Drugim dokumentem jest wyciąg (excerpt) z wykazu hipotecznego dóbr ziemskich Wierchowiny z przyległościami, które po śmierci matki odziedziczyła Teofila Makomaska, wymieniona w testamencie jako Tosia.

Dzieje rodzin Pęczkowskich i Makomaskich

Ukazany w testamencie tragizm losu zmarłej w młodym wieku dziedziczki Wierchowiny, budzi nasze współczucie i zadumę nad ludzkim losem. Podobnie też mogą działać na czytelnika niżej przedstawione dane biograficzne, dotyczące najbliższych członków jej rodziny. Zebrane dane biograficzne dotyczące rodzin Pęczkowskich

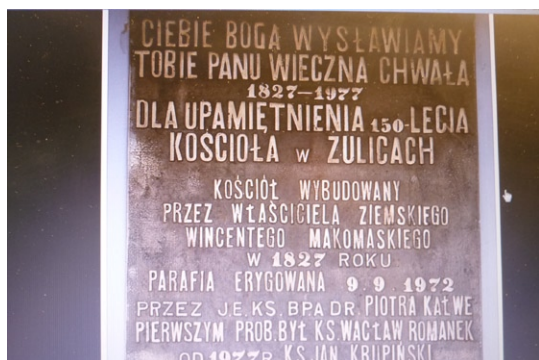
i Makomaskich, starałem się uporządkować chronologicznie, aby w ten sposób ukazać realia ich życia, czyli okresy zamieszkiwania w posiadanych majątkach, migracje pomiędzy posiadłościami oraz związaną z życiem każdego człowieka nieprzewidywalność losu. Dzieje rodziny Pęczkowskich, właścicieli dóbr ziemskich położonych na terenie chłaniowskiej parafii, mają swój początek jeszcze w drugiej połowie XVIII wieku. Kolejne etapy losu obu tych skoliigaonych ze sobą familii, można dość dokładnie ustalić na podstawie archiwalnych zapisów w księgach ziemskich oraz dzięki zachowanym metrykom parafialnym. Według tych danych, w roku 1787 właścicielem wsi Chłaniów stał się Piotr de Pęczki Pęczkowski, podpisujący się też jako Piotr na Pęczkach Pęczkowski. Miał on syna Norberta, urodzonego około roku 1768, prawdopodobnie w Gruszcze Dużej, któremu w roku 1807 przepisuje cały swój majątek. Przepisanie majątku nastąpiło w obecności odpowiedniego urzędnika oraz świadków, zaś sam dokument nosił nazwę „umowy o wieczystej darowiźnie zawartej między żyjącymi”. Od tego roku właścicielem Chłaniowa i prawdopodobnie też Wierzchowiny, staje się Norbert Pęczkowski. Był już wtedy dwukrotnie żonaty i miał z obu małżeństw córkę i syna. Wracając do lat wcześniejszych, w aktach parafii Nielisz można znaleźć metrykę ślubu Norberta Pęczkowskiego z Teofilą Wyszyńską, który odbył się w tej parafii 30 października roku 1793. Ponad rok później, 23 stycznia 1795 roku, rodzi się ich córka Wincenta. Jej akt urodzenia jest prawdopodobnie przechowywany w archiwum parafialnym Kolegiaty Zamojskiej. Dalsze losy Teofilii pochodzącej z rodu baronów Wyszyńskich nie są znane. Natomiast w roku 1802, z drugiego małżeństwa Norberta Pęczkowskiego z Małgorzatą Wierzbowską, rodzi się przyrodni brat Wincenty – Franciszek Piotr Pęczkowski. 8 lipca 1814 roku, co jest zapisane w aktach parafii Chłaniów, umiera w wieku 46 lat, dziedzic Chłaniowa Norbert Pęczkowski. Po śmierci ojca, Piotr Pęczkowski prawdopodobnie pozostaje przy majątku w Chłaniowie, natomiast dziewiętnastoletnia Wincenta przenosi się do majątku w miejscowości Miętkie, należącego do jej dziadków ze strony matki, baronów Wyszyńskich. Miejscowość ta należy do parafii Nabróż znajdującej się niedaleko Tomaszowa Lubelskiego. Tam

też Wincenta poznaje swojego przyszłego męża, dziedzica wsi Żulice, Wincentego Makomaskiego. Ich ślub odbywa się 15 października 1816 roku w kościele parafialnym w Nabrożu. Panna młoda, według przedstawionej metryki urodzenia miała w dniu ślubu 21 lat, natomiast pan młody liczył sobie lat 36. W majątku familii Makomaskich, w Żulicach, 31 lipca 1817 roku rodzi się ich córka Tosia, która odziedziczyła imię po swojej babci Teofilii Wyszyńskiej.

Daty i okoliczności objęcia przez rodzinę Pęczkowskich drugiego, obok Chłaniowa, majątku w Wierzchowinie nie są dokładnie znane. Jak wynika z treści testamentu, tę wieś Wincenta dostała na własność jako spadek po śmierci ojca. Nie wiadomo też przez jak długi okres Makomascy przebywali razem z córką w tej posiadłości. Wiadomo natomiast, że w marcu roku 1823, przebywając już w majątku męża w Żulicach i przeczuwając nadchodzący kres swego życia, Wincenta spisuje swój przedstawiony wyżej testament. Tam umiera 6 sierpnia i tam też, zgodnie z jej ostatnią wolą, zostaje pochowana. Dobra ziemskie Wierzchowiny odziedziczają mąż Wincenty Makomaski i córka Tosia. Niestety, nie na długo. Zaledwie pięć lat po śmierci matki, w tych samych Żulicach, gdzie się urodziła, w wieku niespełna jedenastu lat Tosia umiera. Według akt parafii Rzeplin, stało się to 13 kwietnia 1828 roku o godzinie piątej po południu. Właśnie wtedy w Żulicach, w latach 1827-1828, został przez ojca Tosi ufundowany kościół, mający też pełnić funkcję kaplicy grobowej rodziny Makomaskich. Późniejszych losów Wincentego, dziedzica Żulic i Wierzchowiny, jak dotychczas, nie udało się ustalić. Natomiast z treści testamentu dowiadujemy się jeszcze o jego rodzonym bracie Janie Makomaskim oraz bratowej Konstancji. Jest tam też wspomniana przez Wincentę jej babcia Ludwina Wyszyńska, która o jeden rok przeżyła swoją wnuczkę.

Historia tej części rodziny Pęczkowskich, która pozostała przy majątku w Chłaniowie, ma również swoje tragiczne, bo przedwczesne zakończenie. Ostatni z tej familii dziedzic Chłaniowa Piotr Pęczkowski umiera 23 grudnia 1830 roku. Umiera bezpotomnie w wieku 28 lat, przeżywszy tyle samo lat, co jego przyrodnia siostra Wincenta. Dane te pochodzą z akt parafii Chłaniów. Tam też, na jesz-

cze pustym, bo niedawno założonym cmentarzu grzebalnym został pochowany. W połowie XIX wieku, związany z Fajslawicami ksiądz Karol Boniecki wizytował parafie diecezji lubelskiej. Wynikiem tego był skrupulatny opis odwiedzonych przez niego kościołów, cmentarzy i samych miejscowości. W swoim raporcie o chłaniowskiej parafii pisze on tak: *pomnik nagrobny JW Piotra Pęczkowskiego, jako jeden z trzech stojących na cmentarzu pomników z kamienia ciosanego wyrobionych, zasługuje na wspomnienie*. Załączona do tekstu fotografia, z dużym prawdopodobieństwem ukazuje miejsce spoczynku Piotra Pęczkowskiego. Widoczny na tym zdjęciu pomnik, pozbawiony tablicy zawierającej nazwisko, wiek i datę śmierci zmarłego, jest niestety „bezimienny”. Taka tablica zapewne była



Tablica pamiątkowa informująca o fundatorze kościoła Wincentym Makomaskim (fotografia pochodzi ze strony internetowej parafii Żulice).

na pomniku umieszczona w dobrze widocznym miejscu. Pozostało po niej tylko puste prostokątne wgłębienie. Pokażnych rozmiarów i prosta w swym kształcie bryła tego pomnika, znajduje się nieopodal grobów, w których zostali pochowani inni właściciele ziemscy. Wszyscy oni byli związani z chłaniowską parafią w tych samych latach pierwszej połowy XIX wieku.

Przez kolejne lata, oba majątki ziemskie związane z wioskami Chłaniowem i Wierzychowiną, wielokrotnie zmieniały swoich właścicieli. Ostatnimi właścicielami Wierzychowiny byli Kazimierz Chrościechowski i jego syn Antoni. Natomiast jednym z ostatnich właścicieli Chłaniowa był senator Stanisław Białosuknia. Obie te rodziny też zostały pochowane na chłaniowskim cmentarzu. Kończąc tę wydobytą sprzed dwustu lat niezwykłą histo-



Pomnik dziedzica Chłaniowa Piotra Pęczkowskiego.

rię dziedziczki Wincenty i jej rodziny, warto jeszcze raz przypomnieć powszechnie znaną, ale też i ważną prawdę. Wydarzenia historyczne, posiadanie dóbr materialnych, dzieje bogatych rodów, czy też losy zwykłych ludzi, przemijają. Przemijanie jest cechą tego świata. Przemijanie to też jedna z definicji czasu. Ale przecież nie wszystko ginie bez śladu. Wiele z tego, co działo się nawet w odległej przeszłości, można odnaleźć zapisane piórem na kartach dokumentów lub na wykutych w kamieniu pomnikowych inskrypcjach. Starajmy się te ślady odkrywać na nowo.

Józef Adam Dąbek

Materiały źródłowe:

- archiwum parafii Chłaniów;
- Archiwum Państwowe w Lublinie, sygn. 35/20/0/5/617;
- lubgens.eu, genealogiczny portal internetowy.

Monika Nagowska

Mikołaju Sienickim, w 450 rocznicę krasnostawskiego kaptura – cz. 3



Bywają w historii państw chwile szczególne. Gdy w Rzeczypospolitej XVI wieku zabrakło króla – Zygmunt August nie zostawił następcy – w kraju zaczęło szerzyć się bezprawie. To właśnie szlachta ziemi chełmskiej 17 lipca 1572 r. zawiązała konfederację w Krasnymstawie, by określić sposób postępowania w tym trudnym okresie. Powołała też pierwszy sąd kapturowy, wskazując Mikołaja Sienickiego i Stanisława Orzechowskiego jako tych, którzy będą czuwać nad przestrzeganiem przyjętych zasad i porządkiem prawnym w regionie. Za Krasnymstawem podążyli inni, w tym Kraków. Na szczytach władzy usiłowano ustalić sposób elekcji nowego króla, ścierały się interesy i ambicje. Kolejne tygodnie upływały na bezowocnych dyskusjach i próbach dodania sobie znaczenia. Niepowodzeniem zakończył się zjazd wielkopolskich senatorów w Łowiczu, nadzieję dawał zjazd Małopolan. To właśnie w miejscu dla ówczesnych symbolicznym – gdyż to w Knyszynie król pożegnał się z życiem – przemawiał do zebranych senatorów Sienicki. Był to głos rozsądku w rzeczywistości pełnej chaosu... Nic też dziwnego, że wysłuchano go z uwagą, mając w pamięci wielokrotne wystąpienia szlacheckiego przywódcy na forum sejmu i to, że właśnie on dotychczas łagodził spory i szukał rozwiązań w sprawach trudnych do rozstrzygnięcia przez innych. Pod koniec obrad w Knyszynie, w ostatnim dniu sierpnia 1572 r. wystosowano do senatorów wielkopolskich oficjalny „List Rad w Knyszynie do Rad wielkopolski”. Z listem tym oraz stosownym pełnomocnictwem wydelegowano Mikołaja Sienickiego, Jana Leśniewskiego (podczaszego lwowskiego, który nie we wszystkich źródłach jest wymieniany) i Wawrzyńca Woynę (pisarza Wielkiego Księstwa Litewskiego). Mieli oni zreferować przebieg zjazdu i uzyskać poparcie dla ustaleń z Knyszyna, czyli proponowanej elekcji w Bystrzycy: „O czym wszystkim i o szerszych rozmowach naszych, któreśmy tu wspólnie między sobą mieli, abyście WM dostatecznie wiedzieć mogli

i znać *nostrum candidum animum*¹ przeciwko² sobie i Rzeczypospolitej przysyłamy...”³.

Sienicki po zjeździe w Knyszynie odbył więc długą podróż. Mimo że cieszył się tak wielkim poważaniem szlachty, nastawienie Wielkopolan do delegacji i zjazdu zwołanego przez Jana Firleja w Knyszynie... nie było pozytywne. Pozostawał bowiem w pamięci zjazd łowicki, do którego w ogóle nie dopuszczono rycerstwa. Ten knyszyński potraktowano więc jako kolejną ujmę. W drodze do arcybiskupa delegacja zatrzymała się też we Włodawku, gdyż Wawrzyńiec Woyna jako wysłannik Wielkiego Księstwa Litewskiego otrzymał własne poruczenia.

Sienicki zjawił się u celu, czyli na dworze arcybiskupim w Chroślinie, 17 września. Jakub Uchański – pochodzący z ziemi chełmskiej – nie przyjął go, lecz kazał czekać. Dzień później do Sienickiego dołączył Woyna, który przybył z biskupem kujawskim Karnkowskim. Dopiero wtedy odbyło się spotkanie z prymasem. Ponieważ wcześniej ustalono, że delegacja z Knyszyna spotka się z wielkopolską szlachtą na zjeździe w Radziejowie, wielkie zaskoczenie wywołały słowa Karnkowskiego o tym, że zjazd nie dojdzie do skutku, więc i dalszy pobyt posłów jest pozbawiony sensu. Wobec takich słów i bardzo chłodnego przyjęcia, Sienickiemu i Woynie pozostało przekazać listy i uniwersał zjazdu w Knyszynie prymasowi Uchańskiemu i nie planować dalszych spotkań.

To właśnie biskup kujawski okazał się głównym rozgrywającym. Przyznawał później: „znam się do tego, że radził księdzu arcybiskupowi, aby pana Sienickiego i pana Woynę, co najrychlej odprawili, a to dla tych przyczyn, naprzód, że już był sejmik w Średzie zaszedł, na którym zwolili nie jechać do Bystrzycy, pisali też panowie z Wielkopolski listy, aby się ksiądz biskup wedle recesu średz-

¹ *nostrum candidum animum* (łac.) – nasz szczerzy za-mysł.

² „przeciwko” – w znaczeniu: względem siebie i Rzeczypospolitej.

³ *Kronika za Zygmunta Augusta w Knyszynie zmarłego roku 1572: i inne dokumenty polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia. Vol. 1: od lipca 1572 do marca 1573. Wstęp i oprac. Krzysztof Koehler. Kraków: Akademia Ignatianum, Wydawnictwo WAM, 2016, ss. 249-250.*

kiego sprawował⁴. 19 września delegaci zostali jeszcze raz wezwani do Uchańskiego i dowiedzieli się, że panowie z Wielkopolski nie godzą się na proponowaną w liście z Knyszyna elekcję w Bystrzycy – przedstawiono nawet pisma od lokalnych biskupów, w których arcybiskup został poproszony o osobiste wyznaczenie miejsca i czasu elekcji. Posłowie usłyszeli, że miejscem tym będzie Łomża, a wybór nowego króla ma się dokonać 27 października lub – jeśli Małopolska się nie zgodzi – sprawa ta zostanie omówiona na sejmie konwokacyjnym pod Warszawą. Zastrzeżono przy tym, że jeśli i podczas konwokacji nie uda się nic ustalić – arcybiskup samodzielnie wyznaczy miejsce i czas elekcji. Sam Sienicki z rezerwą podchodził do wyboru Łomży, zdając sobie sprawę z panującego w tych okolicach morowego powietrza: „jadąc przypatrzył się wielkim nieurodzajom, najwięcej [w] Garzynie koło Łomży, a ktemu we wszystkich okolicznych wsiach zapowietrzenia były⁵”.

O ile Sienicki mógł przewidzieć, że będą trudności w przekonaniu Wielkopolan, to zapewne nie spodziewał się zakulisowych zabiegów Wawrzyńca Woyny. Dodatkowym utrudnieniem okazał się właśnie fakt działań zakulisowych – gry politycznej prowadzonej przez współtowarzysza podróży. Korespondencja, jaką wiozł ze sobą Woyna zapewniała o poparciu Litwy dla obozu prymasowskiego, prawdopodobnie w zamian za zwrot ziem zagarniętych przez Koronę tuż przed zawarciem unii polsko-litewskiej w 1569 r. Woyna z Karnkowskim przybyli do Chroślina o dzień później niż Sienicki. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wówczas nastąpiło przekazanie tajnej korespondencji, a nieprzejednana postawa kujawskiego biskupa mogła wynikać właśnie z owego zapewnienia poparcia ze strony Litwy. Poza tym Woyna podczas wspólnej misji uzyskał od Sienickiego wiele informacji, które przewijały się w ich rozmowach, na przykład na temat nastrojów panujących w Małopolsce. W rozgrywkach politycznych informacje takie z pewnością przydały się Litwinom.

Po spotkaniu z prymasem posłowie wybrali się w drogę powrotną, nie uzyskawszy poparcia dla postanowień zjazdu knyszyńskiego. Zabrali jedynie listy w odpowiedzi na te, które przywieźli. Posłowie, mimo niepowodzenia zrobili wszystko, co do nich należało. Arcybiskup zaczyna swoją epistołę do Jana Firleja słowami pełnymi kurtuazji: „Wielmożny Panie, przyjacielu miły a łaskawy! Z posłów Wmci, któreście Wmość raczyli do nas posłać, wyrozumieliśmy wszystko to, cokolwiek Wmość namówili i sprawowali w Knyszynie...⁶”. Grzeczne formułki nie przesłaniały jednak faktu, że wyjazd delegacji zakończył się porażką. Nie wynikało to ze względów osobistych – choć Sienicki jako arianin ustawiał się w opozycji do Kościoła – ale z okoliczności politycznych i walki o wpływy na szczytach władzy. Delegacja została potraktowana przez najwyższych katolickich hierarchów Uchańskiego i Karnkowskiego protekcyjnie. Być może trudno było oczekiwać ciepłego przyjęcia. W końcu posłowie stanęli przed samym interrexem, prymasem Polski i... przed jego ambitnym następcą. W dziewięć lat od opisywanych wydarzeń godność prymasa po śmierci Uchańskiego przejął właśnie biskup kujawski.



Prymas Jakub Uchański (1502-1581) ur. w Uchaniach, biskup chełmski od 1551 r. – portret z 1864 r. (ze zbiorów Biblioteki Narodowej, https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/5/5b/Jakub_Ucha%C5%84ski_Primate_of_Poland.PNG).

⁴ Sebastian Adamkiewicz: *Podróż Mikołaja Sienickiego po terytorium Korony w pierwszych miesiącach bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta (lipiec-październik 1572 r.)*. „Acta Universitatis Lodzensis. Folia Historica”, 2010 nr 85, s. 35.

⁵ Tamże, s. 33.

⁶ *Kronika za Zygmunta Augusta...* dz. cyt., s. 257.



Biskup kujawski Stanisław Karnkowski (1520-1603), prymas od 1581 r. – portret z 1836 r. (fragment fot. ze zbiorów Biblioteki Narodowej, <https://polona.pl/item/stanislaw-karnkowski,MTA4MzMzMw/0/#info:metadata>).

Tymczasem jednak zjazd w Radziejowie zwołany przez Uchańskiego dla wysłuchania posłów z Knyszyna odbył się 21 września 1572 r. Niedopuszczenie – osamotnionego w swych zabiegach – Mikołaja Sienickiego do spotkania ze szlachtą wielkopolską okazało się kluczowe. Słusznie zapewne obawiali się Uchański z Karnkowskim, że Sienicki – szlachecki autorytet, wielokrotny marszałek sejmiku i naturalny przywódca rycerstwa – przekona współbraci do uznania postanowień zjazdu knyszyńskiego, a tym samym pogłębi jeszcze niechęć do działań podejmowanych przez prymasa.

Dopiero na miejscu w Radziejowie tamtejsza szlachta dowiedziała się, że posłowie zostali odprawieni, a do Małopolski i na Litwę wysłano już w odpowiedzi listy. Być może nie zmieniliby zdania i mimo wystąpienia szlacheckiego przywódcy, uchwały zjazdu knyszyńskiego podzieliłyby też los łowickich. Uczestnicy zjazdu w Radziejowie zostali jednak pozbawieni szansy, by o tym zdecydować. Jak opisuje kronikarz: „Tak odprawieni posłowie w swą się stronę obrócił każdy: pan Sienicki podkomorzy do Małej Polski, pan Wojna do

Litwy i rozpisował pan Sienicki JM panom akt tej swej peregrynacji, oddawszy pierwsi list arcybiskupi i biskupa kujawskiego odprawy swej panu wojewodzie krakowskiemu, marszałkowi koronnemu”⁷. Misja przedstawicieli Obojga Narodów zakończyła się niepowodzeniem.

Rycerstwo ziemi chełmskiej ponownie zebrało się w Krasnymstawie. Uchwały sejmiku pochodzą z 29 września. Wśród obecnych wymienionych na końcu laudum nie ma Mikołaja Sienickiego, dopisano tylko, że było na zjeździe „wielu innych”. Z pewnością gdyby się stawił na sejmiku, jego nazwisko pojawiłoby się w uchwale. Mikołaj Sienicki zmierzał jednak w tym czasie na zjazd w Osieku, gdzie miał przedstawić relację ze swej wyprawy do Wielkopolski. Na zjazd ten przybył z listami przywiezionymi z Chroślina. Ponieważ w Osieku Piotr Zborowski zwrócił się o przedstawienie sprawozdania z podróży do Wielkopolski (co zapisano w wotum), Sienicki taką relację wygłosił. Przypuszczalnie wcześniej odwiedził Jana Firleja, aby zaznajomić go z efektami podróży lub raczej z brakiem efektów. Przez trzy miesiące Mikołaj Sienicki pracował intensywnie, tym bardziej frustrujący musiał być dla niego brak porozumienia między szlachtą małopolską a wielkopolską. Jego aktywność polityczna w kolejnych miesiącach osłabła. Prawdopodobnie nie uczestniczył już w zjeździe szlachty i senatorów ziem ruskich pomiędzy Wisznią a Radotyczami, jaki odbył się 17 października. Dopiero 14 grudnia 1572 r. Sienicki podczas zjazdu w Sądowej Wiszni został wybrany posłem na konwokacyjny sejm w Warszawie, zwany konwokacją warszawską. W końcu udało się bowiem dojść do porozumienia i przedstawiciele całej Rzeczypospolitej mieli wspólnie ustalić czas, miejsce i sposób elekcji. Na konwokację wybrano podwójną liczbę posłów. Ziemię chełmską, oprócz Mikołaja Sienickiego – podkomorzego chełmskiego i starosty tarnogórskiego, reprezentowali również: Wacław Uhrowiecki, Hieronim Trojan i Łukasz Oleśnicki. Sienicki podczas tego zjazdu podzielił się ze współbraćmi informacjami zdobytymi podczas kilkumiesięcznej podróży po Koronie, co znalazło odzwierciedlenie w sformułowaniach zapisanych w laudach.

⁷ Tamże, s. 140.

450 lat temu pierwsze bezkrólewie postawiło przed uczestnikami ówczesnego życia politycznego szereg wyzwań. Sejmiki zwoływane dotąd przez króla, wobec braku jego osoby, musiały działać samodzielnie. Przekonano się, jak trudno pogodzić rozbieżne interesy poszczególnych regionów i ambicje najwyższych osób w państwie. A jednak trudności udało się pokonać. Bezkrólewie przyczyniło się do powstania dwóch nowych rodzajów sejmku – konwokacyjnego i elekcyjnego – zwoływanych rzecz jasna bez udziału króla, ale w sprawie jego następcy. Pierwszy sejm konwokacyjny zwany konwokacją warszawską obradował od 6 do 28 stycznia 1573 r.⁸ Na zjazd przybyli nie tylko senatorowie i posłowie, ale też inni przedstawiciele stanu szlacheckiego, którzy przysłuchiwali się wystąpieniom, był to bowiem sejm niezwykły.

Monika Nagowska

Bibliografia

Adamkiewicz Sebastian: Podróż Mikołaja Sienickiego po terytorium Korony w pierwszych miesiącach bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta (lipiec-październik 1572 r.). „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Historica”, 2010 nr 85, ss. 21-39.

Akta sejmikowe ziemi chełmskiej 1572-1668. Oprac. Wiesław Bondyra, Henryk Gmiterek, Jerzy Ternes. Lublin: Wydawnictwo UMCS, 2013.

Dubas-Urwanowicz Ewa: Bezkrólewie – czas integracji czy podziałów. „Przegląd Historyczny” 1994 nr 1-2/85, s. 35-43.

Dubas-Urwanowicz Ewa: Koronne zjazdy szlacheckie w dwóch pierwszych bezkrólewach po śmierci Zygmunta Augusta. Białystok: Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, 1998.

Grzybowski Stanisław: Mikołaj Sienicki – Demostenes sejmów polskich. „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”, t. II, 1957, ss. 91-132.

Koehler Krzysztof: Kronika za Zygmunta Augusta w Knyszynie zmarłego roku 1572: zapomniany tekst z dziejów pierwszego bezkrólewia. [w:] Lite-

ratura renesansowa w Polsce i Europie: studia dedykowane Profesorowi Andrzejowi Borowskiemu. Red. Jakub Niedźwiedz. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2016, s. 482-503.

Kronika za Zygmunta Augusta w Knyszynie zmarłego roku 1572: i inne dokumenty polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia. Vol. 1: od lipca 1572 do marca 1573. Wstęp i oprac. Krzysztof Koehler. Kraków: Akademia Ignatianum, Wydawnictwo WAM, 2016.

Płaza Stanisław: Wielkie bezkrólewia. Kraków: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1988.

Sucheni-Grabowska Anna: Sienicki Mikołaj. [w:] Polski Słownik Biograficzny, t. XXXVII, Kraków:

Książki nadesłane

Ks. Henryk Kapica, „W trosce o kondycję ducha”, Mazowieckie Centrum Poligrafii, tom I, ss. 960, tom II, ss. 959.

Ks. Henryk Kapica, „Kościół w Krasnymstawie”, Mazowieckie Centrum Poligrafii, tom I, ss. 703, tom II, ss. 748.

Iwona Chudoba, „Senna kolekcja”, wiersze, Wydawnictwo TAWA, Chełm 2022, ss. 40.

Wojciech Bieluń (Targosz), „Parabole”, wiersze, ASTRUM, Wrocław, 2022, ss. 115.

Mirosław Leszek Iwańczyk, „Moja mała ojczyzna – ziemia krasnostawska – historia, kultura, pejzaż”, Polianna, Krasnystaw 2022, ss. 232.

Henryk J. Kozak, „Komunikat z Botanika”, Wydawnictwo „Norbertinum”. Lublin 2022, ss. 101.

⁸ Więcej na temat konwokacji warszawskiej i konfederacji warszawskiej zob.: Ewa Dubas-Urwanowicz: *Koronne zjazdy szlacheckie w dwóch pierwszych bezkrólewach po śmierci Zygmunta Augusta*. Białystok: Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, 1998, ss. 224-247.



Tomasz Sienicki

Mikołaja Sienickiego przypadki



Mikołaj Sienicki wydaje się nam postacią wielce poważną. To wielokrotny marszałek sejmku, którego zasługi można długo wymieniać. Dodatkowo onieśmiela nas dystans pięciuset lat. Jestem jednak przekonany, że w Siennicy albo w Bończy, w gronie przyjaciół lub krewnych, Mikołaj wyróżniał się z dużym poczuciem humoru, jak choćby jego przyjaciel Mikołaj Rej, autor wielu dowcipnych, czasem sprośnych, ale też refleksyjnych fraszek. Pozwoliłem więc sobie na kilka żartów. Wierzę, że Polski Demostenes przyjąłby je z pobłażaniem i uśmiechem. Podobnie liczę na wyrozumiałość Czytelników. Wiem, że te rymowanki i bohemy niezbyt pasują do szacownego kącika poezji, ale... zaryzykuję. Raz kozie śmierć...

Mikołaj

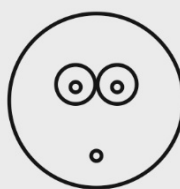
Imć Mikołaj Sienicki z Siennicy Różanej
Pochodził był z rodziny szacownej i znanej,
Ale się, niebożatko z polityką zadał.
Zdrowie podupadało i pałasz opadał...
My korzystajmy z tego, że nas nikt nie złaja
I dziś poróbmy sobie z Mikołaja – jaja.

Wąs i wina

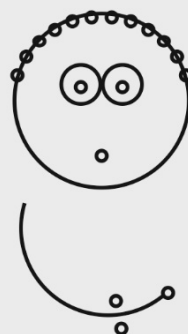
Imć Mikołaj Sienicki z Różanej Siennicy
Wąsem dorodnym słynął w całej okolicy.
Wąs do wina raz mu się pozanurzać chciało.
Nie jego wina. Ładne gdzieś zobaczył ciało.
A ciało tylko czasem szpetnym nam się zdaje...
Kiedy, mości panowie, wina nam – nie staje.

Siennik i sennik

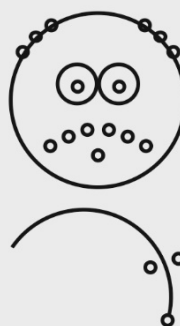
W Siennicy nad Siennicą trawę siano pono,
W Siennicy nad Siennicą siano też suszono.
Usiany sianem siennik w sieni mu usłano.
Siennik – sennik... Wyśniła się fraszka na rano...
A czemuż to tak lekko było wyśnić fraszkę?
Miał Mikołaj Sienicki... dereniówki flaszkę!



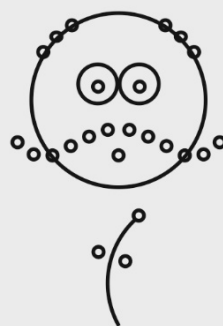
Siennica
1520



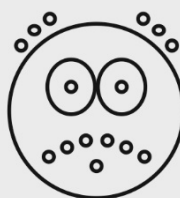
Krasnystaw
1540



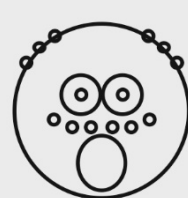
Chelm
1560



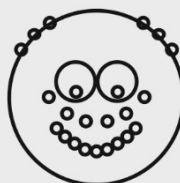
Bończa
1580



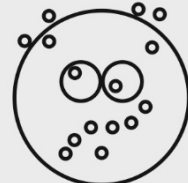
Znów idą Tatary!



W sejmie swary!



Za zboże talary!



O, wegrzyn stary!

Koniec końców

Kij ma dwa końce... I człek żywot jak koń kończy?
A świat cały? Gadają, że kończy się w Bończy...
Ja rzeknę, że bez końca cuda tu bywają.
Świat bez końca, a ci dwaj nad pięćset lat trwają.
Nie kończy się ich życie, choć są pogrzebani.
Piotrowin i Mikołaj, bez końca... wskrzeszani!



Tomasz Sienicki

**Róże na górze,
w dole Siennica
– oto nasza okolica**



Nazwa Siennicy Różanej składa się z dwóch części. Pierwsza pochodzi od rzeki Siennicy, a dodatkowe znaczenie daje jej urodzony tu wybitny polityk Mikołaj Sienicki. Jednorożec w herbie wsi pochodzi z jego rodowego herbu Bończa. A skąd wziął się drugi człon nazwy – „Różana”?

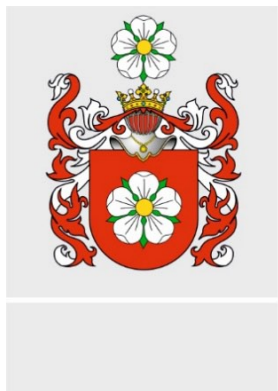
W naszej okolicy jest kilka miejscowości, które przyjęły nazwy od rzeki. Dla rodu Mikołaja Sienickiego duże znaczenie ma Siennica Nadolna, zwana w wieku XV Siennicą Wierzbicką. Tę nazwę można wysnuć od krajobrazu. Rzeka zasila wodą łąki zasobne w siano, okolone wierzbami. Siano, wierzyby – Siennica Wierzbicka. W końcu wieku XV żył tam Jan zwany „Wierzbietta”. Był to

przydomek od nazwy wsi, ale nie nazwisko. A czy w Siennicy Różanej ktoś miał przydomek „Róża”? Tak, ale nie od nadrzecznych róż, tam rosną raczej kaczęńce. Czy więc od róż w wiejskich ogrodach albo przy kościele? Nie... przydomek „Róża” nosili członkowie rodu Boryszewskich, bo tak zwał się ich herb. Inne jego nazwy to Poraj, Różyc, Stoice.

Boryszewscy byli właścicielami Siennicy Różanej do pierwszych dekad wieku XVI. Wtedy to dwie zaciepany panny Boryszewskie wniosły swoje części wsi w posagach wymarzonemu małżonkom. Zofia – Mikołajowi Rejowi, Barbara – Stanisławowi Sienickiemu. Z drugiego związku narodził się wnet Mikołaj Sienicki, nasz słynny „polski Demostenes”. Nasz bohater miał więc po Panu Ojcu Dobrodzieju herb Bończa (Jednorożec, Goworożec), a po Pani Matce Dobrodziejce herb Poraj (Róża). Ich ślady pozostały do dziś w herbie i nazwie wsi.

Herb Bończa opisałyśmy już wcześniej na naszych łamach, wypada teraz poświęcić nieco uwagi herbowi matki Mikołaja. W herbarzu Kaspra Niesieckiego znośnie opracowanym w klasztorze jezuitów w Krasnymstawie w latach 1724-1744 autor poświęcił mu dużo miejsca. Jednak opis heraldyczny jest wyjątkowo krótki. „Poraj herb. Róża biała o pięciu listkach, w polu czerwonym być powinna, nad hełmem i koroną także róża”. Ale właśnie ta róża jest intrygująca i inspirująca...

Biała pięciopłatkowa róża to nie tylko herb panien Boryszewskich, to także godło Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, zwane „Różą Lutra”. Zdziwiające jest, że taka róża zdobi kościółek w pobliskiej Bończy. Czy ku pamięci Barbary, matki



Herb Poraj – ok. r. 2000,
Alfred Znamierowski.



Herb Poraj – ok. r. 1740,
Kasper Niesiecki.



Róża Lutra – ok. r. 1700,
autor nieznan.



Róża ryta – ok. r. 1580,
epitafium w Bończy.

Mikołaja, tamże pochowanego? A może dla zaznaczenia faktu, że budynek służył w wieku XVI protestantom? Jego fundator, nasz Mikołaj, był przecież kalwinistą. Tak czy owak, róża wyrzyta w czarnym marmurze zapewne pozostanie w Bończy na kolejne stulecia. A więc może stać się także atrybutem Bończy, nie tylko Siennicy.

Czy Siennica Różana odda różę, szansę na miejscową markę? Mam nadzieję, że nie. Marzy mi się miejsce urodzin Mikołaja usiane klombami białych róż na cześć „Różyców” Boryszewskich, zwłaszcza żon Stanisława Sienickiego i Mikołaja Reja. Ważne, żeby te różę były wyłącznie białe. Co za malowniczy wyróżnik naszej miejscowości! Uważam, że dla róż w innych kolorach nie powinno być tu miejsca. Jako tło mogłyby świecić czerwone maki w barwie tarczy herbowej.

A co upamiętni herb Bończa? Może białe margaretki na tle błękitnych fiołków? „Na górze różę, na dole fiołki”... Oj, chyba mam już nie tylko fiołka, ale sporego fioła na punkcie marki Siennicy Różanej! Mam nadzieję, że nie tylko ja...

Tomasz Sienicki

Elżbieta Kmieć

Regina Pacis



W tradycji Kościoła rzymskokatolickiego Matka Boża, wśród wielu nadawanych jej tytułów, nazywana jest także Królową Pokoju, po łacinie *Regina Pacis*. W ikonografii jej atrybutem często bywa gołębicą z gałązką oliwną w dziobie, będącą od czasów starotestamentowych symbolem pokoju i pojednania.

Taka wyjątkowej urody rzeźba przedstawiająca Królową Pokoju, stoi w Tarnogórze, przy drodze prowadzącej z Izbicy do Chorupnika. Usytuowana kilkanaście metrów od szosy, obok budynku dawnej organistówki z 1840 roku¹ i nieopodal kościoła

parafialnego św. Zofii². Jej prawdziwe piękno wydobyla na nowo renowacja przeprowadzona w 2018 roku, która umożliwiła także odczytanie wszystkich inskrypcji. Tych kilka zdań pozwoliło – choć w niewielkim stopniu – poznać bliżej historię tej figury, która od 1946 roku, czyli już ponad 75 lat zachwyca swą urodą. Obiekt wykonany jest z piaskowca na planie kwadratu, zorientowany na południe-południowachód. Ma formę dwuczęściową – czworokątnego postumentu o wysokości 163 cm oraz rzeźby Maryi o wysokości 190 cm; łącznie ma 353 cm. Z trzech stron podstawy znajdują się napisy. Od frontu: KRÓLOWO POKOJU MÓDL SIĘ ZA NAMI 1939 – 1945. Od strony wschodniej taka sama treść napisana jest po łacinie: REGINA PACIS ORA PRONOBIS³ MCMXXXIX – MCMXLV. Od strony zachodniej jest informacja: ODNOWIŁ 1976 FUNDATOR KONSTANTY WILKOŃSKI A.D. 1946.

Fundatorem pomnika był Konstanty Wilkoński z Tarnogóry. Nie udało mi się dotrzeć do osób, które miałyby o nim bliższe wiadomości. Od dalekich krewnych dowiedziałam się tylko tyle, że po wojnie osiadł w Warszawie. Interesował się sfinansowaniem przez siebie pomnikiem, gdyż roku 1976 z jego inicjatywy został odnowiony. Podobno miały miejsce jakieś nieporozumienia z ówczesnym proboszczem, związane z wycinką świerka, jednak bliższych szczegółów rodzina nie zna.

Postument, na którym stoi rzeźba, wieńczy okrągła płyta o grubości kilkunastu centymetrów. Na niej, od strony północno-zachodniej znajduje się napis o treści: RZEŻB. Z. DUNAJEWSKI.

Zbigniew Dunajewski⁴ żył w latach 1907-1966. Pochodził z Dynowa na Podlasiu. Wskutek choroby Heinego-Medina całe życie poruszał się na wózku inwalidzkim. W 1926 roku w Krakowie zaczął naukę w zakresie rzeźby w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego, a następnie studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W końcu lat 30. jego prace wystawiane były przez Instytut Propagandy Sztuki

szawa 1964, s. 62.

² Warto przypomnieć, że świątynia w Tarnogórze jest najstarszym obiektem kościelnym na ziemi krasnostawskiej.

³ Na pomniku „Pro nobis” zapisane jest łącznie.

⁴ Zbigniew Dunajewski – Wikipedia.org.

¹ „Katalog Zabytków Sztuki w Polsce”, Tom VIII, Zeszyt 8, Powiat krasnostawski, Instytut Sztuki PAN, War-

oraz Zachętę. Po wojnie nadal tworzył, uczestnicząc w licznych wystawach i konkursach. Był autorem m.in. pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, którego „głośnie” zdemontowanie odbyło się w 1989 roku, stając się symbolicznym znakiem przemian ustrojowych. Zmarł w Warszawie, pochowany został na cmentarzu Powązkowskim. Zachowane prace artysty znajdują się w kolekcjach prywatnych i w zbiorach różnych muzeów, m.in. w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Szukając w Internecie informacji o twórcy tarnogórskiej Królowej Pokoju, trafiam na profil facebookowy artysty, prowadzony przez jego syna⁵. Wśród wielu zawartych tam ciekawostek dotyczących sylwetki Zbigniewa Dunajewskiego, dwie zasługują na przybliżenie.

Pierwsza to trzy fotografie wcześniejszych rzeźb artysty, które mogły być inspiracją dla figury tarnogórskiej. Dwie z nich, wykonane były z szarej gliny w roku 1925. W źródle, z którego pochodzą, tj. gazety „Świat i Prawda”, ilustrowanego miesięcznika nr 33(4) rok IV, kwiecień 1926, opisane zostały jako: „Cicha rozpacz” studium z fantazji oraz „Królowa Jadwiga”, wykonana z fantazji. Jest i trzecia praca, swoim pięknem, harmonią kształtów, nieskazitelnymi proporcjami ciała i zwiewną lekkością przypominająca wyżej wymienione, a nade wszystko rzeźbę tarnogórską. Chodzi o figurę Maryi – Matki Bożej Królowej Morza, którą ustawiono w 1931 roku w Jastarni, na terenie obozu letniego, przed pawilonem młodzieżowym, od strony torów kolejowych⁶. Niestety, los figury nie jest znany. Jej zdjęcie zamieścił „Związkowiec” z 1931 roku, zeszyt IV, z podpisem: „Rzeźba Zbigniewa Dunajewskiego przedstawiająca Matkę Boską Królową Morza. Na aureoli napis – Regina Maris. Napis na cokole – KRÓLOWO I PANI strzeż NAS i MORZE POLSKIE 1931”.

Drugi wątek dotyczący twórcy tarnogórskiej rzeźby wiąże się z postacią zasłużonego dla ziemi krasnostawskiej pisarza i działacza Józefa Nikodema Kłosowskiego⁷. W jego dorobku literackim,



Rzeźba „Regina Pacis” Z. Dunajewskiego w Tarnogórze. Fot. Elżbieta Kmieć.

oprócz siedmiu powieści, znajduje się zbiór opowiadań wydany w 1948 roku przez Wydawnictwo Ludowe, w nakładzie 5 000 egzemplarzy, zatytułowany „Serce w lipowym drewnie”. Ta, niewielka, bo licząca 115 stron książka jest bogato ilustrowana właśnie przez Zbigniewa Dunajewskiego. Udało mi się nawet w jakimś antykwariacie na drugim końcu Polski znaleźć sfatygowany dość egzemplarz, który zapachem wilgoci i wieloma pokreślonymi pieczęciami opowiada swoją historię, gdzieś spod Kłodzka. Rysunki w tej książce, wykonane (chyba) piórkiem, przypominają trochę osławione prace Roberta Seymoura, ilustratora „Klubu Pickwicka”. Każdy z nich sygnowany jest: „Z. Dunajewski 1947”.

W tym miejscu można zadać pytanie: czy obaj twórcy poznali się przy okazji powstawania pomnika Maryi w Tarnogórze? Czy znali się już wcześ-

ziemnej, inicjator powstania Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie.

⁵ Maria Zbigniew Dunajewski – artysta rzeźbiarz (Witryna poświęcona kulturze i sztuce).

⁶ Z czasem obóz zyskał nazwę Regina Maris.

⁷ Józef Nikodem Kłosowski 1909-1959 – pisarz, publicysta, pedagog, organizator życia literackiego i odkrywca talentu Stanisława Bojarczuka, w czasie okupacji aktywny działacz BCh i wydawca prasy pod-



Jedna z ilustracji Z. Dunajewskiego w książce „Serce w lipowym drewnie” J.N. Kłosowskiego.

niej? Wszak obaj studiowali w Krakowie i byli prawie rówieśnikami. A może dzięki Józefowi Nikodemowi Kłosowskiemu Zbigniew Dunajewski otrzymał to zlecenie? Być może odpowiedź na te pytania jest zupełnie inna i nigdy już jej nie poznamy.

Odnowienie figury Królowej Pokoju i urządzenie estetycznego otoczenia wokół rozpoczęło się od wspólnego działania ówczesnego proboszcza ks. Jarosława Wójcika i władz gminnych. W 2016 roku wpisano pomnik do Gminnej Ewidencji Zabytków. W 2018 wykonano wszystkie prace, których łączny koszt wyniósł kilkadziesiąt tysięcy złotych. Odbiór prac konserwatorskich odbył się 14 września 2018 roku⁸.

Jeśli po drodze będzie komuś przez Tarnogórę, to zachęcam by zatrzymać się chwilę przy figurze Matki Bożej Królowej Pokoju ze słowami: *Regina Pacis, ora pro nobis!*

Elżbieta Kmieć

Podsumowanie Turnieju Poetyckiego „O chmielakowy antałek” 51. Ogólnopolskiego Święta Chmielarzy i Piwowarów „Chmielaki Krasnostawskie” 2022

Turniej Poetycki „O chmielakowy antałek” jest organizowany od 1983 roku jako impreza towarzysząca „Chmielakom Krasnostawskim”. Zainicjował go i powołał do życia krasnostawski poeta Jan Henryk Cichosz, jeden z założycieli Grupy literackiej „Słowo”. Zgodnie z regulaminem turnieju, organizatorzy oczekują na utwory o szeroko pojętej tematyce ludyczno-dionizyjskiej, zgłoszenia mają zasięg ogólnopolski.

Tegoroczne jury w składzie: Patrycja Stojńska, Jadwiga Demczuk, Jan Henryk Cichosz (przewodniczący), po przeczytaniu kilkudziesięciu nadesłanych zestawów utworów, 11 sierpnia 2022 r. postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

- I nagroda – Bogdan Nowicki** (Świętochłowiec)
- II nagroda – Mirosław Kowalski** (Mysłowice)
- III nagroda – Mariusz Szczepaniak** (Katowice)
- Wyróżnienie honorowe otrzymał Stanisław Wasilewski** (Żyrardów)

Nagrody finansowe przyznane laureatom ufundował Krasnostawski Dom Kultury. Okolicznościowy dębowy antałek, jako pamiątkowa nagroda rzeczowa, trafił do rąk poety Bogdana Nowickiego. W obecności jurorki Jadwigi Demczuk wręczył ją zastępca burmistrza Krasnegostawu Krzysztof Sugalski.

Na finałowym spotkaniu pojawił się także jeden z nagrodzonych autorów Mariusz Szczepaniak, który wystąpił w krótkiej rozmowie z jury przed krasnostawską publicznością. Nagrodzone wiersze zostaną opublikowane w Czasopiśmie artystycznym „Nestor”.

⁸ Dziękuję Pani Marcie Bałabuszek z UG w Izbicy za życzliwość i informacje.

Laureaci Turnieju Poetyckiego „O chmielakowy antalek” 2022

I nagroda

Bogdan Nowicki

Chmielakowo I

Chmiel lubi być łaskotany,
wtedy drży w nim powietrze
a chwasty, wplatając się w jego zieleń,
parują, parują aż do żrenicy ściemnień –

podchodzą chłopcy z kuflami do dziewcząt
podobnych do widmowych dziwożon –
wraz z zachodem kładą się na wznak:
w polu, w lesie otwierają krótki szelest

jak dzikie owoce odkryte przez księżyc,
rzucone w wielką dziurę zwierciadła,
w której się zimna

igła obraca.

Chmielakowo II

Kora nasłuchuje trzeszczenia chmielu –
gdy dojrzewa, łożyski muskają kręconym wąsem
jej wyrudziałą sierść.

W obejściach udręczonych puszystością żdźbeł
zbierają się cherlawe kalafiory tuziemców
i skaczą, skaczą

w widnokres drzemki Boga,
a starcy zagadkowo wskazującym palcem
pukają w kufle z kryształu

i zakręcają
capie brody drżące na złośliwym
muskule twarzy...

Chmielakowo III

Parzą pokrzywy, piekące włoski przewietrzają
figle, co zwabia chmarę skrzydlatych dziewczynek,
udających się na doroczne skubanie wiatru,
z szyszek i łodyg chmielu,

po którym taki w przestrzeni kurz,
że pod guzickami krzywo zapiętych sukienek
nie potrafi zawiązać się nowe wydarzenie.

II nagroda

Mirosław Kowalski

Roześmianym dziewczynom

na tabunie obłoków
szwoleżer wiatr gna nad wypami gór
białą grzywą marzeń
głaszcze warkocze roześmianym dziewczynom
niech im się darzy
niech im się zdarzy chłopiec do tańca
i do różańca
bystry jak potok gładki jak niebo tęgi jak dąb
i dobry zwyczajnie – jak chleb

z torbą pełną snów
szwoleżer wiatr pędzi po grzbietach gór
od Ustronia po Wołosate
na liściach jaworów i lip wygrywa melodie jak z nut
i na krótko
wpada do Łącka jakby na jednego

szwoleżer wiatr
po dolinach i zboczach sieje dobre sny
złotawe rumieńce
roześmianym dziewczynom i dojrzałym sdom
maluje na policzkach
górskim polanom rozwiewa czupryny
roześmianym dziewczynom
starannie rozczesuje długie lśniące włosy
potem im plecie
złociste warkocze na ślub



rys. Urszula Gierszon

Widok z drzewa

na pozór wszystko jest jak było
nad polnymi drogami w chmurach i jaskółkach
ścigają się anioły na pierzastych rowerach
wytrwale przez łąki i bagna
kajakarze za sobą ciągną wstęgę rzeki

czas płynię po to
by wygrzać rowki pory dziury zmarszczki
na wodzie niebie i skórze

żeby tak jeszcze raz
wdrapać się na tamto stare drzewo
posiedzieć na konarze
z którego widać niewidzialne przezroczyste

dojrzeć jak wiatr odrywa
razem z korzonkami horyzonty od ziemi
i po prostu poprzyglądać się zwyczajnie
zgrai rogatych łaciatych czarownic
debatujących nad kotłem rozgrzanej łąki
odnaleźć wszystko
wrócić do drzewa

czas wygrza rowki
i choć ma to wypisane
na wszystkich kółkach zębatach
jednak nie zawsze się o tym pamięta

zwyczajnie
brakuje smaru w trybkach
ręce stają się jak liście
trudno już wspiąć się na drzewo

III nagroda

Mariusz Szczepaniak

Po pracy

spracowały się ręce

czas spocząć na brzuchu kufla
chłodnym i perlistym
inaczej jak pot z czoła
zetrzeć pierwszym łykiem
za zamkniętymi oczami
pójść w zapomnienie
w złoty łan piany
aż do zablądzenia
myślą gdziekolwiek

otwierają się usta

polykają tematy
coraz więcej mają na językach
trzeba się wygadać
wrzucić kawałek duszy
do wspólnego kotła rozmowy
ugasić pragnienie
bijąc i spijając pianę
smakując słowa
łyk po łyku
aż po fajrant

milczenia



rys. Urszula Gierszon

Piwny raj

w piwnym raju aniołowie
z mokrymi wąsami,
kręci im się trochę w głowie
gdy fruną z kuflami;
z szyszek chmielu mają skrzydła,
złote aureole,
nuda w niebie im obrzydła,
niech żyją swawole!

trójca piwna: sól, chmiel, drożdże,
w wodzie leżakuje,
piwko będzie, dobry Boże,
jakże nam smakuje!
zamiast wina – piwny cud
– panu Bogu chwała!
Święty Patryk wbije szpunt,
poleje się piana!

kiedy przed Piotrową bramą
do raportu stanę,
chciałbym, by kufelek z pianą
szybko mi podano;
czy w nagrodę, czy za karę,
nie będę się krzywił,
do wieczności po browarek
i będę szczęśliwy...

Bar wzięty

Przy lśniącym baru kontuarze
ludzie najbardziej przypadkowi,
skrzywione uśmiechami twarze,
nikogo nikt tu nie obchodzi.

„Show must go on” – życie, a jakże,
alkohol tuli zmęczone głowy,
dmuchając procentami w żagle,
umarł już tydzień – niech żyje nowy...

A z każdym drinkiem świat pięknieje,
nad barem sufit staje się niebem,
co było wczoraj – obojętnie,
co będzie jutro – tego nikt nie wie.

W półcieniach smutków budzą się błyski,
przelotne flirty pod baru gwiazdą,
odwagi więcej, gdy więcej whisky,
samotne serca swój czas tu kradną.

W rękę barmana shaker jak księżyc,
srebrzysta luna nad kontuarem,
trzeba uwierzyć, by jakoś przeżyć
i za to toast wznieść szampanem.

Muzyka pachnie dymem cygara,
z podłym zapachem perfum się miesza,
ktoś w konspiracji ziło zapala,
ktoś pocałunkiem kogoś pociesza.

Czas, jak alkohol w żyłach płonie,
anonimowe znacząc momenty,
aż barman rzuci wszystkim na koniec:
„Już zamykamy, idźcie, bar wzięty...”

Wyróżnienie

Stanisław Wasilewski

Sen

Pokochałem Ciebie we śnie
od brzoź zieleńszym
i miękkim jak w ciemność
strącone jezioro-kołyska Księżycą
i wiatr poznaję
narwiański trubadur
na harfie zielonych tataraków
umiejszcowił się jak na pięciolinii
a wszystko otulone mgłą
sielankową szubą

Na uroczysku
zazdrosnym o nastrój zadumy
pokochałem Ciebie nocą
pęczniejącą od rosy
i pamiętam jak w ciszę
wkradł się chichot ogniska
a brzozy obnażone wesołym płomieniem
cofnęły się o krok od brzegu rzeki

Szukałem Twojej twarzy
w każdej iskierce
która gardząc gwiazdami
pięła się ku niebu

Pokochałem Ciebie
choć Twoje pocałunki
miały posmak jesieni
barwę pożegnania

Andrzej Stanisław Adamczuk

W „Moim Jaślikowie”
ludzie też umierali.
Słów parę o śmierci



W moim Jaślikowie, zarówno święto Wszystkich Świętych, jak i Zaduszki, obchodzone były z dużą starannością. Szacunek dla zmarłych oraz wiara w ich moc sprawczą w zaświatach była duża i gdzieś tam głęboko w świadomości każdy obcował z umarłymi. Na mogiłach trwał obrzęd palenia „ogni pamięci”, a w ich migotliwym blasku, wielu nawiązywało – nie będąc w pełni tego świadomym – do starego obrzędu dziadów. Święta te, były też okazją do snucia wieczornych wspomnień o zmarłych, w których to opowieściach umniejszano ich wady, powiększano zalety i często wpłytywano wątki mistyczne i religijne. Opowieści te – w wyobrażeniu nas, dzieci – ocierały się o tajemniczy i stary świat baśni, pełen duchów, zjaw i niezwykłych zdarzeń towarzyszących śmierci. W małej wiejskiej społeczności mojego Jaślikowa, śmierć była zawsze wydarzeniem niezwykłym i ważnym.

Ludzie na wsi, prawie zawsze umierali w domu, złożeni chorobą albo po prostu ze starości. Do domu opieki (mówiono – „do przytułku”) trafiali tylko w bardzo skrajnych przypadkach. W wiejskim domu, w którym zawsze ktoś był, starymi ludźmi na ogół opiekowano się bardzo skwapliwie, chociaż bywały przypadki wynikające z biedy, czasami z braku empatii, że starzy ludzie traktowani byli jak ciężar i przykry obowiązek – społeczność wiejska nie wtrącała się do spraw swoich sąsiadów, ale wszyscy o wszystkim wiedzieli i taki człowiek, który nie zadbał o starego rodzica – tracił na wsi szacunek.

Każda śmierć była celebrowana według pewnych utartych reguł obrzędowych i zwyczajów, których skrzętnie przestrzegano. W domu zmarłego, na pewien czas ustawało codzienne życie. Zatrzymywano zegary, zasłaniano lustra, czasami zasłaniano też okna, nie można było palić w piecach ani pod kuchnią, prace domowe ograniczały się do obrządku w oborze, stajni czy w kurniku. Przed wejściem do domu zmarłego, stało wieko

trumny, jako znak, że dom ten śmierć nawiedziła. Żałobne śpiewy i gwałtowne lamenty, palące się świece przy trumnie z ciałem, podkreślały wagę wydarzenia i jego żałobny charakter – słowem był to teatr obrzędowy, gdzie aktorzy byli też częścią widowni.

Główne egzekwia odprawiano wieczorem, a w trakcie dnia przy zmarłym czuwała głównie rodzina i bliscy. Wieczorem, odwiedzający przychodzili tłumnie, żeby modlitwami i śpiewem pożegnać zmarłego, czasami przychodzili też ze zwykłej ludzkiej ciekawości. Dzieciarnia zawsze w pierwszym rzędzie z rozdziawionymi gębami, patrzyła z niedowierzaniem na nieruchome ciało w trumnie, słuchała posępnych śpiewów i zadawała sobie w swoich małych umysłach pierwsze ważne pytania – jak to jest z tym życiem?

Pierwszym zmarłym, którego zapamiętałem, był stary Antoniak, Jan mu chyba było na imię. Mieszkał z dwoma siostrami Wiktoria i Marynią w małym, drewnianym domku, pomiędzy Paradowskim a Błaziakiem. Pamiętam go jako starego i już niedołężnego człowieka, jak siadywał na przyzbie domu, od południowej strony, podpierając brodę grubym kosturem, trzymany między kolanami – długo chorował i w końcu umarł.

Było to gdzieś w połowie lat 50. Pora była jakaś ciepła i pamiętam jak z grupką innych dzieci, wracając ze szkoły, poszliśmy zobaczyć, jak to jest z tą śmiercią starego Antoniaka. W umysłach małych dzieci, śmierć zawsze budziła ciekawość, ale też strach przed nieznanym. W małej izbie z podłogą z glinianej polepy posypanej świeżym piaskiem, stary Antoniak leżał w trumnie stojącej na stole przykrytym białym płótnem. Paliły się gromnice, obok trumny czuwały zapłakane i stroskane siostry. Jeden szczegół został mi jeszcze w pamięci – mianowicie to, że koszula albo jakiś większy element ubioru trumiennego, jaki miał na sobie zmarły, uszyty był z ręcznie tkanego płótna konopnego albo lnianego, zdobionego prostym haftem. Dlaczego ja to zapamiętałem?

Naśladując starszych, odmówiliśmy „paciorek” na klęczkach (paciorek umiały już małe dzieci) – i tak oto Jej Wysokość Śmierć przedstawiła nam się z bliska. Niewiele z tej śmierci jeszcze rozumieliśmy, ale ziarno niepokoju w duszy już zostało zasiane. Nawet w takiej małej zbiorowości, jaką

jest mój Jaślików, kiedy próbujesz policzyć, ilu ludzi odeszło w czasie twojego życia, łapiesz się za głowę, że aż tylu.

W ostatnim tygodniu października, kiedy zbliżały się Zadzuszki, ludzie z mojego Jaślikowa, odwiedzali groby swoich bliskich, porządkowali je z dużym zaangażowaniem, jakby chcieli powiedzieć tym, którzy tam leżą: „Nie miałem dla Ciebie czasu kiedy byłeś! Chcę, żebyś wiedział, że żałuję tego i próbuję Ci to wynagrodzić”.

W tych dniach, odkładano pilne prace w domu, na rzecz porządkowania grobów i przebywania w sferze miejsca związanej z duchem zmarłego, miejsca, w którym spoczywał ktoś bliski, kiedyś bardzo ważny, z którym nie do końca rozmówiliśmy się przed śmiercią. W tej kwestii nic się nie zmieniło do dzisiaj, tylko groby na tamtym cmentarzu inne były niż dzisiaj – w większości ziemne mogiły, usypane w kopczyk i uklepane łopatą grabarza. Kopczyk ten, po latach zapadał się coraz bardziej i był to znak, że ten, który pod nim leży, zmienia się w „proch” – zgodnie z zapowiedzią, że oto: „Zamienisz się w proch, z którego powstałeś”.

Było biednie, ale z tej biedy i prostoty na cmentarzu rodziła się mistyka, powaga i tajemniczość obrzędu. Dzisiaj cmentarze lśnią polerowanym kamieniem i „pięknymi” lampionami, tym dzisiejszym bogatym blichтром i pamięcią wyrażoną złotymi literami na tle ciemnego jak noc granitu. Refleksje, żal po zmarłym i smutek pozostały te same, tylko forma, w jakiej są wyrażane, dużo więcej kosztuje.

Andrzej Stanisław Adamczuk



Nie wiem, czy to pogrzeb, ale zamieszczam to zdjęcie, bo doskonale ilustruje atmosferę dawnych pochówków. Rozpoznaję kilka osób – wszyscy z Jaślikowa: drugi z lewej to Adolf Tymicki, nad nim z prawej, jest jego brat Janek, a z lewej (nad nim) Żebrowski – imienia nie pamiętam, chyba Czesław, mieszkał koło czerwonej szkoły, teraz tam stoi kościół. Zdjęcie pochodzi z archiwum Zofii Patyk-Marczewskiej z Jaślikowa, wykonano je na początku lat 50. ubiegłego wieku – tak oceniam po wyglądzie rozpoznanych osób.



Chciałem pokazać chałupę Jana Antonia, która znajduje się w tle zdjęcia, bo fotografowałem osoby znajdujące się na pierwszym planie, a są to Karolina, Wacek i Januszek Błaziakowie, sąsiedzi Antoniaków – dzieci Jana Błaziaka. Autorem tego zdjęcia jestem ja, a wykonano je latem 1964 r.

Jan Orłowski



Kolęda na nowe czasy

Tam w stajence betlejemskiej,
Pośród zwierząt, chłodu, mroku,
Na świat przyszło Boże Dziecię,
Wytęsknione przez proroków.

Wszystkie ludy całej ziemi
Chciałeś, Jezu, Synu Boży,
Zbawić swoim poświęceniem,
Niebios bramy im otworzyć.

Dzisiaj też jak przed wiekami
Świat potęgą zła nas trwoży,
Chcemy przeto – wciąż bądź z nami,
Przenajświętszy Synu Boży.

2019, 25 grudnia

Dla świata całego

Nie do nas tylko, ale dla świata
W tę noc przybywasz, nasz Jezu Chryste,
W wielkim ubóstwie dziś narodzony,
Z łona swej Matki, Panny Przemysłej.

Maryjo Święta, chroń to Dzieciątko,
Wszak Ono będzie światu królować;
Światłością Prawdy, mocą miłości
Zwycięzą Jego prorocze Słowa.

2020

Skarga chrześcijanina

Jezu, nasz Panie, na świat przychodzisz,
Gdy łaski Twojej potrzebujemy,
Ażeby Miłość, Dobro i Prawda
Mogły rozkwiąć na całej ziemi.

Do walki z Tobą nasz świat dzisiejszy
Wszystkie swe siły natężył.
Bracia w Chrystusie, Bogu ufajmy,
Królestwo Boże zwycięży!

2020

Czy to czas proroctwa?

Już takie czasy nam nastały,
Najmilszy Boże nasz i Panie,
Że dziś nie w każdym polskim domu
Radosne czeka Cię spotkanie.

Dziś w świecie spełnia się proroctwo,
Że dla Twego, Jezu, imienia,
Twoi wyznawcy będą znosić
Śmierć i szyderstwo, i cierpienia.

2020

Pan naszą radością

Radujmy się, gdy Pan przybywa!
Choć słaby, będzie stał na straży,
By nikt więcej nie profanował
Przenajświętszych Jego ołtarzy.

2020



rys. Urszula Gierszon

Blask gwiazdy nad Betlejem

Ufajmy pełnią naszej wiary,
 Że gdy anioły rozśpiewane
 Obwieszczą Boże Narodzenie,
 Wtedy na ziemi cud się stanie –
 Brat ze swym bratem się pojedna,
 Nienawiść ludzka wtedy zgaśnie
 I promień Gwiazdy Betlejemskiej
 Naszemu światu mrok rozjaśni.

2020



rys. Urszula Gierszon

Kolęda nadziei

Znowu jak niegdyś przed wiekami
 Przybywasz do nas, Boże Dziecię,
 I znowu będziesz razem z nami
 Jeszcze nie jedno tysiąclecie.

O losy świata zatroskani,
 Dziś lęki swe i niepokoje,
 Tobie z nadzieją powierzamy –
 Przygarnij nas pod władztwo Twoje.

Dziś z pełnią wiary swej ufamy,
 Że pokój spłynie tu na ziemię,
 Że nam otworzysz niebios bramy,
 Że będzie na ziemi jak w niebie.

2021

Na powitanie Syna Bożego

Kiedy Jezus Chrystus
 Do ludzi przybywa,
 Z ich serc więcej dobra
 Na świat się wyrwa.

Tak było od wieków
 I tak będzie zawsze –
 Po Twym przyjściu, Jezu,
 Świat będzie łaskawszy.

Chrystus Narodzony
 Wiarą nas ożywi,
 I ludzie się staną
 Dobrzy i szczęśliwi.

2022

Wiara i ufność

(Kolęda)

W radosny czas Bożego Narodzenia
 Niechaj w pokoju odetchnie ziemia,
 Wszem pokoleniom Chrystusa dzieci
 Gwiazda z Betlejem niech jaśniej świeci.

W ten błogi czas, gdy Boży Syn przybywa,
 Ludzkie braterstwo na ziemskich niwach
 Pełnią radości niechaj rozkwita,
 By Króla Wieków godnie powitać.

Jezu, nasz Zbawco, Twe Narodzenie
 Niech nam przyniesie ducha odrodzenie,
 Wiarę i ufność, że wszechmoc Boża
 Złe moce świata dobrem przemoże.

Jezu, Synu Boży, nasz Panie,
 Spraw, niech to się stanie!

2022

Marta Kafarska

Moje spotkania pielgrzymkowe z papieżem Janem Pawłem II



Będąc małą dziewczynką, gdy byłam jeszcze w szkole podstawowej, myślałam, że papież to jest na pewno jakaś osoba wielka, niezwykła, znacząca, ale jednocześnie niedostępna i wyniosła, która przebywa w swoich apartamentach, gdzieś tam daleko w nieznanym mi Rzymie.

Moje myślenie dziecięce zmieniło się częściowo z upływem lat, a w szczególności, kiedy w roku 1987, a dokładnie 9 czerwca, będąc w Lublinie i stojąc wraz z siostrą Basią i tłumem mieszkańców miasta przy archikatedrze lubelskiej, zobaczyłam naszego, polskiego papieża Jana Pawła II. Wówczas wracał z Majdanka swoim papamobile, gdzie odwiedził były obóz hitlerowski i modlił się. Wstąpił także do archikatedry, aby również pomodlić się przed obrazem Matki Bożej słynącej kiedyś cudami. Po chwili mogłam zobaczyć, jak nasz uśmiechnięty papież, młody jeszcze, wsiadał ponownie do papamobile, udając się na KUL, na spotkanie z profesorami i studentami, gdzie kiedyś sam był wykładowcą etyki. Pozdrowiał jednocześnie swoim znanym gestem wszystkich zgromadzonych na trasie przejazdu.

Jeszcze tego samego dnia byłam obecna na osiedlu „Czuby”, gdzie papież przewodniczył mszy św. dla mieszkańców Lublina i nie tylko. Miałam wtedy możliwość posłuchać na żywo także jego pięknej homilii. Ten dzień, od którego już mija 35 lat wbił się głęboko w moją pamięć. Nie wiedziałam jednak, że nie były to jeszcze wszystkie moje wrażenia.

W roku 1998 Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” w porozumieniu z Centrum Pielgrzymkowym im. Jana Pawła II w Warszawie zorganizowało pielgrzymkę autokarową do Rzymu na uroczystości jubileuszowe z okazji XX-lecia pontyfikatu Jana Pawła II. Ramowy program pielgrzymki był imponujący i zachęcający: uczestnictwo w głównych uroczystościach w Watykanie, a ponadto zwiedzanie Wenecji, Padwy, Asyżu, Monte Cassino, no i oczywiście Rzymu. Nie mogłam nie ulec takiej pokusie.

Jakże mile wspominam ten dzień uczestniczenia naszej pielgrzymki z Krasnegostawu i Lublina w uroczystości na placu św. Piotra w Watykanie, której przewodniczył papież Jan Paweł II. Na zakończenie uroczystości papież jak zwykle w różnych językach pozdrowiał pielgrzymów z całego świata. Na końcu pozdrowiał swoich rodaków – nas Polaków. Mnie to jednak nie przeszkadzało, nie mogło być inaczej. Może powiem jednak tak wzniosłe – byłam wówczas dumna, że to papież, mój rodak – Polak przewodniczy mszy św. na placu św. Piotra, dla pielgrzymów z całego świata o różnym kolorze skóry i mówiących różnymi językami. Tego samego dnia miałam możliwość upamiętnić przejazd papieża po placu św. Piotra.

Wspominam także następną dzień, kiedy można było swobodnie przemieszczać się we wnętrzu Bazyliki św. Piotra. Pomodlić się przy słynnej Piecie, przedstawiającej Maryję trzymającą w ramionach zdjętego z krzyża Jezusa, arcydzieło Michała Anioła. Uklęknąć przy głównym ołtarzu zwieńczonym wielkim baldachimem z brązu opartym na czterech wysokich, skrzyślonych, marmurowych kolumnach nad grobem św. Piotra, pierwszego następcy Chrystusa. W bazylice można było robić zdjęcia.

Bazylika św. Piotra to drugi pod względem wielkości kościół na świecie. Znajduje się tutaj kilkadziesiąt ołtarzy i kilkaset posągów. Jej wnętrze może pomieścić kilkadziesiąt tysięcy pielgrzymów, którzy przybywają tu z całego świata. Ważnym miejscem w bazylice są także Groty Watykańskie, które znajdują się bezpośrednio pod nią. Schodzi się tam w pobliżu głównego ołtarza po kilku schodkach. Jest to miejsce spoczynku papieży. Moją szczególną uwagę zwróciły sarkofagi ostatnich papieży: Jana XXIII, Pawła VI i Jana Pawła I, po którym bezpośrednio miał pontyfikat Jan Paweł II.

W roku 2000 – Roku Jubileuszowym, s. Adriana – służebniczka NMP z Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego w Tuligłowach, który obecnie nosi nazwę „Nasz Dom”, zorganizowała pielgrzymkę do Włoch. I tym razem jej program był bardzo atrakcyjny. Moja decyzja o wyjeździe podyktowana była tym, że Włochy to jedno z najpiękniejszych państw świata. To ośrodek kultury chrześcijańskiej, a liczne zabytki sprawiają, że ten kraj odwiedzają miliony turystów z całego świata. Największym jednak

przeżyciem dla Polaków i nie tylko było wówczas spotkanie z papieżem Janem Pawłem II. Mną także to kierowało.

29 czerwca, w dniu Świętych Apostołów Piotra i Pawła, w czasie głównych uroczystości na placu św. Piotra którym przewodniczył Jan Paweł II, nasza pielgrzymka była ulokowana wraz z korpusem dyplomatycznym obok baldachimu papieża. Miałam więc możliwość uwiecznić to szczególne miejsce. Po zakończeniu uroczystości papież, jak zwykle objeżdżał plac św. Piotra, pozdrawiając znanym gestem wyciągniętej dłoni zgromadzonych pielgrzymów. Ten moment upamiętnił kol. Henryk Parcheta, a także i mnie z wyciągniętą ręką, jako gestem odwzajemnionego pozdrawiania.



Tego samego dnia zwiedzaliśmy olbrzymie Ogrody Watykańskie, na terenie których znajduje się wiele roślin, krzewów i drzew pochodzących z całego świata. Wśród nich są różne gatunki róż, ziół, cyprisy, oleandry, magnolie, cisy, dęby, palmy, drzewa cytrynowe, pomarańczowe, laurowe i oliwne, a przy tym pięknie przystryżona trawa i żywopłoty. Naszą uwagę zwrócił też szpaler pinii – drzew z gatunku sosny z okazałymi i ozdobnymi szyszkami, które można było zbierać na pamiątkę.

Muzea Watykańskie to największe na świecie miejsce zgromadzonych na przestrzeni wieków eksponatów przez kolej-

nych papieży. Znajduje się tutaj kilkadziesiąt tysięcy dzieł sztuki z całego świata: obrazy, rzeźby, arrasy, ikony, księgi, a także kolekcja papieskich powozów. Nie da się zapamiętać tego wszystkiego w kilka godzin, ilość pięknych dzieł sztuki przyprawia o zawrót głowy.

Słynna Kaplica Sykstyńska to jeden z najważniejszych zabytków Watykanu. Nazwa kaplicy pochodzi od imienia papieża, który zlecił jej budowę – Sykstusa IV. To tutaj odbywa się konklawe, czyli wybór nowego papieża. Panuje tu niezwykła cisza, gdyż nie wolno w tym miejscu rozmawiać ani fotografować. Wystrój Kaplicy Sykstyńskiej to dzieło wybitnych włoskich artystów, a przede wszystkim Michała Anioła. Są tutaj wspaniałe freski tego wielkiego artysty: „Stworzenie Adama” na sklepieniu i „Sąd Ostateczny” na ścianie ołtarza. W tym szczególnym miejscu przebywa zawsze przez około godzinę, ograniczona liczba pielgrzymów. W tym czasie oglądaliśmy i podziwialiśmy to arcydzieło z zadartymi głowami ku sklepieniu. Zapamiętałam słowa ks. proboszcza Ryszarda Winiarskiego, który powiedział do nas szeptem, czy zdajemy sobie sprawę z tego, w jakim miejscu się znajdujemy.

W obliczu obecnej straszącej agresji Rosji na Ukrainę wspomnę także pielgrzymkę zorganizowaną również przez siostrę Adrianę do Lwowa w roku 2001, od której



mija już 21 lat. Pielgrzymka była zorganizowana w związku z przyjazdem papieża na Ukrainę, na zaproszenie ówczesnego prezydenta Leonida Kuczmy. Dużo wówczas słyszało się i czytało w środkach masowego przekazu o ewentualnych zamieszkach. To było powodem, że wiele osób zrezygnowało z wyjazdu. Tak więc pięknym i olbrzymim autokarem pojechała tylko połowa, a właściwie garstka chętnych. Pamiętam te puste wówczas miejsca w autokarze. Powiem, że mi osobiście, a także koleżance Krysi Pidek, jak również pozostałym uczestnikom pielgrzymki było bardzo przykro z tego powodu. Szkoda jednak, gdyż było bardzo spokojnie i dla tych, którzy pojechali, pozostały miłe wspomnienia do końca życia.

Jeszcze tego samego i następnego dnia zwiedzaliśmy piękne miasto Lwów. Ze wzruszeniem zapamiętałam słynny, olbrzymi Cmentarz Łyczakowski. Jest to miejsce pochówku wielu zasłużonych ludzi dla Polski i Ukrainy. Duże wrażenie zrobił na mnie grób Marii Konopnickiej – znanej i wybitnej poetki – autorki wielkiej spuścizny wierszy dla dzieci i słynnej „Roty”, którą zna prawie każdy dorosły Polak. Wzruszający jest również Cmentarz Orłąt Lwowskich, który jest częścią Cmentarza Łyczakowskiego. Są tu mogiły uczestników obrony Lwowa poległych w latach 1918-1920. Wiele z nich to dzieci i młodzież i stąd też pochodzi nazwa cmentarza.

Kolejnego dnia wieczorem, mogliśmy zobaczyć wjazd papieża Jana Pawła II do Lwowa. Nie było przy tym tłumów ludzi, a raczej tylko dziennikarzy i fotoreporterzy. Można więc było upamiętnić ten moment, co też uczyniłam. Zdjęcie moje nie jest doskonałe, gdyż zadziały tu emocje i szybka decyzja. Następnego dnia na obrzeżach Lwowa, na hipodromie prezydent Ukrainy Leonid Kuczma powitał papieża. Tłumnie zgromadzeni mieszkańcy Lwowa i liczni pielgrzymi także powitali papieża owacyjnie polsko-ukraińskimi okrzykami „Niech żyje papież!”. Powiewały przy tym polskie i ukraińskie flagi. Podczas mszy św. papież dokonał beatyfikacji dwóch polskich duchownych, a także koronacji obrazu Matki Bożej Łaskawej z katedry lwowskiej. W swojej homilii w języku polskim papież m.in. zwrócił się do Polaków i Ukraińców, by nie wspominać przeszłości i wybaczyć sobie dawne krzywdy. Papież podczas swojej wizyty zatrzy-

mał się w pięknym pałacu metropolitów lwowskich na Wzgórzu św. Jura, który mogliśmy zobaczyć, kiedy udawał się na spotkanie z młodzieżą. My natomiast wracaliśmy już do kraju. Dodam, że obecna sytuacja na Ukrainie napawa mnie wielką troską.

W roku 2003 proboszcz parafii Trójcy Przenajświętszej ks. Ryszard Winiarski zorganizował pielgrzymkę do Włoch z okazji XXV-lecia pontyfikatu Jana Pawła II i beatyfikacji Matki Teresy z Kalkuty. Wydawałoby się, że mój powrót wówczas do Rzymu sprawiła moneta wrzucona przeze mnie do słynnej fontanny di Trevi – banalnego zwyczaju rzymskiego, który tam panuje. Powiem jednak szczerze, iż miałam chęć jeszcze raz skorzystać z wyjazdu, gdyż zdawałam sobie sprawę, że papież jest już w podeszłym wieku i schorowany. Ja też już miałam swoje lata i nie wiedziałam, czy jeszcze kiedykolwiek uda mi się tu przybyć.

Tym razem, oprócz tak ważnych miejsc w samym Watykanie, wspominam kopułę Bazyliki św. Piotra – arcydzieła Michała Anioła, której nie zdążył już jednak dokończyć, a dokonali tego inni artyści. Wejście na kopułę to wysiłek pokonania ponad 500 schodów. Jest jednak możliwość skorzystania z windy i pokonanie połowy tych schodów. Tak było w przypadku naszej pielgrzymki. Z kopuły jest piękny widok na plac św. Piotra, a przede wszystkim wspaniała panorama Rzymu. Przejście po tarasie kopuły to widok z góry do wnętrza Bazyliki św. Piotra i na poruszające się tam „malutkie punkciki”, czyli pielgrzymów.

Podczas głównych uroczystości nasza pielgrzymka nie miała jednak zorganizowanych miejsc na placu św. Piotra. W związku z tym kierowało mną stare polskie powiedzenie „być w Rzymie i nie widzieć papieża?”. Dlatego też po zakończeniu uroczystości oddaliłam się kilkanaście kroków z najbliższą koleżanką Krysią Pidek, aby może ostatni raz zobaczyć papieża, który objeżdżał plac św. Piotra.

Obecnie często wspominam ze wzruszeniem tę chwilę i pamiątkę w postaci mojego ostatniego zdjęcia papieża Jana Pawła II. Jednocześnie dziękuję Bogu, że na drodze mojego życia miałam możliwość spotkać naszego polskiego papieża, a obecnie św. Jana Pawła II.

Marta Kafarska

Irena Kulik



być albo nie być
niedziela Wołyń wołanie
zadumę przerwał krzyk
litości
proszą wzniesione ręce
do Boga
nie ma jej
umiera każdy w męce

zaglądam wewnątrz siebie
niczym w próżnię wszechświata
jestem drobiną na piaszczystym niebie
którą odwieczny wiatr pomiata...

Zanim

Zanim umilknę na zawsze,
zanim nie wcisnę klawisza,
zanim nie wypełnię przestrzeni –
każdy usłyszysz ciszę.

Zanim upiję się natchnieniem,
powstrzymam wodze wyobraźni.
Zanim uporam z roztargnieniem –
wygodnie usiądę w teatrze jaźni:

świata pogoni rączych koni
z wytrawnym jeźdźcem na czele,
którego myśl nie dogoni,
choćby potrzebą tak niewiele.

Czerwieni wina na nieboskłonie,
jasnych kropel na zroszonym czole,
kruchości szkła w jego dłoni,
iskry nadziei w mym oczodole....

Czechowiczowi in memoriam

Pamiętasz,
księżyc spojrzął młodzieńczym obliczem
gdzieś w odległej przestrzeni
pomiędzy blokami
tak jak wtedy,
kiedy miasto założyło jabłonkowy wieniec.

Toczył się łagodnie
„...po dachach niskich kamienic...”
Spojrzął odbiciem szczęścia
na polichromię wieżyc kościoła
w ciszy, jak makiem zasiał – dookoła.

Lekko przysłonił oblicze
mgłą przejścia do azylu jezuity,
igrając wśród drzew Ogrodu – do świtu.

Podwyższenie Krzyża

Padam na kolana
w ławce przeznaczenia
niczym Kłęczące Drzewo
okolone łańcuchem kamienic.

Wznoszę na ramionach koronę,
klonu jesionolistnego wieniec,
podtrzymując podwiniętą,
o każdej porze zmienną sukienkę.

Wrosłam odsłoniętym kolanem
pragnienia życia
ze zmorą fizyczną.

Młode pokolenie
niczym małpki
penetruje otwory
w drzewiastej pończosze
pałkowanego pnia
z tajemnicą.

Złota jesień

Zanim zapadnie zmierzch,
Jesień kolorami mieni:
szczerym złotem, brązem,
odcieniami czerwieni.

Zanim zapadnie zmierzch,
babie lato pajęczą nitką snuje.
Starsi państwo, gołąbki,
wzdłuż ulicy spacerują.

Zanim zapadnie zmierzch
owad nektarem się syci,
na kwietnej łące wzdłuż ulicy
słodką woń jej uchwyty.

Zanim zapadnie zmierzch,
liść z drzewa cicho ścieli.
Szeleści, tańczy wciąż
pod stopami niedzieli.

Zanim zapadnie zmierzch,
słońce rozplata warkocze.
Na ławce w parku sadi blask
tuż Petrarki, kasztanu na uboczu.

Zanim zapadnie zmierzch
i luna spojrzy okrągłym licem,
Jesień odważnie kroczy:
lasem, polem, sadem, ulicą.

z cyklu „Rozmowy z Bogiem”

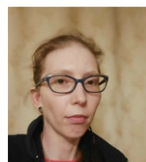
Panie,
znów złotem okryłeś jesiony,
niczym płaszczem niesionym
w porannej mgle.

Panie,
spojrzałeś żrenicą piwnego oka
pod kasztanowym obłokiem
mrużąc je, jak we śnie.

Panie,
skłoniłeś się nad pamięcią
ostatniego tańca, rumieńca
klonu na pożegnanie dnia.

Panie,
znów wieczność przed nami
ze słotą i wichrami
a na końcu Ty i ja.

Anna Buchalska



kiedy lęk ogarnia

kiedy ogarnia lęk
fin de siecle
Krzyk Muncha
filozof z krwi i kości
a ty przyłóż palec do ust
gdzieś za plecami twoich pomysłów
cicho szlocha wena
twórz
bo warto być artystą
i zarazem jego dziełem

spotkanie twarzą w twarz...

cofam istnienie do tabula rasa
tobie brak odwagi
spoglądasz w śmiejące oczy zapraszające do tańca
kokieteria manipulacja kopulacja pomysłów
pragnę się ulotnić
wyjść po angielsku

na ptasich skrzydłach...

frunąć nad morzem skroplonym od pary
zmęczonego oddechu
oddać się przeznaczeniu
w bieli piór udawać
że kotara nocy odsłoniła się na dzień
niestety
mam na imię Ikar
upadam gdyż fizjologia mózgu
nie wymyśliła szybowca
za pierwszym odlotem

Elżbieta Kmieć

Siostry Konczewskie



Jedenaście lat temu, w tekście autorstwa Zbigniewa Cimka pt. „Filozof z Tarnogórskich Jarów”, zamieszczonym w nr. 3(17)2011 „Nestora”, złożona została obietnica, że o siostrach Czesława Konczewskiego – bohatera artykułu – postaramy się napisać więcej. Słowa, choć bardzo spóźnione, próbuję teraz dotrzymać. Przez wiele lat nie ustawałam w szukaniu tropów, które prowadziłyby do bliższego poznania tej rodziny. Miałam nadzieję, że uda się dotrzeć do źródeł wypełniających liczne białe plamy na portretach rodzeństwa Konczewskich. Niestety, z biegiem czasu, ludzi pamiętających cokolwiek było coraz mniej, a fragmenty opowieści, które usłyszałam, jawiły się coraz bardziej postrzępione niepamięcią i zasnuwane mgłą minionych lat. Część tego szkicu jest wynikiem kojarzenia faktów i dat, przyjmowania najbardziej prawdopodobnych wersji zdarzeń, dlatego opisany świat i ludzie, do których nie miałam dostępu, siłą rzeczy zawiera pierwiastek wątpliwości i niedopowiedzeń. Dołożyłam jednak starań, aby mógł być najbliższej prawdy.

Z pamięci

Letnie popołudnie 1973 roku. Podcienia na Rynku w Izbicy. Na chodniku niewielki ruch. Kilko-oro dzieci kręci się przed lodziarnią Majdana. Nagle, naprzeciwko widzę kobietę, której wygląd przykuwa moją uwagę. Zbliża się drobnymi krokami, a ja nie dowierzam własnym oczom. Starsza, niewysoka i szczupła kobieta, ubrana jest w długą spódnicę, jasną koronkową bluzkę i żakiet z aksamitu ze zdobionymi wykończeniami. Jego wypłowiały od słońca kolor kiedyś był chyba fioletowy. Na głowie ma kapelusz, ze starości już nieodgadnionej barwy. Widać jednak, że wykonała go dawno temu dobra modystka. Całości tej onirycznej postaci dopełnia staromodna parasolka. Kim jest ta kobieta? Zjawiskowo intrygująca, a przy tym tak niepasująca do tamtej, rozgrzanej słońcem ulicy i mojej spódniczki mini.

W historii Izbicy i jej najbliższych okolic nie było drugiej takiej rodziny, jak rodzeństwo Konczewskich. Wybierając sobie na osiedlenie najbardziej niedostępne, oddalone od sąsiadów miejsce, jednocześnie świadomie budowali wysoki mur swojej prywatności. Nazywając je Jarami Tarnogórskimi, podkreślali niejako niedostępność i tajemniczość tego miejsca. Wyznaczali wyraźną granicę pomiędzy sobą a miejscowymi, dystansując się od lokalnej społeczności. Ich wzajemne stosunki wyznaczały relacje gospodarsko-handlowe lub potrzeby usługowe. Zrozumiałe więc, że w takiej sytuacji rodzina Konczewskich budziła ciekawość, obrastała legendą, a jednocześnie naprawdę niewiele o niej wiedzano. Rodzeństwo było wyobcowane na własne życzenie. Żyjące skromnie do końca swoich dni w szlachecko-dworskim świecie, którego do połowy lat 40. minionego wieku już nie było, a którego namiastkę stanowił tylko ich dom, nazywany na wyrost pałacykiem. Jednak pamięć o Konczewskich nie dlatego zasługuje na ocalenie od całkowitego zapomnienia, że cechowała ich odmienność, ekscentryczność i budząca zaciekawienie swego rodzaju tajemniczość. Istotniejsze jest, że wyróżniał ich zarówno kult nauki, jak i ciężkiej pracy, poziom intelektualny i gruntowne wykształcenie, szerokie horyzonty oraz wszechstronne zainteresowania. Zwłaszcza dwoje spośród rodzeństwa, Helena i Czesław, to osoby wybitnie uzdolnione, których dorobek naukowy nie powinien być zapomniany.

Pierwsze ślady rodziny, z początku XX wieku, prowadzą do majątku Konczewskich w miejscowości Ostrówki¹ na Wołyniu, które po odzyskaniu niepodległości znalazły się w powiecie lubomelskim. Właścicielami majątku, według stanu na rok 1913, byli Józef Konczewski i Maria Konczewska z domu Bogatko. Mieli sześcioro dzieci, pięć córek i syna. Przynajmniej część z nich urodziła się w Brzeźnie koło Dorohuska, co może wskazywać, że wcześniej tam właśnie mieszkali, tym bardziej, że w Brzeźnie także znajdował się majątek rodu Konczewskich. Dzieci, w kolejności od najstarszego to: Aleksandra Maria oraz Joanna – urodzone w 1882 roku, Bronisława (1884), Helena (1887),

¹ 30 sierpnia 1943 roku polscy mieszkańcy Ostrówek zostali wymordowani przez Ukraińców.

Zofia Maria (1892) i Czesław z roku 1895. Z dostępnych źródeł na temat właścicieli ziemskich wiadomo, że do wybuchu II wojny światowej majątek w Ostrówkach był własnością matki, Marii Konczewskiej i syna Czesława. Brak wzmianki o ojcu w roku 1930 może wskazywać, że w tym roku Józef Konczewski już nie żył. Z kolei o Joannie, jednej z najstarszych córek, ostatnia informacja pochodzi z roku 1913, kiedy miała 31 lat.

Przyjazd trzech sióstr: Aleksandry, Bronisławy i Zofii oraz brata Czesława do Jarów Tarnogórskich, administracyjnie należących do wsi Zalesie w gminie Izbica, prawdopodobnie nastąpił na początku lat 20. Wydaje się, że Czesław musiał wcześniej ukończyć studia, bo kiedy osiadł na Zalesiu, miał już tytuł inżyniera. Ponadto, siostry same, choć starsze od brata, raczej nie podejmowałyby ryzyka zamieszkania w nieznanym, odludnym miejscu, bez męskiego wsparcia. Tu nasuwa się od razu pytanie, dlaczego? Z jakiego powodu czworo rodzeństwa postanowiło, wzorem pionierów i osadników, zamieszkać w obcym miejscu, z dala od udogodnień cywilizacji? Jeden z rozmówców, który siostry znał osobiście wyjawiał mi, że kryły się za tym stosunki rodzinne. Podobno ich ojciec znęcał się nad bliskimi i czynił życie nieznośnym dla rodziny, a zwłaszcza dla swojej żony. Potrzeba uwolnienia się od zatrutej atmosfery domu rodzinnego była być może główną przyczyną przeniesienia się rodzeństwa daleko od domu. Dlaczego akurat do gminy Izbica? To raczej pozostanie już tajemnicą. Można spekulować, że szukano najbardziej odludnego miejsca i poprzez stosunki osobiste lub znajomości w kręgach ziemiańskich, to trochę dzięki i schowane w lesie siedlisko zostało im polecone. Co ciekawe, żadna z sióstr nie wyszła nigdy za mąż. Wybór życia w samotności podobno miał być świadomą decyzją i skutkiem negatywnych doświadczeń i przeżyć z domu rodzinnego. Także brat, do czasu opuszczenia kraju w wieku 50 lat, nie założył rodziny. Niestety, dalszych jego losów z pobytu w Anglii nie udało się poznać.

Po wyprowadzce z Ostrówek życie rodzeństwa nadal nie było łatwe ani wolne od problemów i trosk. Miejsce, które wybrano na osiedlenie, było co prawda bardzo malownicze, gdyż położone na lekkim wzniesieniu, przy skraju lasu, nad głębokim jarem, jednak oprócz niewielkiego źródła bijące-

go na dnie wąwozu, nie miało dostępu do wody. Z czasem, miejscowe źródła wyschły. Dowożono ją więc beczkowitzem ze Stryjowa lub z Zalesia. Brak było elektryczności. Nie tylko w początkowym okresie, ale przez całe ich życie. Nie było także, co ważne, dobrego dojazdu. Droga gruntowa, którą przemieszczano się do Izbicy czy Stryjowa, była pokonywana latem bryczką, a zimą saniami. Problem narastał w czasie wiosennych roztopów, kiedy te drogi były praktycznie nieprzejezdne.

Zakupione od hrabiego Feliksa Smorczewskiego grunty i nieużytki o powierzchni około 28 hektarów wymagały zagospodarowania. Rozpoczęła się więc ciężka praca. Postawiono spory, drewniany dom z użytkowym poddaszem i z balkonem, przypominający mały dworek. Blisko domu wymurowano piwnicę, otoczenie ozdobiły krzewy i kwiaty. Założono co najmniej dwa duże sady i uprawiano pola według nowoczesnych metod stosowanych przez Czesława. Trudno powiedzieć, na ile posiadane przez brata majątki w Ostrówkach i w Jaszczowie wpływały na finansowanie potrzeb w nowym miejscu, jednak z zachowanych fragmentów ksiąg rachunkowych można wywnioskować, że spłaty hipoteki i innych zobowiązań na rzecz banków i różnych osób stanowiły pokaźne wydatki. Pomędzy trzema siostrami istniał podział pracy i zadań do wykonania. Każda z nich odpowiadała za inną część gospodarstwa domowego, np. jedna robiła zakupy i załatwiała sprawy urzędowe, druga zajmowała się gospodarstwem i ogrodem, a trzecia jeszcze innymi sprawami. W roku 1939 dołączyła do nich matka. Wydaje się prawdopodobne, że stało się to po 17 września, kiedy Ostrówki zajęła Armia Czerwona. Tuż przed wojną do rodzeństwa dołączyła czwarta z sióstr, Helena. Jej warto poświęcić tu najwięcej miejsca.

Helena Konczewska² po maturze w Warszawie, udała się na studia do Paryża, gdzie na Sorbonie w roku 1912 uzyskała licencjat z nauk przyrodniczych, w 1925 roku otrzymała także licencjat z filozofii. W roku 1927 ukończyła wyższe studia filozoficzne, zaś w roku 1937 uzyskała doktorat państwowy (*Diplome de Docteur es Lettres*).

² Korzystałam z opracowania Heleny Lelesz: Helena Konczewska (1887-1959), zamieszczonego w kwartalniku „Ruch Filozoficzny”, Tom XX, nr 3, Toruń 1961,

Powróciła do kraju tuż przed wojną z powodu postępującej choroby reumatycznej. Zamieszkała na wsi przy rodzinie. Wydaje się, że jedynym takim miejscem mógł być dom jej rodzeństwa w Jarach Tarnogórskich. Pomimo przykucia do łóżka, nie przestała pracować. Utrzymując kontakt z Paryżem, posyłała artykuły do pism francuskich i polskich, opracowywała tłumaczenia i przeprowadzała rewizję językową prac drukowanych po francusku w wydawnictwach PAN. Dorobek naukowy Heleny Konczewskiej stanowi kilkanaście prac, w tym trzy książki drukowane w języku francuskim i wydane we Francji w latach 1937-1957. W Polsce został wydrukowany w roku 1952 jej referat pt. „Konflikty fizyczno-filozoficzne na tle pojęcia podmiotowości w fizyce kwantowej”. Jest także tłumaczką dzieła Voltaire’a pt. „Elementy filozofii Newtona”, wydanego w 1956 r. przez PWN³. *Prace Konczewskiej cechuje duża erudycja i umiejętność czerpania z różnorodnych dziedzin materiału do interesujących ją zagadnień. Wywody jej są subtelne, oparte nie tylko na gruntownej znajomości, lecz i głębokim przemyśleniu prac innych filozofów. Tak, w wielkim skrócie, można naszkicować jej rys jako uczoney. Biografka Helena Lelesz ukazuje Helenę także jako kobietę: Konczewska całe swoje życie, bez reszty poświęciła filozofii, a miała możliwość wyboru. Życie osobiste, bardziej radosne, życie towarzyskie stało przed nią otwarte. Jej nieprzeciętna uroda, szczerość i prostota obójścia, bystrość umysłu, dowcip – zjednywały jej sympatię wszystkich, którzy mieli z nią do czynienia. I nie bez tego, aby życie bardziej bujne nie miało dla niej uroku, ale obdarzona niezwykle silną wolą umiała usunąć wszelkie przeszkody do realizacji zamierzonego celu.*

Szukając informacji o Konczewskich w zasobach Internetu, udało mi się znaleźć krótki tekst autorstwa Heleny, przesłany w roku 1948 do redakcji „Odrodzenia”, który jednak nie został tam opublikowany⁴. W notce od redakcji „Forum Akademickiego” napisano, że wspomnienie z wykładów Bergsona, jest częścią jej szerszych wspomnień. Niestety, nie wiadomo, czy się zachowały ani co się z nimi stało. Konczewska jako filozof interpreto-

wała naukę pod wpływem idei Bergsona. W latach 1912-1914 uczęszczała na jego wykłady w *College de France*. Jak pisała, w przepelnionej sali już na godzinę lub dwie przed rozpoczęciem wykładu gromadzili się obok studentów profesorowie, a także przypadkowi ludzie, chcący usłyszeć uczonogo. Swoje ciekawe wspomnienie o wykładach Bergsona kończy przepięknym, literackim opisem nocnego Paryża, który nosi podtytuł „Muzyka zegarów”: (...) *wracam do owych lat dawnych, do chwil szczęśliwych, gdy w przepelnionej sali College de France w skupieniu słuchaliśmy słów mistrza. Gdy po dwugodzinym obcowaniu z jego myślą wychodziliśmy z College’u, mrok ogarniał już miasto. W błękitnym zmierzchu latarnie ul. St. Jacques zapalały się jak złote gwiazdy. I wówczas ulica otwierała się w dal tą długą perspektywą światła: spływała falisto w dół, podnosiła się z lekka w górę ku Sekwanie. Pusta i głucha w tej porze, zaludniała się na chwilę tłumem wychodzącym z College. Z daleka, to nasilając się, to cichnąc, grała melodia wielkiego miasta, tętniły życiem bardziej ożywione jego arterie.*

I wówczas w tę melodię wplatał się motyw zegarów bijących godziny: najpierw zegara College de France, potem drugiego z placu Pantheon, potem z placu Sorbony. I wydzwaniały tak okresy tej duree bergsonowskiej, tego płynącego z każdą chwilą czasu, który ogarniał nas muzyką Paryża i tym zamglonym, błękitnym zmierzchem. Dla nas, studentów, był to szczęśliwy czas i beztrudna młodości; dla mistrza był to czas wielkiej sławy i tryumfów. Te płynące odrębnym korytem czasy zlewały się w ciąg tych dwóch godzin wykładów w jedno wspólne łożysko.

Helena Konczewska zmarła w 1959 roku, w wieku 72 lat. Nie udało się dotrzeć do informacji, gdzie mieszkała pod koniec życia ani gdzie została pochowana. Z relacji osób pamiętających tamte czasy wynika, że od lat 50. ubiegłego wieku na stałe w Jarach Tarnogórskich mieszkaly tylko trzy siostry. Choć żyły skromnie, coraz trudniej było im gospodarzyć i się utrzymać. Okazjonalnie do pomocy najmowały ludzi z okolicy, zależnie od sezonowych potrzeb i nasilenia prac. Na stałe miały do pomocy Juliana, który pełnił sporo różnych funkcji służebnych. Wiele osób zapamiętało go jako woźnicę na koźle bryczki lub sań.

³ Pozycja ta została wznowiona w 2010 roku przez PWN, we współpracy z Agorą.

⁴ <http://www.forumakad.pl/archiwum/2008/10/58>.

Z pamięci

Przełom lat 60. i 70. ubiegłego wieku. W Izbicy, późną jesienią, pod drzwiami zakładu radiowo-telewizyjnego podjeżdża starodawna bryczka, którą powozi Julian. Wsiadają z niej dwie starsze panie, ubrane według mody sprzed pierwszej wojny światowej. Jedna z nich wysoka i wyprostowana, druga drobna i przygarbiona. Mają problem, bo zepsuło im się radio. Pytają radiomechanika, czy da się naprawić. Z pewnością, tylko trzeba je zostawić na kilka dni. – Julianie, proszę przynieść radio – pada polecenie w stronę woźnicy. Po chwili, na roboczym blacie zakładu pojawia się radio Pionier, w bakelitowej obudowie. Zasilane bateriami, bo u Konczewskich przecież nie ma prądu.

Trzy siostry już w latach 50. zaczęły po kawałku sprzedawać lub oddawać w dzierżawę grunty orne, zostawiając sobie sady. Wśród nabywców byli m.in. rolnicy z Zalesia: Burcon, Przychodaj czy Wójcik, którzy niedaleko mieli także swoje pola. Prawdopodobnie w połowie lat 60. siostry zdecydowały się sprzedać resztki majątku i zamieszkać gdzie indziej. Trudno im się dziwić. Życie na odludziu, uciążliwość w prowadzeniu gospodarstwa bez udogodnień cywilizacyjnych, w sytuacji coraz słabszego zdrowia i podeszłego wieku, stawało się nie do zniesienia. W roku 1965 siostry miały odpowiednio: 83, 81 i najmłodsza Zofia 71 lat. W tym celu nawiązały kontakt z Tadeuszem Dąbrowskim z Warszawy, na pomoc którego liczyły w korzystnym załatwieniu transakcji. Ich zamiarem była sprzedaż całości gospodarstwa jednemu nabywcy. Z zachowanych dwóch listów stanowiących odpowiedzi pośrednika z Warszawy na listy sióstr pisane do niego, wynika, że nie miały one nadziei na sprzedaż wszystkich działek miejscowym dzierżawcom. Liczyły, że gdzieś dalej znajdzie się chętny kupiec, dysponujący odpowiednim kapitałem. Tadeusz Dąbrowski w liście z 2 lipca 1967 roku pozbywał je złudzeń na korzystną sprzedaż majątku komuś z daleka, pisząc: *O ile nie będzie reflektantów na całość, to może Panie zdecydują się sprzedać jeden sad nawet tanio, w najgorszym razie za sumę około 200 tysięcy i uzyskane pieniądze użyć częściowo na remont domu, a resztę wydawać po trochu na życie. Powinna suma ta wystarczyć na kilka lat, a w międzyczasie może coś się zmienić na lepsze. Ostatecznie głównym celem powinno*

być możliwie wygodniejsze i mniej kłopotliwe urządzenie życia. Nawet mało korzystna likwidacja Jarów powinna wystarczyć na dłuższy okres czasu. To, co pozostanie po najdłuższym życiu Pań ma chyba znaczenie drugorzędne. Cała trudność leży w tym, że osłabł znacznie, w porównaniu z okresem przedwojennym, pęd do kupna ziemi. Odbija się to zgodnie z prawami ekonomii na cenę. Niewątpliwie hektar ziemi w Jarach jest wart dużo, ale to jest teoria. W praktyce na oferowaną cenę wpływa szereg czynników, które w obecnej sytuacji kształtują się dla Pań wyraźnie niekorzystnie.

Siostry, mieszkając na odludziu, tuż przy lesie, obawiały się o swoje bezpieczeństwo. Krążyły opowieści o próbach ich zastraszania, napadu lub kradzieży ich skromnego majątku. Tym bardziej były więc nieufne, zdystansowane wobec obcych, a za takich miały większość ludności mieszkającej w okolicy. W obecności osób trzecich rozmawiały ze sobą wyłącznie po francusku. Z nikim się nie spoufałały, zawsze były oficjalne w kontaktach, a jednocześnie życzliwe i uprzejme.

Z pamięci

Koniec lat 60., wczesna jesień. W sadach Aleksandry, Bronisławy i Zofii trwają zbiory owoców. Do pracy najmują się i młodzi, i starsi. Bronisława i Aleksandra, a może Zofia z którąś z sióstr, kręcąc się wśród pracowników, rozmawiają ze sobą wyłącznie po francusku. Dwóch nastolatków z zaciekawieniem przysłuchuje się rozmowie, choć oczywiście nie rozumieją ani słowa. Po napełnieniu skrzynki jabłek, podchodzą z pytaniem, gdzie mają je składać. – Niech panowie ustawią przy pałacyku.

Niestety, do końca życia nie udało się siostrą sprzedać domu, reszty pól i sadów i zamieszkać gdzie indziej, w warunkach bardziej sprzyjających ich bezpieczeństwu, odpowiednich dla wieku i stanu zdrowia. W ostatnich latach życia, w pracy pomocą służył im głównie Stanisław Wiącek ze Stryjowa.

Z pamięci

Jest lato 1968 roku, pogodne, niedzielne popołudnie. Dla dwóch osiemnastolatków pokonanie spacerem około 6 kilometrów, jakie dzielą Izbicę od Jarów Tarnogórskich, nie jest żadnym

problemem. Czas dodatkowo skraca przyjacielska rozmowa. Droga prowadzi ich w pobliże siedliska Konczewskich. O siostrach, które otacza aura tajemniczości, wiedzą tyle, co wszyscy, czyli niewiele, a to pociąga dodatkowo. Będąc tak blisko, mają nadzieję zobaczyć którąś z nich. Najprościej więc było poprosić o wodę. Na posesji, na wozie, stała wielka beczka z wodą, którą dowożono. Nie trwało długo, kiedy z domu wyszła jedna z sióstr. Uprzejmie zapytała przybyłych, kim są i czego sobie życzą. Zgodnie z prawdą powiedzieli, że zwiedzają okolicę i przypadkiem tu trafili. I chcieliby się napić wody. Wyniosła im kubek i wskazała, jak zaczerpnąć wody, by nie zmącić osadu w beczce. Kiedy już zaspokoiли pragnienie, ale nie ciekawość, pani Konczewska po krótkim: – Żegnam panów – odwróciła się i odeszła do domu. Nie pozostawało im tu już nic do roboty.

Na cmentarzu parafialnym w Orłowie Murowanym jest skromny grób. Ma prosty, metalowy krzyż, nadgryziony już trochę przez czas i rdzę. Przykrywa go cementowa płyta. Widać, że ktoś dba o to miejsce. Tabliczka na krzyżu informuje, że pochowane tu są: Konczewskie, Bronisława, Aleksandra, Zofia. Pierwsza zmarła Bronisława, 16 stycznia 1969 roku. Z aktu zgonu wynika, że stało się to o godz. 14. w Kolonii Jary Tarnogórskie. Urodziła się w Brzeźnie 10 września 1884 roku; stan cywilny – panna; zawód – rolniczka. Jej śmierć zgłosiła 17 stycznia Aleksandra Konczewska. 25 kwietnia 1972 roku o godz. 13. zmarła Aleksandra Maria. Jej akt zgonu został sporządzony dzień później. Śmierć siostry zgłosiła Zofia Maria. Z aktu zgonu wynika, że Aleksandra, która przeżyła 90 lat, urodziła się 21 grudnia 1882 roku w Brzeźnie. Stan cywilny – panna, a zawód – ogrodnik. Jako miejsce zgonu tym razem podano Izbicę, a nie Jary Tarnogórskie. Można przypuszczać, że z powodu, iż Jary Tarnogórskie nie były żadną jednostką administracyjną, tylko nazwą zwyczajową, zapewne przyjętą przez samych Konczewskich po osiedleniu się tam. Nie udało się dotrzeć do aktu zgonu Zofii, która była najmłodsza i odeszła najpóźniej. W izbickim USC go nie wystawiono. Może zmarła w szpitalu? O Zofii Marii wiadomo – jako zgłaszającej zgon siostry – że urodziła się w roku 1892, z zawodu była rolniczką, a mieszkała ostatnio w Izbicy. Daty jej śmierci nie udało się ustalić.

Na tym można by zakończyć opowieść o siostrach Konczewskich. Dom, który po nich pozostał, z czasem coraz bardziej zaniedbany i opuszczony, popadł w ruinę, aż w końcu nie pozostało po nim śladu. Jego otoczenie, pozbawione niezbędnej troski człowieka zawłaszczył otaczający las. Dziś trudno tam trafić, bo ścieżki wiodące do Jarów zarosły. Na koniec powtórzę fragment z cytowanego już listu, zachęcającego siostry do sprzedaży majątku: *To, co pozostanie po najdłuższym życiu Pań ma chyba znaczenie drugorzędne*. To zdanie, w świetle historii sióstr Konczewskich, urasta do zagadnienia z dziedziny filozofii egzystencjalnej, z którym nie umiem się zmierzyć. Niech zatem ten szkic, powstały ze skrawków wspomnień i nielicznych śladów zapisanych w dokumentach, w pośóółkłym zeszyście czy na kartce z kalendarza będzie tym, co pozostało. Pamięcią. Pamięcią, gdyż powtarzając za noblistką: *Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią się im płaci*⁵.

Elżbieta Kmiec

Dziękuję Panu Stanisławowi Wiąckowi, Pani Róży Bęben, Jankowi oraz wszystkim, którzy życzliwie odnieśli się do moich próśb o pomoc w szukaniu śladów rodziny Konczewskich.



rys. Urszula Gierszon

⁵ Wisława Szymborska: „Rehabilitacja” z tomiku „Wołanie do Yeti” z 1957 roku.

Marian Rybczyński

Sierżant podchorąży

Z cyklu: Dęblińskie przypadki



Egzaminy. Następnego dnia podsumowanie, wszyscy zdali i w nagrodę cała grupa wyjeżdża na kilkudniowy urlop. Jadę odwiedzić rodziców, spotykam kolegów i po paru dniach jestem z powrotem na Glinniku. Dowiadujemy się, że za kilka dni wracamy do Dębina, a z paru przyjemniejszych rzeczy – dostaję, jak i pozostali, awans na sierżanta podchorążego. Poważny stopień, a co najważniejsze, to tak na wszelki wypadek, sierżanta nie można zamknąć do aresztu. Oprócz tego stoję się (po raz trzeci) posiadaczem srebrnej odznaki „Wzorowy Podchorąży”, popularnej „blachy”. Po raz trzeci, bo już dwa razy ją miałem, tylko, że za całokształt „zasług”, zgodnie z regulaminem, była mi odbierana. Największy progres wśród nas zaliczył Rysiek „Harnaś” Kosman. Rok temu, kiedy przyjechaliśmy do Tomaszowa był zaledwie starszym szeregowym, za „zasługi” oczywiście, a teraz proszę – sierżant podchorąży i posiadacz srebrnej odznaki „Wzorowy Podchorąży”

– Ty się lepiej dowódcy kompanii po powrocie do Dębina na oczy nie pokazuj – z przekąsem mówi któryś z chłopaków. – Ani chybi na zawał walnie jak cię z blachą zobaczy. – „Harnaś” uśmiecha się filozoficznie i nie komentuje.

Zbieramy się powoli do odjazdu. Rozliczamy się z pułkiem i... przygotowujemy napoje chłodzące na pożegnanie z instruktorami. Nasza grupa spotyka się u Waldiniego: ja, Krzysiek „Ichi” o zbrodniczym pseudonimie „Jabłko”, Bogdan „Old” Żegarski i Tadek Guła. Ubył z naszego grona Marek Majorek, którego w międzyczasie WIML spisał ze względu na zdrowie. Podczas badań okresowych w sierpniu coś tam mu w EEG nie tak wyszło, pojechał na obserwację do szpitala i po kilku tygodniach lekarze orzekli, że jednak do latania się nie nadaje. Cóż, bywa i tak. Z instruktorów mają wszyscy stawić się w komplecie: por. Mikołajczyk, por. Rogowski i kpt. Kaczor – dowódca klucza. Przedtem jest oficjalne spotkanie w kasynie z lampką wina. Jest całe dowództwo pułku, wszyscy instruktorzy i przedstawiciele służb technicznych. Są okolicznościowe mowy, toasty

i co jest dla mnie i dla moich kolegów miłe – nasza grupa artystyczna zostaje wyróżniona okolicznościowymi dyplomami i nagrodami książkowymi. Nasza, czyli Leszek „Baca” Biegun, Wiesiek „Kenty” Kędzierski, Zbyszek „Szymek” Martynowicz i ja.

„– Artystów nie karać!” – jeszcze brzmiały mi w uszach słowa zastępcy do spraw politycznych, po naszych ze Zbyszkim Trościańczukiem występach w Lublinie, kiedy nieomal wyleciałem ze szkoły. Cóż, czasem i gitara w życiu pomaga. Na spotkaniu u instruktora toasty płyną wartko – jak każe tradycja – i grubo po północy kończymy imprezę. Następnego dnia całe towarzystwo „wisi mocno na skrzydło”, ale na szczęście innych strat nie ma. W oczekiwaniu na samolot umilamy sobie czas chóralnymi śpiewami przy gitarze. W pewnym momencie „Jabłko” wziął czapkę i przeszedł się po ludziach, żeby każdy wrzucił co łaska. Uzbierało się co nieco, a że kartki wtedy były tylko na cukier, więc wyskoczył do sklepu i za chwilę był z powrotem. Nie powiem, górne „c” od tej chwili zaczęło nam o wiele lepiej wychodzić. W ogóle nastrój stał się bardzo podniosły i kiedy przyszedł czas wsiadania do pocztowego IŁ-14, który miał nas zawieźć do naszej „Alma Mater” towarzystwo w uniesieniu całowało betonkę na pożegnanie.

– Co za ironia losu – pomyślałem sobie. – Nieco ponad rok temu traktowałem wyjazd do Tomaszowa jako dopust boży, a teraz naprawdę trudno mi stąd wyjeżdżać. Nie sprawił to jednak tylko sentyment do latania.

W Dęblinie wpadamy szybko w standardowy młyn zajęć. Nie zaniedbuję również Studia „Ikar”. Podczas naszej nieobecności sprawy w swoje ręce wzięła „młodzież” z całkiem dobrym skutkiem, bo oprócz standardowego grania muzyki, studio zrobiło się także własnych audycji. Zbliży się Dzień Podchorążego, zapowiada się z wielką pompą i my mamy też w to wszystko się włączyć. Przygotowujemy więc audycje na tematy z tym związane. Chęci w narodzie są, więc może i efekty jakieś będą. Przedtem czeka mnie wraz z całą grupą wizyta w WIML-u. To standardowe badania dla kandydatów na samoloty naddźwiękowe.

Zaczynamy od samego rana. Na pierwszy ogień antropolog, cała seria pomiarów i okazuje się, że mam maksymalnie dopuszczalną wysokość siedzeniowo-ciemiennową, czyli mówiąc ludzkim ję-

zykiem długość kręgosłupa. Przechodzimy jakieś badania na refleks, ganiecie świetlnej plamki po ekranie. Na deser dostają jeszcze wirówkę. Po jednym sezonie na „Iskrze” to bułka z masłem. Wiem, jak się zachować, żeby wynik wyszedł przyzwoity. Jedyne utrudnienie, to przy 4g ma być robione zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej i w związku z tym trzeba będzie wstrzymać oddech. Wsiadam, jest lekka emocja, ale potem to już rutyna. Wirówka rusza, przeciążenie zaczyna wciskać w fotel.

– Wstrzymać oddech! – słyszę w słuchawkach i po tym poznaję, że właśnie osiągnąłem 4g. Gdzieś spod tablicy błysnął flesz, a mnie z lekka pociemniało w oczach, kiedy znów zacząłem oddychać. Szybko jednak przeszło, mimo że przeciążenie dalej rośnie. Czuję „klejnoty” prawie na podłozie, a światło nad głową z lekka poszarzało.

Na mój nos, to już powinno być około 8g – pomyślałem i nos mnie nie zawiódł, bo za chwilę wirówka zaczęła zwalniać, aż w końcu stanęła. Usłyszałem odgłos przystawianych schodów i już za chwilę ujrzałem nad głową lekarza, który pomagał mi się wygramolić z kapsuły. Wyszedłem na trochę miękkich, „totołotkowych” nogach, ale z dziarską miną. Po krótkim odpoczynku poszliśmy na testy psychologiczne, po których pan doktor przypomniał mi, że w lutym mam badania psychologiczne zalecone po moich wyczynach w sierpniu. I na ten dzień to było wszystko. Zjedliśmy obiad i jak jeden mąż gruchnęliśmy się na sali szpitalnej spać. Było nas tam trzech i pozostali pacjenci bardzo nam współczuli, kiedy obudziliśmy się tuż przed kolacją.

– Macie noc gwizdaną – stwierdził jeden z nich – po takim spaniu...

Nie docenili nas. Po zjedzeniu kolacji i krótkim obejrzeniu telewizji zasnęliśmy i spokojnie przespaliśmy do rana. Widocznie organizm się sam tego domagał.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu badanie wydolności i trening w nadciśnieniu oddechowym. Gwoli wyjaśnienia, nad tym zagadnieniem trochę się zatrzymam. Otóż podczas lotów na dużych wysokościach pilot jest ubrany w WUK – Wysokościowy Ubiór Kompensacyjny. Wyglądało to trochę jak strój kosmonauty, bo do tego dochodził jeszcze hermetyczny hełm. Na powierzchni tego kombinezonu był zespół gumowych rurek, które oplatasy tasiemki. Rurki były podłączone do instalacji pneumatycznej

samolotu i w przypadku dehermetyzacji kabiny, napelniały się powietrzem pod odpowiednim ciśnieniem, naciągając tasiemki. Z kolei tasiemki uciśkały na ciało pilota. Miało to na celu zapobieżenie zagotowaniu się krwi, co niewątpliwie miałooby bardzo opłakany skutek. Na wysokości 19 tys. m (tyle, a nawet trochę więcej mógł osiągnąć MiG-21). Temperatura wrzenia wody wynosi około 36,5-37 stopni Celsjusza, co powinno się pokrywać z temperaturą ciała zdrowego człowieka. W takim przypadku nadciśnienie wewnątrz hełmu wynosi prawie 1 atmosferę i dlatego, żeby być w stanie wykrztusić chociaż parę słów, należało przejść odpowiedni trening. Nie powiem, emocje były. Dawaliśmy sobie z tym radę z różnym skutkiem, generalnie jednak jakoś to przeżyliśmy. Tylko jednego trzeba było prawie reanimować, bo wziął biedak za głęboki oddech i nijak nadmiaru powietrza z płuc pozbyć się nie mógł. Dopiero szybka reakcja lekarza przywróciła go normalnego stanu ciała, bo do normalnego stanu ducha wracał przez pewien czas. Ja z kolei WUK założyłem na gołe ciało i po treningu moje plecy wyglądały, jakby traktor po nich przejechał. Niektórzy z kolegów twierdzili nawet, że musiał to być Ursus C-330, bo bieżnik opony się zgadzał.

Spotkanie po latach

Od 1 grudnia mamy miesięczny urlop i nie bardzo wiem, jak ten czas zagospodarować. W drugi dzień Świąt mam być na weselu, razem z moją sympatią Basią (awansowałem w międzyczasie na jej chłopaka) na weselu u mojego kolegi Grzesia, nomen omen na Glinniku, ale to jeszcze kupa czasu. Siedzę więc w domu, ale co na tej mojej wiosce w grudniu można robić? W krótkofalarstwo bawić się nie mogę, bo będąc na pierwszym roku, pozbyłem się całego sprzętu, z rówieśników, prawie wszyscy są „w szkołach”, bliżej lub dalej, gdzieś w Polsce. Pozostają więc, od czasu do czasu, wizyty w barze kat. IV o wdzięcznej nazwie „Świtezianka”, któryż to bar znajduje się w bliskim sąsiedztwie mojego domu. Ile jednak można opowiadać w kółko te same lotnicze historie, które miejscowe społeczeństwo chłonie jak gąbka wodę.

– A kiedy nad Siennicę przylecisz? – pada po raz kolejny sakramentalne pytanie. Pociągam

kolejny łyk piwa i z niezachwianą pewnością siebie odpowiadam:

– Przyjdzie czas, to przylecę. Na pewno będzie widać i słyhać.

Społeczeństwo z uznaniem kiwa głową i zamawia kolejne piwo. Dla mnie też, bo jak wiadomo „żołnierz groszem nie śmierdzi”. I tak mijają kolejne piwa i kolejne dni. Gdzieś tak w połowie grudnia dostaję od Marka „Kangura” telegram (w tamtych czasach telefon w mojej okolicy był tylko w POM-ie, na plebanii i posterunku milicji). „Będę w Lublinie u Andrzeja W. dnia tego i tego... może też byś wpadł?” – brzmiała treść. Trochę źle mi się ten Lublin kojarzy. W tamtych roku o podobnej porze też wybrałem się do Lublina ze skutkiem wiadomym, ale będąc bogatszy o te doświadczenia, postanawiam, że udam się do tego pięknego miasta na spotkanie z moimi kolegami. Andrzej niedawno miał promocję, skończył WOSL wg specjalnego, przyspieszonego programu, więc jest okazja, aby oblać jego oficerskie gwiazdki. Ponieważ Marek ma w domu telefon, idę na posterunek MO po prośbie, która zostaje łaskawie zaakceptowana i dzięki wynalazkowi niejakiego pana Bella udaje mi się połączyć z „Kangurem” i porobić pewne uzgodnienia odnośnie spotkania. Podczas rozmowy wpadam na genialny pomysł:

– Słuchaj – mówię – a może byśmy tak z Lublina skoczyli do Rzeszowa odwiedzić moich starych kolegów. Z tego, co wiem, to chyba jakieś niedobitki jeszcze się tam uchowały. – A co będzie, jak się nie uchowały? – Marek ma wątpliwości. – Jak się nie uchowały, to będziemy martwić się na miejscu – kończę dyskusję.

Ojciec nic nie mówi, ale matka, jak to matka, ma wątpliwości: – Synu – mów z troską w głosie – w tamtym roku też do Lublina pojechałeś i pamiętasz jak to się skończyło.

– Mamo – odpowiadam z niezachwianą pewnością siebie – to było w tamtym roku. Teraz czasy inne i ja też. Mama wzdycha ciężko, ale wydaje się być przekonana.

– Tylko żebym cię znowu nie musiał po Polsce szukać, jak w tamtym roku – ostrzega jeszcze ojciec i sprawa wydaje się być załatwiona.

W umówionym dniu dostaję błogosławieństwo na drogę, parę złotych do kieszeni i wyruszam do Lublina. Jeden dzień spędzamy u Andrzeja

i następnego dnia, już tylko obydwaj z „Kangurem”, jedziemy do Rzeszowa. Już ponad 3 lata minęły, jak opuściłem to miasto i też mam pewne wątpliwości, czy na pewno ktoś ze znajomych tam jeszcze będzie. Rok temu powstał tu nowy kierunek – pilotaż i na pewno jest tam dwóch ludzi z Dębłina, z poprzedniego rocznika. Jak oni to zrobili, że udało im się zwać z WOSL-u i na dodatek jeszcze tam się dostali, tego nie wiem. Wiem natomiast, że został wybudowany nowy akademik „Ikar” i tam po przyjeździe kierujemy swoje pierwsze kroki. Budynek robi wrażenie, w ogóle całe miasteczko akademickie wygląda okazale. Podchodzimy do recepcji i już mam zamiar pytać panią w okienku o nazwiska, kiedy gdzieś z drugiego końca holu słyszę pełne niedowierzania pytanie: „RYBA”?!. Odwracam się w tamtą stronę i widzę osobnika powoli zbliżającego się ku nam. „RYBA”!!! – rozpoznaję Wieska P., z którym razem byliśmy w grupie i który, podobnie jak ja, poległ na pierwszym roku, tylko, że on poszedł „w kamasze”, odbębnił dwa lata i ponownie dostał się na studia. Przywitaliśmy się serdecznie, z Marka zeszło napięcie, że będziemy tu za bezdomnych robić. Po chaotycznej wymianie informacji, co się u każdego przez ten czas działo, Wiesiek zawyrokował, że bierze nas pod swój dach.

– Jakoś się pomieścimy... Sheratonów chyba tu nie oczekujecie – bardziej stwierdził niż zapytał. – Pamiętasz Andrzeja M. z aeroklubu? – zwrócił się do mnie. – Oczywiście, że pamiętam, trudno go nie pamiętać. – Właśnie z nim mieszkam, na pewno się ucieszy, jak cię zobaczy. Właśnie imieniny obchodzi.

– Zaraz, zaraz – złapałem go za ramię – jak to imieniny? Nie pomyliło ci się coś? Przecież dzisiaj jest 6 grudnia, a Andrzeja, jak mnie pamięć nie myli jest 30 listopada.

– A ty już nie pamiętasz jak się w „Agnieszce” kiedyś świętowało? Nic się pod tym względem nie zmieniło.

Faktycznie pamiętam, jak się świętowało. Przecież dzięki takiemu świętowaniu jestem na IV roku w Dęblinie, a nie absolwentem Politechniki Rzeszowskiej. Jak by nie te całe zawirowania, właśnie w tym roku skończyłbym studia.

– Wiesz, jest tam parę osób, których nie znasz – kontynuuje Wiesiek w drodze do windy. – Ja wyskoczyłem na chwilę, bo trunków zabrakło

i zobacz, jaki zbieg okoliczności, natknąłem się na ciebie. Zobaczysz, będzie fajnie, dodał i pokazał okazałą torbę, w której dumnie przeżyły się butelki wina marki „Wino”. Pojechaliśmy na górę. Faktycznie, w pokoju było „parę” osób. Nie dziwota, że butelki zniknęły jedna za drugą, ale tak to już jest jak naród spragniony „zacnych” trunków. Andrzej siedział, dosłownie i w przenośni, jak król na imieninach i zarządzał toastami. Wypiliśmy oczywiście, i to nie raz, „zdrowie tych, co w powietrzu” też.

– Wiesz, że na tym piętrze mieszka „Emu” z „Goebbelsem”? – zapytał w pewnym momencie Andrzej, kiedy tylko towarzystwo podzieliło się na podgrupy. – Powinieneś ich znać z Dębłina, może nawet z tobą na roku byli – dodał. – No, popatrz – moje zdziwienie było szczere. – Nawet pseudonimy za nimi przyszły z Dębłina. Jest szansa zobaczyć się z nimi? – Jak będziesz miał szczęście, to jest taka szansa. – Wiesz, oni prowadzą bardzo bogate życie towarzyskie – dodał filozoficznie, co w tłumaczeniu na język potoczny oznaczało, oględnie rzecz biorąc, że imprezują przez cały czas.

Kiedy impreza miała się ku końcowi i goście (ci, co byli w stanie) zaczęli się rozchodzić, stwierdziłem, że nie ma Marka. – Nie wiecie, co się stało z „Kangurem”? – zapytałem co przytomniejszych. – Zdaje się, że udał się z wizytą kurtuazyjną do „Filona” na zaproszenie dwóch dam – odparł jeden z gości.

– Nieźle – pomyślałem. „Filon” to dom studencki Akademii Rolniczej, który znajdował się za „wodą” czyli za zalewem na Wisłoku... kawał drogi. Pewnie nieprędko wróci. I nie myliłem się... wrócił po dwóch dniach.

Podróż sentymentalna

Następnego dnia, w ramach podróży sentymentalnej przejechałem się na politechnikę, gdzie miałem spotkać się z kilkoma kolegami. Trochę pochodziłem po znajomych budynkach i na koniec zaniósł mnie pod rektorat. Gapiąc się na znajome drzwi, zapaliłem papierosa. Do umówionego spotkania z kolegami zostało jeszcze trochę czasu. Wtem zza zakrętu wychyliła się jakże znana mi postać doc. B., zmierzał w kierunku drzwi rektoratu. Kiedy mnie mijał, odruchowo powiedziałem mu „Dzień dobry!”. Pan B. odpowiedział i poszedł dalej, ale po

kilku krokach wyhamował, jakby sobie coś przypomniał. Zatrzymał się, odwrócił i ruszył w moim kierunku z pochyloną głową i miną, która wskazywała, że intensywnie usiłuje sobie coś przypomnieć. Stał przede mną podniósł głowę i celując we mnie palcem, bardziej twierdząc niż pytając, powiedział.

– Czy pan Rybczyński? – Skinąłem na potwierdzenie głową. – Co pan tu robi? – Nic, stoję i czekam na kolegów. Chyba wolno mi tu stać – odparłem trochę zaczepnie. – Nie o to pytam – machnął ręką – co pan robi w Rzeszowie i co u pana słychać?

Nic nie rozumiałem z tej jego uprzejmości. Jeszcze w oczach mi stała nasza ostatnia rozmowa, kiedy to chciał rzucić okiem na moja opinię, którą potrzebowałem do Dębłina. Fakt, w końcu jak by nie patrzeć, zachował się. Mógłby dorzucić tam swoje trzy grosze, albo w ogóle powiedzieć dziekanowi, że nie zgadza się z tym, co tam było napisane. Na szczęście tego nie zrobił. Tylko, o co biega tym razem? Zachodziłem w głowę.

– Czy ma pan chwilę czasu? – Pan docent nie dał mi szans na dalsze myślowe dywagacje. – W zasadzie mam – odpowiedziałem z wahaniem. Było to coraz bardziej intrygujące. – W takim razie zapraszam do siebie – powiedział i okrągłym gestem zaprosił mnie do gabinetu z tabliczką prorektora na drzwiach. – Zaszły tu zmiany, nie tylko u mnie – pomyślałem.

Weszliśmy, wskazał mi krzesło.

– A wie pan – zaczął, gdy usiadłem. – po pewnym czasie okazało się, że faktycznie to nikt z was nie rzucił tymi jajkami... i mi z tego powodu, że was oskarżyłem jest bardzo głupio. Cały czas męczy mnie ta sprawa...

– Sprawa cię męczy – pomyślałem – ale to, że łapkę pewnie trochę przyłożyłeś, abym egzaminu nie zdał, to już pewnie trochę mniej.

– Co pan porabia obecnie, jeśli wolno spytać – kontynuował – i co tu pana przygnało? – Nic specjalnego – odrzekłem zgodnie z prawdą. – Coś na kształt podróży sentymentalnej, ot tak trochę powspominać, kolegów odwiedzić. To wszystko. Jestem w Dęblinie na czwartym roku, na pilotażu samolotów odrzutowych i w zasadzie to wszystko, co mogę powiedzieć.

– Ooo – zainteresował się pan docent. – A wie pan? Mamy tu dwóch od was. – Wiem

– wszedłem mu w słowo – nawet ich znam. – A pan nie myślał o tym, żeby przyjść tutaj na pilotaż? – padło zaskakujące pytanie. – A to mnie zastrzeżili – pomyślałem, a głośno odpowiedziałem: – Myślałem nawet kiedyś o tym, ale po pierwsze to nie myślałem, że jest taka szansa, a po drugie, teraz jestem na czwartym roku, a tutaj, ewentualnie w przyszłym roku, zacząłbym dopiero trzeci. – Gdyby się pan zdecydował, to w ramach rekompensaty za te moje niesłuszne oskarżenia, zaliczyłbym panu wszystkie przedmioty z Dębłina, tak jak tym dwóm i dostałby pan czas do końca studiów na zaliczenie różnic programowych. Byłem oszołomiony... propozycja iść królewska. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Pan docent wstał, tym samym dając do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca. – Tylko, jeśli się pan zdecyduje, musi mi pan dać znać do końca kwietnia. Nie wiem tak do końca, jak tam wygląda u was sprawa opuszczenia szeregów armii, ale to już leży po pańskiej stronie – podał mi rękę na pożegnanie.

Jechałem do akademika oszołomiony. Wiadomo, że po skończeniu pilotażu dostawało się zatrudnienie w PLL „LOT”, a mi od zawsze marzyło się latanie w białej koszuli. Chociaż, nie powiem, latanie na wojskowych samolotach było bardzo frapujące i wciągnęło mnie bez reszty, a byłem dopiero na początku tej drogi. Ileż to razy, kiedy trzeba było bardzo wcześniej wstać, kłęto się w żywy kamień, zwłaszcza w pełni lata, kiedy inni mieli wakacje i kiedy my wychodziliśmy na loty, moi cywilni koledzy dopiero kładli się spać po całonocnych imprezach. Ale kiedy prawie z tylko co wschodzącym słońcem znalazło się w powietrzu i popatrzyło z góry na ledwie co budzącą się ziemię, wszystkie złe nastroje natychmiast zniknęły. Wtedy docierało, że jesteśmy jednak na swój sposób wybrańcami. Niewielu było ludzi, którzy mogliby oglądać z góry świat, buszować między chmurami i czuć tę moc drzemiącą w odrzutowym silniku. Biała koszula to jedno, wojskowe odrzutowce to drugie... Miałem dylemat, tym bardziej, że w lutym czekały mnie badania u psychologa po tym moim słynnym totolotku na testach psychologicznych. Trzech z naszej czwórki, którzy oprócz mnie tak wypełnili testy i potem razem ze mną byli w WIML-u na pogłębionych badaniach, już było „pod kapeluszem”. Zostałem jak ten samotny Mohikanin. Będę miał o czym myśleć.

Po powrocie do akademika zdałem relację Wieśkowi P., co mnie spotkało na Pola (ulica, przy której mieścił się rektorat). Jego reakcja była natychmiastowa: – O w mordę! – wykrzyknął. – No, popatrz ty... a to docenta ruszyło... a wiesz dlaczego był taki miły dla ciebie? – Pojęcia nie mam – wzruszyłem ramionami. – Pamiętasz Krzyśka T. który mieszkał w „Agnieszce” pod tobą? – No ten, co mu zwinęliście wałówkę z parapetu przed świętami – dodał, widząc, że zbytnio nie kojarzę.

– A tak, tak... pamiętam – uśmiechnąłem się na wspomnienie tamtej historii i oczywiście natychmiast przypomniał mi się właściciel.

– Krzysiek też wyleciał po pierwszym roku i nie miały wpływu miał na to pan docent – kontynuował Wiesiek. – Po jakimś czasie niezbyt trzeźwy Krzysiek T. spotkał pana B, sprawcę swego nieszczęścia „na mieście”, a że nie był akurat w najlepszym nastroju, podszedł do niego i wykrzyczał mu twarz:

– Jajkiem już ode mnie zarobiłeś, ale to jeszcze nie koniec! – Dzisiaj za takie rzeczy to prokurator zaczyna się takim osobnikiem interesować, ale wtedy?, wtedy Milicję Obywatelską interesowały inne sprawy, a pojęcie „groźby karalnej”, jeśli nawet istniało, to i tak miało się nijak do szarej rzeczywistości. A jeśli student nie zdawał egzaminu, to nie było wynikiem jego niewiedzy, tylko „pan” się na niego wziął.

– Teraz już wiesz, dlaczego pan docent był taki miły. Sumienie go ruszyło, chociaż w sumie to on zawsze był porządny chłop – zakończył. – Zgadza się – potwierdziłem. – To był zawsze porządny chłop i jak się okazało jest nim nadal. – A ty, co z tym zrobisz? Przyjdiesz tutaj, czy nie? – zadał mi pytanie. – Muszę się z tym przespać i to niejedną raz – stwierdziłem filozoficznie. – A „Kangur” jeszcze nie wrócił? – zaniepokoiłem się. – Nie, jeszcze go nie ma. Spokojnie, na pewno się znajdzie. Pewnie krzywdą mu się tam nie dzieje i z głodu nie umiera. Że krzywdą mu się nie dzieje to byłem pewien, pana na żołę nie wyglądała

– Przypomnij mi, jak to było dokładnie z tą wałówką na parapecie – Wiesiek zmienił temat. Uśmiechnąłem się na wspomnienie tej historii.

– To było przed świętami Bożego Narodzenia – rozpocząłem. – Wiesz, jak to zawsze bywa z kasą, stypendium płacili na początku miesiąca

więc jechaliśmy już na oparach. Coś tam człowiek skubnął na stołowie od czasu do czasu, ale generalnie było cienko. Każdy już był myślami w domu przy świątecznym stole, a tu parę dni jeszcze pozostało, a i przed wyjazdem przydałoby się jakiego strzeżennego wypić też. Siedzę sobie któregoś dnia, bezmyślnie gapiąc się w okno, w pewnym momencie mój wzrok wędruje nieco niżej i coś widzą moje oczy!? Na parapecie poniżej pyszni się wypchana torba. Jest grudzień, temperatura na zewnątrz poniżej zera, więc wyobraźnia szybko podpowiada – ani chybi musi być tam żarcie, a stoi za oknem, bo to przecież naturalna lodówka. Wołam szybko kolegów i dzielę się z nimi swoim odkryciem. Decyzja jest szybka – nie dowiemy się nic o zawartości, jeśli tego nie sprawdzimy, a wyobraźnia pracuje. Szybko robimy haczyk z wieszaka, znajduje się kawałek sznurka, otwieramy okno i za chwilę torba jest gotowa do podniesienia. Spotyka nas jednak niemiła niespodzianka – torba jest przywiązana kawałkiem sznurka do wewnętrznej strony ramy okiennej. Ale co tam... potrzeba matką wynalazków. Który przynosi kawałek drewnianego kija, który normalnie służy jako karnisz w oknie, wbijamy w koniec starą żyłkę i kiedy jeden trzyma zaczepioną na sznurku torbę, drugi zawzięcie piłuje zamocowanie. Chwila i torba wraz z zawartością, wędruje do góry. A tam... coś za wspaniałości! Jest i boczek, i kielbasa podsuszana, trochę pasztetu i solidny kawał szynki. Rzucamy się na te wszystkie frykasy.

– Hola, hola, panowie! Nie można im wszystkiego tak wyczyścić. Poczestujmy się, a resztę położmy z powrotem na parapecie – proponuje któryś. – Nie można być taką ostatnią świnią. A poza tym, jak torba zniknie, to będziemy pierwszymi podejrzanymi i rozjuszony właściciel może nas zbrojnie najechać. A tak zatrzymamy ślady.

Trafia nam to do przekonania i po w miarę obfitej uczcie, torba z połową jedzenia zostaje troskliwie umieszczona na parapecie. Pewności nie ma, czy nie spadnie, ale to już siła wyższa.

– I co, wydało się? – Wiesiek nie kryje rozbawienia

– Finał był inny niż się spodziewasz – kontynuowałem opowieść.

– Podczas juwenaliów byliśmy na imprezie u sąsiadów z piętra niżej. Oczywiście naprawialiśmy świat i dyskusje były różne, przeważnie takie tam

bla bla bla, aż w końcu zeszło na stosunki międzyludzkie. Było trochę przykładów, jacy to niektórzy z naszych kolegów są nieużyteczni.

– Wszystko to nic w porównaniu z towarzystwem z mojego pokoju. Przed świętami zeżarli mi połowę moich zapasów. Akurat to może bym i im wybaczyl, ale to, że żaden s...! się nie przyznał, to mnie dopiero wnerwiło.

– Ja też się nie przyznałem, bo gość był dość krewki i nie wiadomo, czy by go jakie resentymenty nie wzięły, gdyby się dowiedział – zakończyłem opowieść.

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich „Kangur”.

– Wszelki duch Pana Boga – westchnąłem z ulgą. – Witamy syna marnotrawnego. Jakoś mi nie za tego wyglądasz – przyjrzałem mu się krytycznie. – Czyżbyś na piechotę zza wody drałował? – dorzuciłem złośliwie. Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Żebyś wiedział – westchnął. I to był koniec jego wynurzeń.

Następnego dnia poszliśmy na spotkanie do miejscowego radia studenckiego i umówiliśmy się na współpracę, co zostało przypieczętowane kilkunastoma toastami. Następnego dnia ruszyliśmy w drogę powrotną do Lublina, skąd Marek pojechał do Łodzi, a ja udałem się do rodzinnego domu. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Wigilię spędziłem w domu, w gronie rodzinnym, a w drugi dzień świąt byliśmy razem z Basią zaproszeni na wesele mojego kolegi z „towarzystwa tolotłkowego” Grzeška Dubowskiego, który od kilku dni był już w „cywilu”, ale, że jako jego przyszła żona, mieszkała na Glinniku, wesele odbywało się w Klubie Garnizonowym. Sylwestra również spędziliśmy w tymże klubie, jako że nie wypalił nam wyjazd w góry. Refleksje nasuwały się same. Rok temu też spędzałem sylwestra w tej okolicy, tylko w trochę innym miejscu. Życie bywa przewrotne. Ojciec Basi, składając mi życzenia noworoczne, życzył mi zdrowia i wszelkiej pomyślności.

– A sobie życzę – dodał na koniec – abyś został moim zięciem. Prorok jakiś, czy co?

Podchorąży jest w porządku

Po Nowym Roku pojechałem prosto do Dębłina. Zaczął się zwykły młynek. Nauka, praca w

Studiu „Ikar”, od czasu do czasu krótki wypad do Łodzi. Udało nam się załatwić, dzięki pułkownikowi, który prowadził w TV audycję „Poligon”, dużo używanego sprzętu audio. W telewizji nie nadał się do niczego, a dla nas były to istne skarby. Duża konsola, parę mikserów i dużo wysokiej klasy mikrofonów. Teraz to nawet w porównaniu ze studenckim Radiem „Centrum” w Lublinie nie byliśmy ubogimi krewnymi. Pana pułkownika poznałem na lotnisku w Glinniku. Przeszkalał tam się na „Iskrze”. Nie wiem po co, ale ani mi było w głowie o to pytać. Gość chętnie z nami przebywał i rozmawiał, w końcu lotniczo był na tym samym etapie, co my. Chociaż nie, my byliśmy już na etapie stref na średni pilotaż, a on dopiero robił kręgi. Zresztą jak pamiętam to chyba nie wyszedł poza etap latania po trasie. Zagadałem go któregoś razu przy kawie, czy nie pomógłby naszemu studiu zdobyć trochę wycyfrowanego z telewizji sprzętu. Obiecał, że będzie pamiętał i faktycznie słowa dotrzymał.

Któregoś dnia Marek „Kangur” dostał list od Jacka „Psa” Ryncarza. Po opuszczeniu Dębina dostał się do Wyższej Szkoły Morskiej i teraz od czasu do czasu denerwował nas kolorowymi kartkami wysyłanymi z różnych części świata. Jacek pisał, że właśnie jest na Maderze. Mają tam trzydniowy postój w drodze do Rio de Janeiro i w ogóle jest fajnie, piękna pogoda i temperatura 25°C. Sam jednak z leżką oku wspominał czasy WOSL-u, a zwłaszcza pobyt na lotnisku w Tomaszowie.

– Taki to pożyje – westchnął Kangur, składając list. – Ty nie narzekaj – warknął do niego. – Ty chociaż trochę świata widziałeś, a ja nawet w Czeskich Tatrach nie byłem.

– Co było, a nie jest nie pisze się w rejestr, a ty lepiej myśl jak uchować się do soboty z włosami. Przecież na imprezę do radia do Lublina jedziemy. Chcesz wyglądać jak rekrut? Przypominam ci tylko – zakończył z westchnieniem Marek.

Fakt, w sobotę jedziemy do Radia „Centrum”, a włosy to był wtedy w wojsku zawsze punkt zapalny. Na ulicy panowała wtedy moda na „hippieja”, a nas regulamin wojskowy, dosłownie i w przenośni, traktował krótko w tej materii. „Żołnierz ma być krótko i wysoko podstrzyżony” głosił jeden z jego punktów, tylko to „krótko i wysoko” każdy z przełożonych traktował po swojemu. Żeby nie rzucać się w oczy z kilometra, kiedy było się poza szkołą, każdy na

swoj sposób próbował coś tam dla siebie ugrać w tej materii. Czasami, za pomocą mydła, żelu i innych wynalazków, nawet to się udawało. Więc aby do soboty. Niestety, w piątek „Łaa Edek”, dowódca batalionu, zarządził apel mundurowy, czyli oględnie rzecz biorąc, każdy musiał się wypowiadać z rzeczy, „które mu Ojczyzna dała”. Oczywiście każdy braki jakieś miał, ale od czego pomysłowość „podchorąża”. Kiedy trwało sprawdzanie jednego, poza plecami przy sztucznie wywołanym zamieszaniu, trwał transfer rzeczy do potrzebujących. Nie to jednak było największym problemem. Problemem były włosy, a konkretnie ich długość, która wg naszego wodza, nijak się miała do terminu „krótko i wysoko podstrzyżony”, a dowódca batalionu przy okazji apelu postanowił sprawdzić stan naszego owłosienia. Nadzieja, że uchowamy nasze fryzury malała z każdym krokiem zbliżającego się do nas „Łaa Edka”, któremu towarzyszył dowódca plutonu i szef kompanii. Szli za plecami naszego szeregu.

– „Ryba”, zrób jingsa – rzucił „Kangur” półgłosem, kiedy cała świta była o kilka kroków od nas.

Jings to była moja specjalność. Chyba każdy oglądał tę kreskówkę. Wystarczyło nastroszyć z tyłu włosy, wciągnąć głowę w ramiona i jings wychodził jak żywy. I tak wiedziałem, że włosów nie uchowam, więc czemu nie, będzie trochę weselości. „Łaa Edek” uważnie każdego lustrował i rzucał na bieżąco swoje uwagi. Co tu dużo mówić, przeważnie długość owłosienia nie mieściła się w jego kryteriach. Nagle ucichł i prawie biegiem rzucił się w moją stronę.

– Ocho – pomyślałem – chyba mnie zauważył – przecucie mnie nie myliło.

– „Podchorąży! W tył zwrot!” – nie miałem wątpliwości, że to do mnie. Dziarsko wykonałem komendę. Dowódca batalionu zlustrował mnie od stóp do głów.

– Łaaa, nie dość, że nieostrzyżony to jeszcze zarośnięty. Do raportu jego! I przykładnie ukarać! – wrzasnął do dowódcy plutonu. Wśród kolegów odezwały się stłumione uśmieszki. Mieli łobuzy uciechę.

– Tak jest! – odpowiedział dowódca plutonu. – Po apelu, z pomocnikiem dowódcy plutonu do mnie – rzucił w moją stronę i podążył za „Łaa Edkiem”, który poszedł dalej lustrować resztę. Poszedł

dalej! Nie wrócił, żeby sprawdzić „Kangura”, „Tela” i jeszcze kilku innych „zarośniętych jak Papuasy”. Udało im się.

Apel dobiegł końca i ruszyliśmy gromadnie do akademika.

– Macie szczęście, łachudry – rzuciłem w stronę kolegów. – A ja znowu dałem się podpuścić – byłem trochę rozżalony na Marka

– Kto mógł przypuszczać, że tak cię potraktuje – ten wzruszył ramionami. – A poza tym, co ci może złego zrobić?

– Ale fun był – dodał szybko, a kilku kolegów z uznaniem pokiwało głowami. Po dotarciu do akademika rozeszliśmy się po pokojach, oficjalnie nazywanymi, jakże by inaczej, izbami żołnierskimi. Ledwie tam dotarłem, w drzwiach stanął „Próchniak”, pomocnik dowódcy plutonu.

– Zbieraj się, „Ryba” – rzucił i wyszedł z pokoju. Ruszyłem za nim.

– Obywatelu poruczniku! Melduję podchorążego Rybczyńskiego do raportu karnego! Wyrecytował regulaminową formułkę, kiedy weszliśmy do kancelarii, a ja, jak papuga powtórzyłem za nim to samo, tyle, że w pierwszej osobie. Wojskowemu ceremoniałowi stało się zadość i dowódca plutonu gestem pokazał Mirkowi, że jego obecność jest w tym momencie zbędna.

– Rybczyński – zaczął porucznik S. z przeganą w głosie. – Przecież wiedziałeś, że kapitan A. będzie sprawdzał dzisiaj włosy, dlaczego się nie ostrzygłeś? Potrzebne to ci było?

Potrzebne, przecież nie będę mu tłumaczył, że włosy chowałem na okoliczność wizyty w Lublinie. Nie chciałem świecić regulaminową, wojskową fryzurą.

– Obywatelu poruczniku – wyprostowałem się z godnością, przyjmując wzorcową postawę „na baczność”. Nawet wzrok miałem skierowany w przestrzeń przed siebie. Powiedziałbym nawet, że sięgał daleko poza ścianę znajdującą się przede mną. – Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Zawiniłem i proszę mnie ukarać.

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Był wyraźnie zbity z pantafyku. Przecież „podchorąż” zawsze znajdzie jakieś wytłumaczenie – ojca, matki się wyprze. Oczywiście wszystko sprysięgło się przeciwko niemu. Ale on miałby być winny? Skąd! Nie da się ukryć. Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

– Ale dlaczego? Przecież wiedziałeś! I co ja mam teraz z tobą zrobić?

Był wyraźnie zrezygnowany. Spodziewał się raczej, że znajdę sto powodów, dla których pogniwałem się z fryzjerem. Szkoda mi się go zrobiło, bo dowódca plutonu był naprawdę bardzo przyzwoitym człowiekiem i wiedzieliśmy, że często wiele naszych wybryków brał na przysłowiową „klatę”, a te moje włosy, a konkretniej bez namysłu zrobiony jinks, idzie nie tylko na moje, ale też i na jego konto. Właściwie to przede wszystkim na jego, bo my, będąc na czwartym roku, na takie rzeczy gwizdaliśmy.

– Obywatelu poruczniku, proszę mnie ukarać – powtórzyłem z uporem maniaka. S. z dezaprobatą kręcił głową. W pewnym momencie podjął jakąś decyzję i już otwierał usta, aby mi to obwieścić, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju zdecydowanym krokiem wkroczył „Łaa Edek”.

– A co ten egzemplarz tu robi? – wybałuszył oczy na mnie, a potem na porucznika S.

– Właśnie jest u raportu – oznajmił trochę zaskoczony dowódca plutonu.

– U raportu? No to masz, gościu pecha! – to było do mnie. – Łaa, teraz to ja cię będę karał – rzucił zjadliwie. – Dowódca kompanii gdzie? Zawołać – zaordynował „Łaa Edek”. – Melduję, że jest na zwolnieniu. Ja go zastępuję odpowiedział porucznik.

– To w takim razie wy zameldujecie podchorążego Rybczyńskiego do raportu i chcę widzieć jego teczkę personalną z opinią, kartą kar i wyróżnień. Wszystko, natychmiast – zarządził zdecydowanym wojskowym głosem, zamaszycie zajmując miejsce za biurkiem. Gwoli wyjaśnienia dla tych, którzy nigdy „przy wojsku” nie byli, Do dowódcy batalionu meldować delikwenta powinien dowódca kompanii. Porucznik S. otworzył kompanijną szafę, wyszukał odpowiednią teczkę i położył ją na biurku i następnie wskazał mi głową na drzwi. Wyszliśmy obydwa na korytarz. Za chwilę weszliśmy z powrotem i por S. wygłosił standardową formułkę, którą ja za chwilę skwapliwie powtórzyłem. Durna procedura, ale w wojsku się nie dyskutuje, zwłaszcza z regulaminami. „Łaa Edek” pilnie studiował moje dossier, a było tam tego trochę, ale ostatnio przeważały pozytywne wpisy. Wszystkie moje poprzednie kary zostały starannie zamazane czarnym tuszem, a ponieważ ostatnim matolem nie byłem i latanie też nie

stanowiło dla mnie problemów, więc i trochę tych pozytywów się zebrało.

– Łaa, czy podchorąży jest w porządku, czy nie? – padło pytanie w stronę dowódcy plutonu.

– No, nie jest. Był nieostrzyżony – odpowiedział zgodnie z prawdą por. S.

– Łaa, to dlaczego w opinii jest napisane, że jest bez zarzutu, skoro nie jest? – Edek wybałuszył na niego oczy.

– Bo podchorąży był ostatnio bez zarzutu... do teraz – odpowiedział trochę skofundowany porucznik S.

– To dlaczego tego nie ma w opinii, że nie jest. To w końcu jest, czy nie jest? – pieklił się Edek.

Słuchałem tego z otwartymi ustami. Śmiać mi się chciało z tej całej sytuacji.

– Bo podchorąży w zasadzie jest w porządku, tylko teraz te włosy.

– To znaczy, jeśli podchorąży jest w porządku – „Łaa Edek” przerwał S. – obywatel porucznik nie jest w porządku. W takim razie podchorąży Rybczyński – Baczność! – zerwał się z krzesła – za wzorową postawę nagradzam podchorążego pięciodniowym urlopem. Dowódca kompanii! – zwrócił się do S. – Wypisać rozkaz!!!, wyprowiantować!, wygonić! – z traskiem zamknął moją teczkę. – A wy, poruczniku za zaniedbanie obowiązków służbowych do mnie do raportu. Natychmiast!

– Podchorąży! Odmaszerować!

Wykonałem regulaminowy w tył zwrot i wypadłem z kancelarii, krztusząc się ze śmiechu. No nie, wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie tego. Tak na wszelki wypadek, żeby dowództwu nie przyszło do głowy zmieniać zdania, czym prędzej udałem się na pięciodniowy urlop. Pojechałem oczywiście do Łodzi, a potem do Tomaszowa, bo dziwnym trafem jakoś w tamte strony mnie ciągnęło.

Przed badaniami u psychologa

Zbliża się luty i termin moich badań u psychologa. Ponieważ postanowiłem, że jednak zostanę lotnikiem wojskowym, więc, aby nie zostawiać spraw samym sobie, wziąłem się za studiowanie psychologii zarówno ogólnej, jak i lotniczej. Rozjaśnia mi się trochę w głowie, o co chodzi z tymi

testami i po przetrawieniu pokażnej liczby lektur stwierdzam, że wiem, co mam pisać, aby wszystko było OK. „Kangur” z „Telem” przyglądają mi się podejrzliwie, a kiedy są przekonani, że na nich nie patrzę, pukają się znacząco w czoło. Nic nie pomagają moje tłumaczenia, że sprawę głęboko przemyślałem i z bilansu zysków i strat wyszło, że powinienem zostać na WOSL-u. Żegnajcie więc Politechniko Rzeszowska i PLL „LOT”. Będę latał na wojskowych odrzutowcach. Chyba, bo nic pewnego, oprócz śmierci, w życiu nie ma.

Pod koniec miesiąca jedziemy na kilka dni do Białej Podlaskiej zapoznać się z pułkiem, lotniskiem i z samolotem Lim-2, czyli polską wersją MiG-15. Pułk przeprowadził się na jesieni z Nowego Miasta (jaka szkoda, tamto miejsce, w obecnej sytuacji, dużo bardziej by mi pasowało) i wszystko wokół pachnie wielką prowizorką. Warunki mieszkaniowe, ogólnie mówiąc, nie najlepsze. Mamy mieszkać w koszarowcu po kilkunastu na sali i na dodatek na piętrowych łózkach. Pal go tam sześć te piętrowe łóżka, ale Biała to jest prawie koniec świata. Do Warszawy jest tylko jeden pociąg dziennie i to na dodatek rano. Kto w wojsku wyjeżdża rano na przepustkę? Jest jeszcze ekspres po południu, ale to pociąg specjalny dla Armii Radzieckiej i jego nazwa to „Legnica”. Oczywiście, Polacy nie mają prawa nim jeździć. W dzień mamy zajęcia na lotnisku, a wieczorem, grupkami, udajemy się na poszukiwanie centrów kultury.

Sprawa jest kiepska, ale nie beznadziejna – taka jest opinia większości. – Cóż, z tym problemem da się żyć – stwierdza filozoficznie „Kangur” w drodze powrotnej do Dębłina. Najbliższe dni zajęło nam zdawanie egzaminów, było trochę tego, ale ponieważ nie marnowałem czasu, więc i wyniki miałem bardzo dobre. Po sesji miały być wręczane złote odznaki „Wzorowy Podchorąży”, a ponieważ moja średnia grubo przekraczała wymaganą, więc byłem niemiłe zaskoczony, kiedy nie znalazłem się na liście odznaczonych. Właściwie to ta odznaka nie była mi do niczego potrzebna, ot tak tylko dla własnej satysfakcji, ale jeśli mam spełnione warunki, a jej nie dostaję to i satysfakcja cierpi. Poszedłem z pretensjami do dowódcy kompanii, bo to było w jego gestii.

– Rybczyński, tobie złotą odznakę? – kapitan Tadeusz B. popatrzył na mnie sceptycznie.

– A dlaczego nie? – zapytałem. – Średnią mam najlepszą w kompanii, dużo wyższą niż wyimagana, gorsi ode mnie dostali.

– Ale karani nie byli, a ty? Ileś to razy, liczyć mi się nie chce, a i aresztu też by się trochę uzbierało – dodał przeciągle dowódca kompanii.

– Jaki areszt? Niech pan spojrzy w kartę, jest tam coś? Karta kar czysta jak iza... a niech pan popatrzy na kartę wyróżnień, tego pan nie widzi?

– Kar nie ma, bo zamazane, ale sam wiesz jak było, cała strona na niebiesko zamazana. A jeszcze ta sprawa z dowódcą plutonu, który pes ciebie działkę zaliczył, to jus w ogóle afera – dodał znacząco.

– Co było a nie jest nie pisze się w rejestr. A dowódca plutonu sam sobie winien. Zamiast mi z marszu dorznać jak w regulaminach stoi, to zaczął się ceregielić i mnie umoralniać. Potrzebne to było? – odpowiedziałem z wyrzutem.

– No dobrze, załóśmy, ze dam ci tę blachę – ugodowo stwierdził dowódca. – Załóśmy... Tylko po co? Bo jak znam życie, to za tsy dni będę ci ją musiał zabrać. Srebrną ci tsy razy zabierałem. Moze nieprawda?

Fakt, prawda... tak było, chociaż nie do końca. Dwa razy miałem zabieraną, nie trzy. Trzecia tkwiła na prawej górnej kieszeni mojego munduru.

– A to, to co? – zapytałem, pokazując na „wzorkę”. – 5 złotych?

– Ja ci radze, Rybcynski, ty lepiej idź gdzie w tył na lewo, albo co, bo zaraz ci dorznie, za głupie dyskusje z pselozonym i tyle będzie... I blacha tseci raz ci spadnie – dodał ze złym błyskiem w oku.

Nie miałem innego wyjścia jak tylko, zgodnie z radą, pójść „w tył na lewo, albo co”.

Nakazanego dnia stawilem się w Szpitalu Lotniczym w Dęblinie na badania psychologiczne. Wypełniałem testy, mając na uwadze wiedzę, którą posiadałem podczas pilnego studiowania podręczników psychologii, w taki sposób, aby żadnemu psychologowi nawet przez myśl nie przeszło, że moja kondycja psychiczna wskazuje na to, że nie mógłbym być dziarskim oficerem.

kpt. Marian Rybczyński

Jan Henryk Cichosz

Z moich zapisków



„Dzienniki” Marii Dąbrowskiej

Raz jeszcze powróciłem do lektury „Dzienników” Marii Dąbrowskiej, w wyborze Tadeusza Drewnowskiego, a także ze wstępem i przypisami tegoż autora („Czytelnik”, Warszawa 1988). Nie wiem, ilu czytelników obecnie po te dzienniki sięga, pomijając studentów filologii polskiej i historyków oraz socjologów. Dla mnie lektura czwartego i piątego tomu, to pewnego rodzaju sentymentalny powrót do lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, czasu mojego dzieciństwa i wczesnej młodości.

„Wilczy Gang”

Od Kazimierza Nózki, leśnika i tropiciela przyrody, otrzymałem książkę Marcina Szumowskiego „Wilczy Gang i nowe historie Kazimierza Nózki” („Oficyna 4eM”, Warszawa 2020). Ta książka to 303 strony, które odsłaniają kawałek Bieszczadów, a ściślej – bliskie i dalsze okolice Baligrodu. Opisana przez Marcina Szumowskiego codzienność i niezwykłe opowieści leśnika Kazimierza Nózki o otaczającej go przyrodzie i ludziach, a także o tym, w jaki sposób powinniśmy na to wszystko patrzeć i być rozsądnymi.

„Półbaśnie”

„Półbaśnie” Tadeusza Nowaka („Czytelnik”, Warszawa 1986) kupiłem w jednej z księgarni w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu. Czytając tę książkę, już coraz bardziej zapominanego poety i pisarza, przypominała mi się rozmowa z nim, jaką przeprowadziłem na kilka miesięcy przed jego śmiercią w kwietniu 1991 roku. Wówczas Tadeusz Nowak powiedział mi, że polska wieś, którą on pamięta i ta, w której żyłem we wczesnej młodości odchodzi bezpowrotnie w zapomnienie. Wracając do „Półbaśni”, w tej książce Tadeusz Nowak opisał w poetycki sposób klimat i język tamtego czasu, a przede wszystkim sz-

cunek do chleba i starszych ludzi. „Przypominam sobie, jak dziadek Roztropiek, nasz patriarcha wiejski, do którego pielgrzymowano z odległych wsi jak do pustelnika świętego, siadywał pod sadem przy stole, na którym leżał większy niż koło od wozu bochenek chleba. Otoczony ludźmi, wstawał od stołu i biorąc bochenek do rąk, podnosił go wysoko nad głowę, błogosławiąc nim wszystkich i wszystko. Dopiero wtedy sięgał po nóż i dzieląc na wiele kromek, rozdawał go czekającym pod sadem ludziom. I słynny był w okolicy chleb dziadka Roztropka. Pod kromki dzielone nożem zrobionym z kawałka kosi, podobno tej, którą dzierżył ongiś Bartosz Głowacki, podkładano życzenia najświętsze, na jakie może się zdobyć człowiek wiedzący, co to przednówek, co to kołach weselny, co proszalna kromka pod kościołem i kromka użebrana w wędrownie po okolicy”.

Teresa Ferenc (1934-2022)

1 sierpnia 2022 roku zmarła w Sopocie poetka Teresa Ferenc, ur. 27 kwietnia 1934 roku w Ruszowie Kolonii k. Zamościa. Mając zaledwie 9 lat, straciła swoich rodziców i młodszą siostrę podczas przeprowadzonej przez Niemców pacyfikacji wsi Sochy k. Zwierzyńca. Niemalże cudem ocalona, przez wiele lat tułała się po wielu miejscowościach. Przez pewien czas przebywała w Krasnymstawie w miejscowym domu dziecka, który wówczas mieścił się w ratuszu. Od roku 1975 zamieszkała w Sopocie. W rozmowie ze mną ponad trzydzieści lat temu powiedziała mi, że krajobraz otaczający Sopot przypomina jej rodzinne strony.

Pamiętam, jak w roku 1988 przysłała mi swój tomik „Nóż za ptakiem” („Czytelnik”, Warszawa 1988) z jakże piękną dedykacją: „Proszę przyjąć moja książeczkę wraz z podziękowaniem za Pański zbiorek wierszy, a szczególnie za „Wytarte tablice”, „Marek Swatowski...” i „One”. Z tego tomu wybrałem wiersz:

Czarna Maria ze wsi Sochy

Z dzieciątkiem na lewej ręce
z dzieciątkiem na prawej ręce
w drodze do szpitala
spowiada się

naręcz drzewa ukradłam
snopek słomy
ziarno z obcych kłosów darłam
nocą sąsiadce wydoiłam krowę
Wśród ciemności
nawiedzał mnie lewiatan
z bicia trząsał
szłam jak ślepa
głucha
kamienna

Ojciec
nie zostałam wniebowzięta
Ukrzyżowana spowiadałam się
Tobie
dzieciom
wnukom

Dwie książki Henryka J. Kozaka

Mój przyjaciel Henio Kozak przysłał mi z pięknymi dedykacjami dwie swoje najnowsze książki. Pierwsza z nich to poetycki tom „Komunikat z Botanika” („Norbertinum”, Lublin 2022), o którym więcej w oddzielnej publikacji. Druga książka to „Kamień”, wydana także w „Norbertinum” i o tej książce także w oddzielnej publikacji.

Migawki z moich rowerowych wędrówek

Jakże ja kocham te moje rowerowe wędrówki po przepastnych – tych dalszych i bliższych – przestrzeniach ziemi krasnostawskiej. Choć coraz mozołnej przychodzi mi pokonywanie wznieść, jak również jazda pod wiatr.

Tegoroczny wakacyjny sezon zakończyłem dwoma wypadami. Pierwszy był po Działach Grabowieckich. Po powrocie z okolic Grabowca i Skierbieszowa zatrzymałem się w Majdanie Surhowskim nieopodal coraz bardziej zapadającego się domu pod strzechą, który od lat uwiecznia na zdjęciach. Drugi był w okolicy Trawnik z jego jakże tragiczną historią z I i II wojny. Całą drogę do Trawnik jechałem pod silny wiatr. Od Trawnik pojechałem w kierunku Kaniego. Najpierw było Ewopole, a później przepiękna trasa, w większości przez pola i lasy aż do samej Borowicy, w której odpocząłem obok tamtejszego kościółka, w którego wnętrzu od czasu I wojny w jednej z kolumn tkwi

artyleryjski pocisk, który na szczęście nie wybuchł. Jadąc spod kościółka, na chwilę zatrzymałem się przed opuszczonym domem Rokity, w którym do roku 1942 mieszkała żydowska rodzina.



Z Borowicy pojechałem przez Łopiennik Podlesny do Stężycy Łęczyńskiej i na tamtejszym małym cmentarzu odnalazłem grób Józefa Marciniaka (1899-2001), którego dowódcą w czasie wojny polsko-bolszewickiej był poeta Władysław Broniewski. Pamiętam, jak w roku 1998 odwiedziłem go i wówczas opowiedział mi o swoim także długim życiu.

Jan Henryk Cichosz

Jan Henryk Cichosz

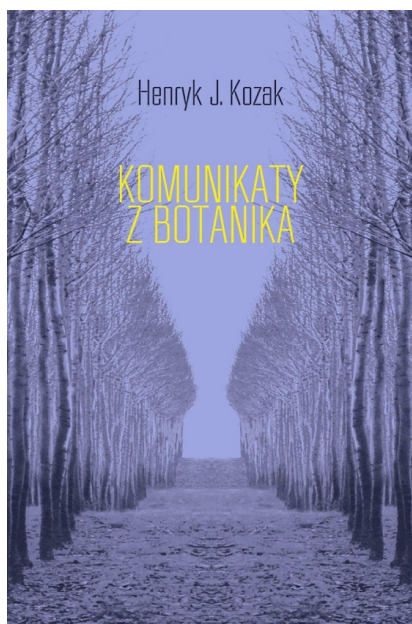
Poeta z Sitnika



Każdy poeta na swoje miejsce i czas. Dla poety Henryka J. Kozaka tym miejscem i czasem jest Podlasie, a dokładnie maleńka wieś Sitnik leżąca nieopodal Białej Podlaskiej, która w jego poezji zajmuje poczesne miejsce i jest nieprzemijającą arkadią.

W lipcu 2020 roku Kozak obchodził swoje 75-lecie i z tej okazji zafundował sobie, przy wsparciu Gminnego Ośrodka Kultury w Białej Podlaskiej, a także licznemu gronu przyjaciół, wybór wierszy „Imiona tęsknoty” (wydany w roku 2021), w którym znalazły się wiersze z lat 1974-2020. We wstępie Józef F. Fert napisał, że „te wiersze-opowieści czytają się jak własne myśli, jak własne wspomnienia, jak własne refleksje”.

Henryk J. Kozak debiutował jako poeta w lubelskiej „Kamenie” w roku 1967. Od tamtej pory napisał i wydrukował setki swoich wierszy, jakże prostych i mądrych, które czytającego oprowadzają po tym wszystkim, co jest dla niego najważniejsze i najukochańsze. Klimat tych wierszy to przysłowiowy miód i sól... i odwrotnie. Z tym miodem i solą poeta niemalże bezustannie stoi w oknie swojego mieszkania na obrzeżach Lublina, patrząc w kierunku ukochanego Sitnika, doskonale wiedząc, że tamten świat odszedł bezpowrotnie. Kozak także wie, że jest jednym z niewielu współczesnych poetów tzw. nurtu chłopskiego, który w oryginalny sposób ocala to w swojej poezji. Dobrze, że jeszcze mamy takich poetów i taką poezję z jej niepowtarzalnym autentyzmem, prostotą i szczerością.



Henryk J. Kozak, „Komunikat z Botanika”, Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin 2022, ss. 101.

W najnowszym tomie wierszy „Komunikat z Botanika” Henryk J. Kozak w dalszym ciągu jest wierny temu wszystkiemu, co go ubogaciło i ubogaca. Poeta doskonale wie, że nie zatrzyma upływu czasu ani go nie ominie. Pozostało mu tylko z nim się wadzić i odjeżdżać w arkadię dzieciństwa i godzić się, i nie godzić z nadchodzącą starością, co czyni z wielką klasą.

Jan Henryk Cichosz

Henryk J. Kozak

Przedźniwna niedziela

Sitnikowi

Wleczę się przedźniwna niedziela
Siedzimy na ławce przed płotem
Kościelny rozhuśtał dzwony
Wypłoszył z gniazd młode kawki
Po całej wsi
Roznoszą swoje
Bezdomne nieszczęście

Ławka ma lat 90
Płot też jeszcze się trzyma
Postawił go stolarz
Mąż babci Michaliny
Umarł na tyfus
Zaraz po powrocie z Wielkiej Wojny

Podpierają go powoje
I dzikie wino
Zbratane z tują
I bluszczem

Na drodze tłok
W kurzu i upale
Niesiemy swoje modlitwy
I grzechy

I składamy prośby przed ołtarzem
O bogate zbiory
A zostawiamy w konfesjonale
Urojone grzechy



rys. Urszula Gierszon



Noc strachów

Taką miałem noc
Byłem
W rodzinnym domu
Martwy

Na stole
W kuchni
Przy otwartym oknie
Stała
Tekturowa walizka
Już gotowa do wyjazdu

Tylko ją
Miałem wtedy
Na własność
I kilka
W niej książek

Na podwórku
Wiosennym bo słyszałem
Gwizd szpaka
Matka cicho
Pytała ojca
Ile mu damy
Na drogę
Bo jeśli więcej
To musimy pożyczyć
Od sąsiada

Wyszedłem chyłkiem
Bez pożegnania
Zostawiłem też
Walizkę

Pewnie tęskni na strychu
Za drogą
Chyba że którejś zimy
Spłonęła w piecu

Najwyższy już czas
Żeby po nią
Pojechać

Elżbieta Petruk

Moja przygoda z pewnym wierszem Jana Henryka Cichosza



Remigiusz Grzela – pisarz, poeta, dramaturg – o poezji Jana Henryka Cichosza powiedział: znam, czytam, potrzebuję. Myślę, że to samo mogą powiedzieć czytelnicy „Nestora”, bowiem ten poeta jest wielkim regionalistą. Jego obecność w „Nestorze”, fejsbukowe posty, a wcześniej wpisy na blogu ukazują urok krasnostawskiej ziemi, są wspomnieniem zachowanych w pamięci zakamarków, ludzi, tradycji, przyrody. Sam niegdyś powiedział, że jego miłością literacką jest Krasnystaw. Poezję Jana Henryka Cichosza i samego autora poznałam właśnie poprzez „Nestora”. Jakiś czas temu zostałam obdarowana jego tomikiem poezji „Stacje”. Stacja jak przystanek: można zatrzymać się w Wielobyczu lub innym miejscu, przystanąć w czasie, poszukując dawnych śladów – sprawdzać, czy ich znaki są do dzisiaj, czy może wszystko mija bezpowrotnie, można przycupnąć w sobie na chwilę refleksji, na przykład o tym jak powstaje wiersz. Kilka dni temu odkryłam, że właśnie w tym roku mija pięćdziesiąt lat od debiutu poety w „Zielonym Sztandarze”, w którym opublikowany został jego wiersz „Wiejski cmentarz”. Sam poeta za swój debiut uważa publikację w czasopiśmie „Kamena”, w roku 1975. Przypomnę, że było to ogólnopolskie czasopismo literackie, które w 1933 roku w Chełmie założyli Kazimierz Andrzej Jaworski (społecznik, literat i tłumacz) i Zenon Waśniewski (nauczyciel rysunku, malarz). W czasie pierwszej publikacji wiersza Jana Henryka Cichosza „Kamena” była wydawana już nie w Chełmie, lecz w Lublinie, a naczelnym redaktorem był Marek Adam Jaworski (syn Kazimierza). Od 1964 roku przy lubelskim oddziale Związku Literatów Polskich funkcjonował Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy o zasięgu, co warto zaznaczyć, ogólnopolskim. W „Kamieniu”, w latach 1966-1977, redagowano kolumnę „Zapole”, poświęconą właśnie tym piszącym, jeszcze niedoświadczonym, młodym ludziom.

Moja przygoda z pewnym wierszem Jana H. Cichosza

Coś mnie podkuśilo, by znaleźć wiersz debiutującego poety, przeczytać o czym i jak go napisał i od tej pory nie mam spokoju. Wiersze ze „Stacji” są jak kadry z filmu. Słowo za słowem budują czytelny obraz i nagle o trzeciej nad ranem towarzyszę poecie w twórczych zmaganiach nad wierszem, chodzą za nim krok w krok, gdy z fotografią w rękę puka od drzwi do drzwi, szukając śladów uwiecznionych migawką, tak bardzo rozumiem zachwyt chwilą, w której nawet pszczoła zatrzymuje się w drodze do ula. I oto stoję przed wierszem, który nie ma tytułu, którego zwrotki ostro są rozdzielone niczym stopklatki, w którym słowa zastępywały jak figury na szachownicy, a gracz biedzi się nad ruchem, chcąc wybrać właściwy. Ten wiersz jest jak tajemnica, jak zapisana szyfrem wiadomość. Kim jest ta, która ma wejść przebudzona? Dlaczego młody poeta pyta o młodość, jakby jej nie czuł? Czy młodość to niepewność, więcej ma do ukrycia? Kimże jest człowiek, którego nie było, a dopiero będzie? A madonna tak po prostu poszła na spacer? Ech, a może to zupełnie nie tak, może

[illegible]

to wiersz o miłości i o nich, a może o przyszłości? Nagle uświadomiłam sobie, że wpadłam w pułapkę, głowiąc się nad tym, co poeta miał na myśli? Nie chcę bynajmniej powiedzieć, że to bez znaczenia, ale niech zajmują się tym krytycy literacy, niech zgłębiają okoliczności powstania utworu, jego tła historyczno-społeczno-biograficzne, przesłania idące w świat i znaczenie dla dyskursu nad nim. Nie jestem krytykiem, jestem czytelniczką wiersza, która przepuszcza go przez własny filtr: swoje doświadczenie, wrażliwość, estetykę. Poezja jest jak soczewka, która ożywia niewidoczne, jak błysk przypadkowego spojrzenia na siebie w lustro, czy nawet odbicie w sklepowej witrynie, gdy w ułamku sekundy już wiesz. Każdą ze zwrotek wiersza zaczyna fraza: Kończ sen. To ona zadzwijała we mnie tak bardzo i tak uniwersalnie, że bez znaczenia jest fakt, iż czytając ten wiersz, jestem dużo, dużo starsza niż poeta składający te słowa. Kończ sen, kończ sen, kończ sen! – reszta jest dopełnieniem.

Elżbieta Petruk

Elżbieta Patyk

Ks. Henryk Kapica
„W trosce o kondycję ducha”



W czwartkowe popołudnie, 7 lipca w Bibliotece Powiatowej w Krasnymstawie odbyła się promocja książki ks. Henryka Kapicy „W trosce o kondycję ducha”. Ksiądz prałat podziękował wszystkim za przybycie, szczególne podziękowania skierował w stronę prof. Eugeniusza Wilkowskiego, którego nazwał sprawcą powstania książki. W kilku zdaniach przybliżył zebranym sylwetkę profesora, z którym po raz pierwszy spotkał się podczas pełnienia posługi kapłańskiej w parafii Teratyn. Mówił: *Jego historia, to historia człowieka zakochanego w Polsce, ale i otwartego na naszych sąsiadów. Jest historykiem zaangażowanym w ruch „Solidarności”, internowanym i więzionym w czasach komunistycznych, jest autorem bardzo wielu publikacji, w tym o krasnostawskiej „Solidarności”, wydaje*



fot. ze zbiorów PBP.

w *Chełmie pismo „Powinność”*. Ksiądz prałat Henryk mówił też o tym, co skłoniło go do akceptacji pomysłu zebrania w jednym miejscu swoich tekstów. Wyraził wdzięczność za pracę nad książką, za obszerny wstęp, przypisy, indeks osób. Słowa podziękowania skierował do pani Bożeny Czupryńskiej, która wykonała korektę.

Profesor Eugeniusz Wilkowski powiedział, że impulsem do podjęcia pracy nad książką było stwierdzenie, że nie wszystkie teksty księdza są do otrzymania i to był ostateczny przyczynek do tego, że postanowił nad tym się pochylić. Zebrał i opracował teksty księdza Henryka Kapicy. W obszernym wstępie prof. Wilkowski napisał między innymi: *Pomysł zebrania i opracowania wszystkich tekstów ks. prałata Henryka Kapicy zamieszczonych na łamach kilku czasopism i wydania ich w jednym tomie źródłowym zrodził się jesienią 2021 r. [...] Spuścizna piśmiennicza ks. Henryka Kapicy dotyczy głównie dwóch społeczności lokalnych, dwóch małych ojczyzn: Rejowca Fabrycznego i Krasnegostawu. [...] Na potrzeby niniejszego tomu źródłowego przyjęty został porządek chronologiczny. Zamieszczamy najpierw teksty księdza z „Pokoju i Mocy”, następnie z „Bożych Sieci” i z innych pism: „Głosu Pawłowa”, „Nestora”, „Powinność”. [...] Przyjęta formuła przygotowania tomu źródłowego wymagała wprowadzenia przypisów. Stały się one integralną częścią tego zbioru.*

Nie można też było zrezygnować z indeksu osób. [...] Czytelnikom przekazujemy publikację obszerną, odtąd będącą jednym z poważniejszych źródeł do dziejów społeczności Rejowca Fabrycznego i Krasnegostawu. Przy powstających pracach, o tych małych ojczyznach, pozostanie w charakterze źródła pierwotnego, którego nie będzie można pominąć. Ks. Henrykowi Kapicy należy pogratulować pracowitości i konsekwencji, otwartości umysłu i siły intelektu, troski o duchową kondycję człowieka.

Gratulacje i kwiaty księdzu Henrykowi przekazali: w imieniu poseł na Sejm RP Teresy Hałas – wiceprzewodniczący Rady Powiatu Mirosław Księżuk, starosta krasnostawski Andrzej Leńczuk, w imieniu burmistrza Krasnegostawu – Radosław Dąbrowski, w imieniu wójta gminy Krasnystaw – sekretarz Krzysztof Gałań, przedstawiciele społeczności Rejowca Fabrycznego i Krasnegostawu. Obecni na spotkaniu mogli nabyć książkę i otrzymać pamiątkowy autograf od księdza prałata Henryka. Zapraszamy do lektury.

Elżbieta Patyk

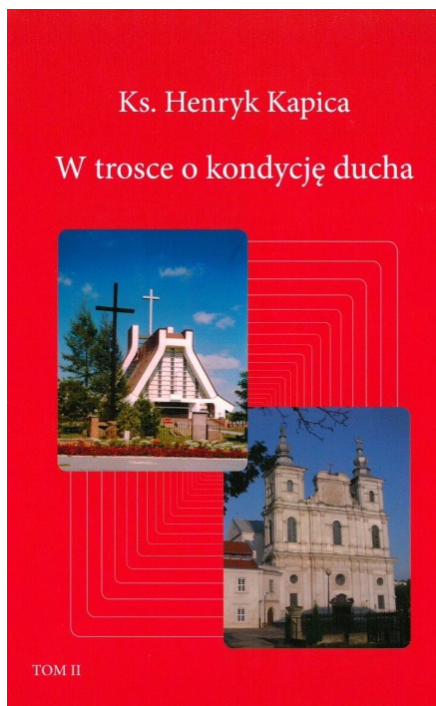
Elżbieta Patyk

Promocja nowej książki
ks. Henryka Kapicy



24 października ks. prałat Henryk Kapica zaprezentował w Bibliotece Powiatowej swoją nową dwutomową książkę „Kościoł w Krasnymstawie”. Zgromadzonych powitała dyrektor biblioteki Elżbieta Patyk. Ks. Henryk wyraził wdzięczność zebranym za tak liczne przybycie i podziękował swojemu przyjacielowi Eugeniuszowi Wilkowskemu za napisanie wstępu do książki, skład oraz pomoc w jej wydaniu. Wyraził też wdzięczność profesorowi za wszystkie recenzje publikacji – wypowiedziane i pisane. Podziękowania skierował do Bożeny Czupryńskiej, która wykonała korektę. W czasie spotkania ks. Henryk mówił między innymi o tym, że dość dawno pojawił się zamiar, żeby napisać historię kościoła w Krasnymstawie, bo nie ma takiej książki. Stwierdził, że nie jest zawodowym historykiem, ale regionalistą. Zbieranie materiałów do publikacji nie było łatwe ze względu na liczne obowiązki duszpasterskie, ale do pisania prowokowali go odwiedzający kościół turyści, studenci i parafianie, którzy chcieli wiedzieć więcej o naszym kościele. Autor mówił między innymi: *bordowy kolor okładki wykonany techniką marmuryzacji nawiązuje do barokowych ołtarzy kościoła. Na dwóch złotych, promieniujących kołach leży zdjęcie przedstawiające cztery ważne elementy: kościół św. Franciszka, klasztor jezuitów, budynek seminarium i ogród św. Jana Pawła II.*

We wstępie czytamy: *Niniejsza książka nie ma charakteru ściśle naukowego [...]. Jednakże opiera się na lekturach uczonych, historyków, świadectwach, dawnej prasie, ale przede wszystkim na ocalałych dokumentach naszego archiwum parafialnego, których jest ponad 300 tomów. Wszystkie starałem się przejrzeć dość dokładnie i to, co uważałem za ważne, odnotować. [...] Są to okruszki wydarzeń, wiadomości, często moich przemyśleń i odczuć. [...] Zależało mi, by ukazać społeczność parafii i ludzi, którzy ją tworzyli, bo wiem historia Krasnegostawu to także duchowni. [...] Perłą naszego miasta, a także diecezji jest jezuitski kościół św. Franciszka Ksawerego. Roz-*



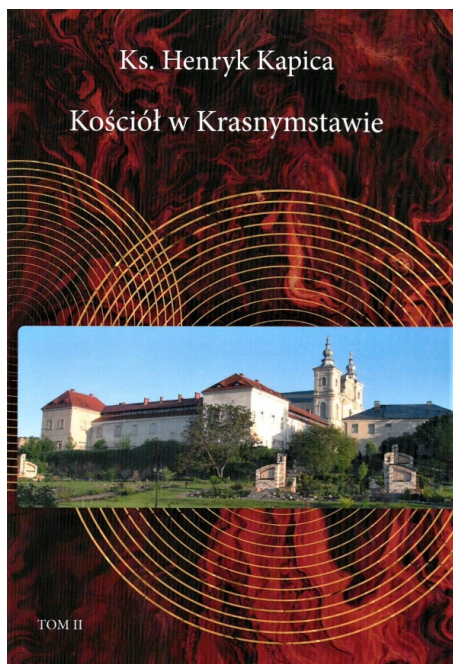
dział o nim, myślę, jest najważniejszy, bo ukazuje tak wiele idei zawartych w naszej barokowej budowlu bogato ozdobionej rzeźbami i freskami. [...] Z Bożą pomocą udało mi się ukończyć książkę, w której podzieliłem się wiedzą, jaką zdobyłem na temat kościoła w Krasnymstawie. Temat jest tak obszerny i bogaty, że nie da się tej wiedzy nigdy zamknąć w wyczerpującej publikacji.

Zebrani wysłuchali wielowątkowego wykładu Eugeniusza Wilkowskiego na temat książki, autora publikacji, tożsamości kulturowej i sporu o wartości.

Od uczestników spotkania ks. Henryk otrzymał gratulacje i kwiaty. W imieniu poseł na Sejm RP Teresy Hałas podziękowania złożył Mirosław Księżuk, wiceprzewodniczący Rady Powiatu. Słowa podziękowania skierował Andrzej Leńczuk, starosta krasnostawski i Ewa Nieścior, przewodnicząca Komisji Oświaty, Kultury Rady Powiatu.

Liczenie zebrani mogli nabyć książkę z pamiątkowym autografem autora, z czego chętnie skorzystali.

Elżbieta Patyk



Irena Kulik

O bramach Lublina i nie tylko



Zainteresowanie regionem zachęciło mnie do sięgnięcia po zbiór opowiadań Urszuli Gierszon pt. „Bramy Lublina i inne opowiadania”, które ukazały się w 2015 roku, w przededniu uroczystych obchodów 700-lecia stolicy województwa lubelskiego. Książkę wydał Związek Literatów Polskich Oddział w Lublinie, w którym od 2007 roku funkcję prezesa pełni autorka. Liczy 124 strony, składa się z dwudziestu ośmiu opowiadań. Przeważnie dotyczą one tematyki egzystencjalnej, bliskiej współczesnemu człowiekowi, jak np. otwierające pt. „Mucha”, w którym tytułowy owad pozostaje jedynym towarzyszem w ostatnich chwilach starzejącej, schorowanej kobiety, bo zabiegane w codzienności dzieci „zapomnieli” o niej w zakupionym pobliskim mieszkaniu, czy zbyt wczesnym wtajemniczaniu małych pociech w szczegóły pracy zawodowej oraz „ucieczka zawodowa” przed ich opieką w opowiadaniu „Lunia”. Autorka współczesność przeplata historiami z okresu PRL, takimi jak „Kolejka” czy „Pomyłka”. Pierwsze z nich dotyczy samotnej matki z niemowlęciem, które „zarabia na życie” wynajęte w długiej kolejce, natomiast drugie – znieczulicy w wojsku, gdzie domniemana opieszałość została pomyłona ze śmiertelnym schożeniem.

Oprócz historii kończących się nieszczęśliwie, nie brak opowiadań pełnych humoru, z których cztery wątki są oparte na niezrozumieniu utartych powiedzeń, czyli frazeologizmów, takich jak: „mieć cięty język” („Ciekawość”), „wziąć nogi za pas” oraz „biec, aż się kurzy” („Podejrzliwość”), „złapać bakcyła” („Niedowierzenie”), „mieć wytarte czoło” („Pewność”).

Autorka ukazuje również historie współczesnych kobiet, jak sytuacje bez wyjścia („Feministka”, „Babcia klozetowa”) czy wręcz sadystyczne ich traktowanie („Teatr lalek”). Przedstawia dialog między starszą kobietą a młodszymi o nagminnie reklamowanych atrybutach higieny kobiecej w opowiadaniu „Wstydliva sprawa”, kończąc znany ówczesnie dowcipem. Nie zabrakło obrazka

o zakłamaniu w małżeństwach („On, ona, oni”). Również została poruszona tematyka nadużywania alkoholu („Jawa czy sen” oraz „Wino”, gdzie tytułowy boski trunek uległ personifikacji).

Codziennie mijamy drzewa, których widok jest stały, wydawałoby się niezmienny w otoczeniu, dopiero kiedy one znikają, odczuwamy pewną lukę, tak jak bohaterowie w opowiadaniach „Drzewo” oraz „Ujrzyć smutek”. W ostatnim został poruszony symbol dębu oraz symetrii w dialogu starca, niczym Boga, ze smutnym chłopcem Kostkiem, który został wtajemniczony w znaczenie złotej liczby 1,618, oznaczanej grecką literą ϕ , w przyrodzie zwaną spiralą Fibonacciego. Inaczej „Boskie cięcie” również nie tylko występuje w przyrodzie, jest praktykowane także w sztuce, dlatego czarną, teksturową okładkę zdobi rysunek białej, skręconej muszli (Nautilus pompilius w przekroju) doskonale ilustrującej złoty podział. W tym opowiadaniu autorka zwraca uwagę na bardzo ważną, odkrywaną obecnie przez fizykę kwantową teorię, że myśl ludzka jest skupiskiem energii, która potrafi przybrać określony myślokształt. Siłę tej energii dopiero poznajemy, ale już wiadomo, że znacząco wpływa ona na nasze życie. My, jako ludzie mamy wszelkie warunki, aby nad nią panować, ponieważ poprzez myślenie kreujemy rzeczywistość. Tego w opowiadaniu naucza Kostka starszy pan.

Prawie każde opowiadanie jest ozdobione rysunkami autorstwa Urszuli Gierszon, jak np. widokiem okularów po codziennym rozważaniu w ciągu tygodnia („Tydzień w głębi oczu”), oraz przeważnie jej córki Adeliny, powiązanych z treścią opowiadań.

W książce zostały również ujęte opowiadania z wątkami zaczerpniętymi z mitologii egipskiej („Zew nocy”), greckiej oraz rzymskiej („Kadzidło”), przywołano postacie fantastyczne („Moralik”), demoniczne, jako stany załamania psychicznego („Bez egzorcyzmów” czy „Larwy”).

Na uwagę szczególnie zasługuje przedostatnie, najdłuższe opowiadanie pt. „Bramy Lublina”, gdzie autorka jako narrator oprowadza czytelnika po starym mieście, udzielając dokładnej informacji o obiekcie historycznym, a szczególnie o kilku bramach, których pierwotnie było dwadzieścia cztery. Wyprowadza odbiorcę poza mury i prowadzi ścieżkami, które są jej znane od wczesnego

dzieciństwa, a wraz z nimi również historie z okresu PRL. Całe opowiadanie zostało pięknie uzupełnione wybranymi cytatami twórców związanych z Lublinem.

dr Irena Kulik

Wojciech Bieluć

Poetycka fregata w Chorzowie



Port Poetycki w Chorzowie to impreza kulturalna zrzeszająca w swoim kręgu poetów, muzyków i artystów plastyków. Impreza składa się z trzech części. Pierwsza – prezentacja poetyckich gości głównych. Poeci z różnym dorobkiem, w większości posiadający publikacje książkowe, a także debiutanci, nowatorscy z ciekawymi spostrzeżeniami na temat otaczającego ich świata.

W drugiej części wieczoru prezentują się goście główni poprzednich edycji, imprez towarzyszących i stali bywalcy Portu Poetyckiego.

Trzecia część przeznaczona jest na prezentację wierszy autorów, którzy zawinęli do Portu po raz pierwszy. Dodatkowo każdego roku zapraszani są malarze, graficy, artyści, którzy zainteresowani są pokazaniem swojej twórczości oraz znakomite zespoły muzyczne.

Chorzowski festiwal poezji cumuje w Sztęgarcie – odrestaurowanym kompleksie budynków pokopalnianych, a dokładnie w budynku byłego magazynu ciekłego powietrza. W tym roku w imprezie brało udział ok. 150 artystów. Tak prezentowali swoją imprezę Barbara i Jacek Dudkowie.



fot. Małgorzata Skwarek-Gałęska

Wojciech Bieluć

Bogusław Olczak, rocznik 1966, urodzony w Legionowie, życiowo związany ze stolicą. Zawodowo zajmuje się sprawami zarządzania bezpieczeństwem. Zadebiutował książką „obrastam dniami” w wydawnictwie AGS w 2016 r. Drugą książką „mój dom to ja”, wydaną w wydawnictwie Fundacja Duży Format w 2018 roku, ugruntował pozycję swojaka z blokowiska, używającego poezji do nazywania rzeczy po imieniu. Trzecia książka „Mrok w pełnym słońcu” wydana w 2020 r. przez Wydawnictwo MK z Krakowa obnaża świat i autora. Jest wnikliwym obserwatorem otoczenia, więc uważaj, ty też możesz stać się jego natchnieniem na kolejny wiersz.



fot. Arek Łuszczak

Bogusław Olczak

na pohybel śmierci

pytasz kiedy znowu pójdziemy na wódkę
ale ja już swoją dawkę wypilem
pozostał mi jeden toast

bimbrem z musztardówki
i ogórkiem z beczki

strzeziennego
z ponurym żniwiarzem
stęsknionym za moim widokiem

Paweł Biliński, laureat Połowy Poetyckiego 2016 i finalista organizowanych przez Biuro Literackie Pracowni Stacji Literatura w latach 2017-2020, zdobywca II nagrody w XXVIII edycji konkursu im. K.K. Baczyńskiego 2020, laureat kilku innych ogólnopolskich konkursów poetyckich. Na przestrzeni lat jego wiersze były publikowane w sieci i drukiem w antologiach. W 2019 roku zadebiutował książką poetycką „Część urojona”, a w 2021 roku ukazała się jego druga książka poetycka „Bezsynność”, obie w Wydawnictwie Fundacji Duży Format. Administrator i jeden z redaktorów-założycieli portalu poetyckiego poemax.pl, kontynuującego wieloletnie tradycje serwisu poema.pl. Zawodowo związany z branżą nowoczesnych technologii. Warszawa z pochodzenia i zamiłowania, od 1999 roku zamieszkuje blisko natury w okolicach Piaseczna.



fot. Justyna Bilińska

Paweł Contigo Biliński

Bałtyjsk

głuche pomruki i niebo jak brezent
znów gry wojenne za linią horyzontu
a tu tylko pada deszcz i słowa
ciężkie aż gnie się powietrze

morze przyjmuje nas z dziwnym spokojem
wciąż mamy wybór uciec lub się schować
we wnętrzach muszli napelnić usta piaskiem
zgadywać o czym śnią wyrzucone na brzeg ryby

granica nigdy nie była tak blisko
ledwie o słowo a zegar znów pokazuje
za dwie dwunasta więc chyba za mało
próbowaliśmy zrozumieć nasze języki

rytmy naszych fal nie chcieliśmy pamiętać
 że świat też kończy się w jednym momencie
 ziemia się trzęsie nagle
 bez ostrzeżeń

credo

wierzę w błogość oka wciąż mogącego
 w twoim ciele widzieć ślady nieba i ziemi
 rzeczy niewidzialne czynić widzialnymi
 wiedząc że co już było może zdarzyć się znów
 bo ty byłaś pierwsza i ty będziesz ostatnia
 dla ciebie są przedświt i wycieki światła
 w nasze noce zdyszane pozbawione snów

jak światłość ze światłości wylaniaj się z mroku
 zamieszkaj w moich ustach dotykaj do boku
 odbieraj uwielbienie mów mi przez proroków
 dziel ze mną chwile które pozostały
 spróbujmy ocalić resztki naszej wiary

w ciała dopieszczenie
 śniętych obcowanie
 grzechów powtórzenie
 żywot
 wieczny zamęt

Małgorzata T. Skwarek-Gałęska, mieszkanka Łodzi. Organizuje spotkania poetyckie w ramach wymyślonych przez siebie projektów: Katamaran Literacki, Stolik Poetycki, złoty poetów i biesiady literackie. Uczestniczy w pracach jury konkursów literackich, recytatorskich, krasomówczych, piosenki poetyckiej i czytelniczych. Wydała kilkanaście zbiorów poetyckich, między innymi: „Świat smakuje lepiej w całości” (1992), „Dom na gruzach bajki” (1995), „Zza zakrętu” (2006), „Mosty bez poręczy” (2007), „...i...” (2011), „BaletNice” (2013), „Etiuda” (2013), „Wachlarz” (2015), „Rzeczywistość” (2016), „Codzienne i niecodzienne” (2018), „Gorączka kameleona” (2022) oraz opowiadania „Trzy” (2019). Współautorka książki „Łódzkie czary-mary”. Była twarzą czasopisma „LiryDram” nr 14. Sama również wymyśliła i redagowała kilkanaście antologii i almanachów. Tłumaczona na inne języki: angielski, niemiecki, telugu, słowacki, chorwacki. Tłumaczyła z języka słowackiego.

Od 2014 roku razem z Ryszardem Krauze prezentują program złożony z wierszy obojga i piosenek Ryszarda „Bajgosie i Limerynie” – tytuł zostaje taki sam, choć wiersze i piosenki pojawiają się nowe.

Należy do Związku Literatów Polskich (drugą kadencję jest prezesem Oddziału Łódzkiego) i Gdańskiego Klubu Poetów. Uhonorowana dwukrotnie Nagrodą Prezydenta Miasta Łodzi, Nagrodą Sejmiku Województwa Łódzkiego, odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Otrzymała także numerowany certyfikat Lider Społeczno-Oświatowy przyznawany przez Łódzkie Centrum Doskonalenia Nauczycieli i Kształcenia Praktycznego.



Małgorzata T. Skwarek-Gałęska

biografie

różowo-pamarańczowa sukienka koszmar
 przyklejony pod skórą wpląany między
 minuty rodzinnych wyjść obowiązkowych
 – wołała siedzieć zamknięta w książce
 umierała podczas akademii gdy zimne oko
 śledziło paraliż nóg drganie nerwów odrywała
 kęsy sumienia zapelniając lodówkę przerażała
 kruchość niezaradność nie mogła opowiedzieć
 o umieraniu przywoływaniu życia wiązała
 czerwone nitki na skórze obgryzała paznokcie
 rozrywała aortę skazywała się na dzieci
 za cenę głodu nie została
 bohaterką

Joanna Wicherkiewicz, urodzona w 1971 roku w Mławie. Lata dzieciństwa spędziła w Żurominie. Czas studiów związała z Olsztynem. Aktualnie mieszka w Uniejowie. Szczęśliwa matka i żona. Z wykształcenia nauczycielka. Jej wiersze publikowane były w „Twórczości”, „Babińcu Literackim”, „Protokole Kulturalnym”, „Akancie”, „LiryDramie”, „Interze”, „Obszarach Przepisanych”, „Wytrychu”, „Poezji Dzisiaj”, „Dzienniku Polskim”, „Gazecie Kulturalnej”, „Helikopterze”, „Biuletynie Uniejowskim”, „Uniejowskich Stronach”, „W Uniejowie”, na portalach, w almanachach oraz kilku antologiach. Na podstawie jej poezji powstał koncert poetycko-multimedialny w reżyserii Małgorzaty Szyszki, śpiew Aldona Jacórzyńska, muzyka Anna Jędrzejewska. Jej wiersze tłumaczone były na język angielski, ukraiński, rosyjski, hiszpański, portugalski, turecki. Laureatka konkursów poetyckich. Od 2021 redaktorka rubryki „Wiersz numeru” w „Biuletynie Literackim”. Wydała tomiki: „Okruchy codzienności” (wyd. TPU, 2015), „Dysharmienie” (wyd. ANAGRAM, 2018), „Kim jest Zachary?” (wyd. ANAGRAM, 2020).



fot. PremasFoto.pl

Joanna Wicherkiewicz

Malec

rozbija atomy
chaos wypełnia mu żyły
dyletancką ręką opisuje
ujemne i dodatnie skutki
współistnienia ładunków przeciwnych

nieposłuszne słowa przywołuje do porządku
rozgryza język matematyki
krwawi
czuje się głupcem słabeuszem nieudacznikiem

wyraz nienawiść
odmienia przez udręczone dni

odepchnięty od stada
przywiązany do miejsca
które daje bezpieczny cień
wysiadałe samotność

ten żaloszny chłopiec
stanie się kiedyś niebezpiecznym dorosłym
gdzie będzie tylko mógł
puścić z dymem niedołążne dzieciństwo
a z nim nieświadomą teraźniejszość

bądź uważny

Inlakesh

piszę z dna krateru
nade mną stado tłustych szczurów
wokół betonowa pustynia
z nieba spadają gwiazdy
i ludzie

na granicach absurdu
przez dzikie szańce
matki przerzucają dzieci
do lepszego życia
byle dalej od krwawej wiary

wielcy tego świata
znajdują sens
w śmiertelnym nieporządku

piszę z dna krateru
obciążony strachem
– Inlakesh – ja jestem innym ty

Wojciech Bieluń Targosz, rocznik 1947, znak zodiaku Skorpion. Dzieciństwo spędził w małej miejscowości Kołbach pod Szczecinem. W 1954 r. przyjechał z rodzicami do Łodzi. Szkoła podstawowa, liceum, potem przerwane studia na Uniwersytecie Łódzkim zakończyły edukację. W „ogólniku” oddaje się sportowi, gdzie spotyka swojego przyszłego mentora Jacka Berezina i powstają pierwsze wiersze do szuflady. Sytuacja polityczna wymusza decyzję o wyjeździe z Łodzi na prowincję. Zostaje technologiem gorzelnictwa rolniczego, w tym zawodzie pracuje do chwili obecnej. Pierwsza publikacja wierszy, a wcześniej wspomnień, ukazuje się w kwartalniku „W Uniejowie”. Swoje utwory zamieszcza na stronach grup poetyckich, takich jak: Okno na poezję, Uwolnij poezję czy Poezja na Kazimierzu, ale też w serwisie Poezja Polska. Uczestnik wielu spotkań poetyckich. Publikuje swoje utwory w Miesięczniku literackim „Akant”, Magazynie literackim Wolnej Inicjatywy Artystycznej „Wytrych”, kwartalniku krasnostawskim „Nestor”, roczniku „Ziarno”. Wydaje też tomiiki poetyckie: w 2018 – „Okręty moje”, w 2019 – „Świat jaki jest”, w 2020 – „Generacja 47”, w 2021 – „Wiersze z Bończy”. Tomik „Parabole” jest piątym w dorobku poetyckim autora. W kwietniu 2022 r. zostaje przyjęty do Związku Literatów Polskich.



Wojciech Bieluń Targosz

przywykam do wiecznej uwagi
choć nie ona jest przeszkodą
przeszkodą jest cała reszta
obawa przed pędzeniem życia w strachu
bycie w ciągłej symulacji

wiedza że prawda nie ma znaczenia
ważniejsze wrażenie

nauczyłem się dzisiaj że warto
zaczynać od początku
zastanawiać się co wybrać
improwizować rozgrywać powoli
by nie stracić okazji

bo kiedyś
krewni i tak będą musieli
ogarnąć moje graty
i wszystkie zagadki

x

nic z tego co zapisywałem
nie miało znaczenia
przygaszony sytuacją
zacząłem rysować kropki
z każdą zakropkowaną stroną
zawieszałem oczekiwania
co do istoty jakiegokolwiek sensu
traciłem dystans
do oswojonej już przestrzeni

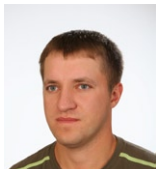
dopiero teraz uświadamiam sobie
jak niewielki miałem na to wpływ
otworzyłem zeszyt
rysuję kolejne kropki



nys. Urszula Gierszon

Dariusz Włodarczyk

Męski Różaniec Ziemi Krasnostawskiej



W pierwszy piątek miesiąca, 2 grudnia 2022 r. o godz. 19.00, w kościele parafialnym pw. Trójcy Przenajświętszej w Krasnymstawie, rozpoczęło się pierwsze spotkanie formacyjne Rycerzy Maryi. Zaproszenie do uczestnictwa w tej krasnostawskiej, męskiej wspólnotcie religijnej znalazło się w mediach społecznościowych oraz na plakatach w parafialnych gablotach dekanatu Krasnostaw-Wschód oraz dekanatu Krasnostaw-Zachód. Na zaproszenie odpowiedziało 11 mężczyzn w różnym wieku.

Następnego dnia, w pierwszą sobotę miesiąca, Rycerze Maryi – już w łącznej liczbie dwudziestu – uczestniczyli w porannej mszy świętej, a później w adoracji Najświętszego Sakramentu połączonej z Litanią Loretańską do Najświętszej Maryi Panny.

Zgodnie z zapowiedzią, Rycerze Maryi wraz z figurą Matki Bożej Fatimskiej udali się na procesję ulicami Okrzei i Matysiaka – w kierunku miejskiego rynku, odmawiając bolesne tajemnice Różańca Świętego. U celu, ostatnią dziesiątkę Różańca odmówiono na kolanach. Nie zabrakło również modlitw w intencjach papieża Franciszka. W drodze powrotnej śpiewano pieśni maryjne.

Oprócz wzajemnego uczestnictwa we mszach świętych i nabożeństwach, Rycerze planują m.in. rozważać Słowo Boże i zgłębiać tajemnice Objawień Fatimskich.

Spotkania mają charakter otwarty. Bieżące informacje o terminach spotkań wspólnoty Rycerzy Maryi oraz procesjach Męskiego Różańca Ziemi Krasnostawskiej znaleźć można na stronie internetowej parafii <https://trojckrasnostaw.pl/ogloszenia.html> lub uzyskać bezpośrednio u założyciela i opiekuna duchowego wspólnoty – ks. Rafała Lamorskiego, tel. 530 290 572.



fot. Dariusz Włodarczyk

Dariusz Włodarczyk

Leszek Janeczek

Dzień Niepodległości w Łopienniku. Tablica



11 listopada 2022 roku. Kościół św. Bartłomieja Apostoła. Flagi narodowe przed kościołem lekko łopoczą na wietrze. Przed godziną 9 młodzież szkolna przedstawia bardzo pomysłowy występ okolicznościowy. Piękne deklamacje i równie piękne wykonanie pieśni legionowych. Brawa kończą popisy młodzieży. Po nim msza święta. Strażacy z czterema pocztami sztandarowymi. Władze gminy. Kotyliony biało-czerwone przypięte do ubrań. Na początku ksiądz proboszcz zapowiada odsłonięcie tablicy, nie mówi jakiej, potem przejście na cmentarz na modlitwę, a na końcu grochówka na placu przed plebanią. Taki plan uroczystości. Kazanie głosi ksiądz wikary. Jest to refleksja nad Dniem Niepodległości, nad współczesną Polską i Polakami. Kiedyś śpiewaliśmy *Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie*. „Jak ojcowie niepodległości oceniliby nasze zagospodarowanie odzyskanej wolności? A co my zrobiliśmy z naszą wolnością?” – pyta głoszący homilię. I odpowiada: „Afera goni aferę, skandal idzie za skandalem, kłamstwo za kłamstwem, nienawiść, wyzwiska, przekleństwa. Czy nie powinniśmy znowu – zastanawia się ksiądz – zamiast śpiewać *Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie*, ponownie zaśpiewać *Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie*?”.

Ta tablica bardzo mnie intryguje. Pierwszy raz usłyszałem o niej od nieżyjącego już mieszkańca Olszanki, pana Mieczysława Sawy. Ubolewał nad tym, że została zniszczona i do dziś nieodbudowana. Pokazywał jej zdjęcia. Społeczństwo łopiennickie wmurowało ją w narożny element ogrodzenia kościelnego w 10. rocznicę odzyskania niepodległości, w 1928 roku. Tablicę ufundowała łopiennicka młodzież, składając się po 5, 10, 20 groszy (przedwojennych). Wtedy dniówka pracy kosztowała złotówkę. Widniał na niej stylizowany, piękny orzeł w koronie i podpis o 10. rocznicy niepodległości.

Przyszła wojna i okupacja niemiecka. Kilkadziesiąt metrów dalej do dziś stoi drewniany dom, niegdyś ogrodnika pana Szuby. Stacjonowali u niego żołnierze niemieccy. Bywało, że gdy początkowo przechodzili koło tablicy, było to codziennie, czasem zatrzymywał się przed nią. Za okupacji hitlerowskiej polski orzeł, będący jeszcze na takim widoku, był zagrożony. Mieszkańcy drżeli ze strachu. Niemcy zatrzymywali się i oglądali go. I stał się jakiś cud. Orzeł przetrwał całą wojnę.

Przyszł nowy ustrój - Polska Ludowa. I znalazł się bohater z tego łopiennickiego ludu i zrobił zamach na orła. Dlaczego? Dla małego szczegółu – orzeł miał koronę. Bo gdy po wojnie orzeł przyszedł ze Wschodu do kraju, po drodze zgubił koronę. A tam zgubił, Ruskie mu ją ukradli pospołu z – o zgrozo – Związkiem Patriotów Polskich. Ale na kanwie łopiennickiego wypadku można snuć bardzo ciekawe refleksje, także

o nas dziś jeszcze bardzo aktualne. Otóż ów mieszkaniec Olszanki (jego inicjały E.Ł.) widział przecież tego orła przed wojną, wisiał wszak 11 lat do września 1939, tędy przeszedł każdy pogrzeb w drodze na cmentarz. W czasie wojny pewnie ów E.Ł. może nawet cieszył się ze wszystkimi, Polska wszak wtedy przepadła, a godło ostało się przed niemieckimi zakusami. A po wojnie? Co sprawiło, że mu nagle zaczęło przeszkadzać? Oto siła sugestii, tych, których nawet nie znał. Zwolennik nowego, przyniesionego ze wschodu ustroju, wziął chyba jakiś



Mieczysław Sawa z małżonką.

łom i całą tablicę porozbijał. W czasie wojny może by nawet bronił tablicy, a teraz mu przeszkadzała. Czy tak przypadkiem nie jest z naszymi poglądami i osądem naszej polskiej rzeczywistości? Po-gruchotane ułamki tablicy długo znajdowały się na plebanii, aż podczas jakiegoś remontu mało świadomi robotnicy wyrzucili ją na śmieci razem z gruzem. Sprawa wydała się całkiem zamknięta. Tablica zniknęła z naszych oczu i sumień. Wszak większość ludzi obecnie żyjących w parafii łopiennickiej nigdy jej nie widziała, ba – nie miała nawet pojęcia o istnieniu kiedyś tablicy. Za ich życia jej już nie było.

końca? Dla mnie i nie tylko dla mnie – nie. Dlaczego? Wszystko odbyło się, można powiedzieć, na niemo. Mówi się o niektórych ludziach, że żyją, tak jakby w ogóle życia nie przeżyli. Powiedzenie to doskonale pasuje do tej łopiennickiej uroczystości. Przez całą mszę już nic, oprócz wspomnianej zapowiedzi, o odsłanianej tablicy nie usłyszeliśmy. Po wyjściu z kościoła ksiądz proboszcz poświęcił ją i również nic nie powiedział. Potem wszyscy poszli na cmentarz, wrócili na grochówkę i do domów. Tak że większość nadal nic nie wie, po co ta tablica została odsłonięta, dlaczego stoi na niej „w 10. rocznicę odzyskania niepodległości”, kiedy



Uroczystość odsłonięcia nowej tablicy 11 listopada 2022 roku.

Co więc sprawiło, że powróciła? Gdy była odsłaniana w 1928 roku, pewien chłopiec z Olszanki dopiero się urodził. Nie miał jeszcze 20 lat, gdy ją rozbito. A jednak całe dorosłe życie marzył o jej odtworzeniu. Całkiem realnie już za naszej wolnej Polski. Czynił różne wysiłki, sam był za stary, rozmawiał, zachęcał, prosił tych, którzy coś mogą, poszedł na sesję Rady Gminy, na której nie bardzo mieli na to czas do poświęcenia. Jak Mojżesz nie ujrzał ziemi obiecanej, tak pan Mieczysław Sawa z Olszanki, bo o niego tu chodzi, nie zobaczył powrotu tablicy. Zmarł w 2020 roku.

Wolna Polska w 33 roku istnienia przywróciła historyczną pamięć. Ale czy na pewno i do

teraz już mija 104 lata, kto ją zniszczył, kto ją odtworzył? Na uroczystości była żona pana Mieczysława, Zofia, starsza pani przybyła z trudem, syn Krzysztof, córka Jadwiga, wnuczka. Nie oddano słowa czci ani podziękowania temu człowiekowi, ani nie wspomniano rodziny. A tutaj właśnie opowieść jest tak samo ważna jak owa tablica, jej historia, cierpliwe trwanie przy swoich dążeniach, upór jednego człowieka i umiejętność przekazania idei młodszemu, którzy dokonali ostatecznie dzieła. O nich nic również nie wspomniano, a byli obecni, na miejscu, jak choćby Roman Fornalski. Duża zasługa w tym dziele księdza Piotra Jasińskiego, wikariusza parafii. Ale przede wszystkim należy

wspomnieć Jana Kowalskiego z Łopiennika Dolnego, pasjonata lokalnej historii, który zainspirował księdza Jasińskiego. Tych, którzy walczyli przy czynili się do powstania tablicy: panią Ewę Banak, Jana Toczzonego i 10 fundatorów.

Podobno dwa dni później, podczas ogłoszeń parafialnych powiedziano więcej o tablicy. Ale tamtych świadków wydarzenia już nie było. Tak jak nie było rodziny pana Mieczysława, młodzieży szkolnej, strażaków, przyjezdnych gości.

Wygląda tak, że my sami nie szanujemy własnej historii i znudzeni, ciągle oczekujemy czegoś ciekawego. Tak być nie powinno a jest. Z naszej nieprzymuszonej woli. W rocznicę odzyskania niepodległości wypada przypomnieć słowa samego Józefa Piłsudskiego o nas Polakach: „Naród wspaniały, tylko ludzie...”.

Zakończę słowami wielkiego polskiego historyka Joachima Lelewela, myślę, że stosownymi w tym miejscu. A pragnę je skierować do księdza prałata Henryka Kapicy, jako utwierdzenie w Jego mrówczej, czy bardziej stosownym byłoby powiedzieć benedyktyńskiej, pracy pisarskiej:

Pisać, co można, a nie frasować się, że tu i ówdzie czego brakuje.

Przyjdzie drugi i trzeci i dopisze. Tak tworzyły się i jeszcze tworzą historie.

dr Leszek Janeczek



nys. Urszula Gierszon

Dobra robota

Towarzystwo Historyczne im. Antoniego Patka światowej sławy twórcy zegarków rodem z Piask Szlacheckich obok Krasnegostawu, przyjęło za cel propagowanie historii a zwłaszcza dziejów i kultury ziemi krasnostawskiej. Towarzystwo działa pod patronatem Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie i zaznaczyło już swoją obecność szeregiem cennych inicjatyw.

adm



Sztandarowy medal towarzystwa, którego autorem jest krakowski artysta Wiesław Domański, pochodzący z Krasnegostawu. Średnica 12 cm, grubość 1,3 cm, waga 610 g.

Iwona Chudoba

przypadek

zawinił czas
sprawił że z (nie)zawodnej pamięci
nie ma ucieczki

przeszłość poddana obróbce
pozostaje złudzeniem
decyzje i obietnice
roziewa wiatr
szczęście skręca tam
gdzie mu wygodnie
a wirująca nadzieja
prostuje krzywe ścieżki
może przypadek sprawi
że jeszcze będziemy

stoję
chciana
niechciana
w kolejce
pod chatą starca
którego nazywają Bogiem

słowa w nagość ubrane
trzymam w gardle

słyszę deszcz

uderza bezlitośnie
jakby potrzebował
swojej niewiny

przemokłam przeszłością
susząc lzy

nadzieja

nikt nie chce być odkrywcą
demonicznej przeszłości
i tkwić w ciągłym lęku

nawet ja

w tym świecie jestem aniołem
z przestrzelonym skrzydłem
i nogą w gipsie
mówią że wyjdę z tego



Wiesław Krajewski

Czym jest czas?



Czas już zająć się czasem. Mamy takie czasy, że nie mamy czasu. Najczęściej słyszaną wymówką – albo usprawiedliwieniem – jest „nie miałem na to czasu”, albo jeszcze gorzej – „nie mam na nic czasu”. Najczęstszym narzekaniem jest „brakuje mi czasu na to, tamto i jeszcze tamto”. Najczęstszym życzeniem (poza zdrowia) jest „żebyś znalazł wreszcie na wszystko czas”. Ale gdyby spytać pierwszą lepszą, przeciętną osobę czym jest czas, odpowiedź byłaby co najmniej trudna. Wiele osób na tym pytaniu by „poległo” z kretesem. Trudno lub wręcz niemożliwe byłoby im jasno określić to zagadnienie i wytłumaczyć pojęcie czasu, podać jakąś, choćby intuicyjną definicję czasu. Ale pewnie i tak nie mieliby czasu, by się tym zajmować. Z zagadnieniem tym zmagali się już święty Augustyn, mówiąc „Czymże jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć – nie wiem”. My borykamy się z tym samym problemem. Niby wiemy a nie wiemy.

Trochę zawily był ten początek. Spróbujmy więc nieco wyjaśnić nasze zmagania związane z pojęciem czasu. A nie są to tylko powszednie problemy zwyczajnych zjadaczy chleba. Głowią się nad tym także potężne umysły, naukowcy różnych dziedzin – filozofowie, fizycy, matematycy, astronomowie. I niekoniecznie z dobrym skutkiem. Przynajmniej nie z takim, jakiego oczekiwałyby gospodynie domowe, którym permanentnie brakuje doby, bo nie mogą się ze wszystkim „wyrobić”, uczniowie, którzy beztrósco twierdzą, że nie czas zajmować się teraz takimi błahostkami i odkładają to na później czy emeryci na przykład, którzy czują, że ich czas już mija i nie mogą tego odłożyć na później.

„Czas to pieniądź”. Określenie konkretne jak pieniądź i przekonujące jak (powinien być) czas. Tak, wszystko da się przeliczyć na pieniądze. I już teraz przynajmniej wiadomo, dlaczego tak wielu z nas nie ma pieniędzy. Godzina przepracowanego czasu kosztuje – obecnie (2022) minimalna stawka godzinowa to 19,70 zł brutto. Niektórzy

cenia swój czas o wiele więcej. Tylko szczęśliwi i zakochani nie liczą czasu. Paradoks – czas kosztuje, ale nie można go kupić. Nie można go też np. przechować w banku na później, kiedy będzie bardziej potrzebny. Pieniądz dotyka inflacja. Czy tak samo jest z czasem? Drugi paradoks – nie można czasu zamienić na pieniądze i odwrotnie. Nie działa tu analogia jak w przedstawionym przez Einsteina słynnym równaniu $E = mc^2$, gdzie masa jest równoważna energii¹.

„Czas jest tym, co pokazują i mierzą zegary”. Definicja opisowa, nie mówi wprost czym jest czas. I nie wiem, czy trafna. Wskazówki zegara da się przestawić, np. na czas letni-zimowy, ale pokazują one wtedy czas „fałszywy”, niezgodny z rzeczywistością. Podobnie wcześniejsze wyrwanie kartki z kalendarza nie sprawi, że dziś mamy już jutro. W przeciwieństwie do zegara, czasu nie da się cofnąć ani przyspieszyć. Szkoda. On jest zawsze prawdziwy. Najprawdziwsze pod tym względem są zegary słoneczne. One zawsze pokazują czas, jaki dyktuje nasza Gwiazda Dzienna². Nasze zegarki można też zatrzymać, czego nie możemy powiedzieć o czasie. Jeśli tak powiemy, to jest to tylko metafora. Mimo, że zegar stoi, czas płynie nadal. Dzięki zegarom jednak możemy powiedzieć, że coś się zdarzyło wcześniej lub później i określić jak długo trwało. Ktoś kiedyś stwierdził przytomnie, że gdyby nie było zegarów, mielibyśmy czas. Czas bez zegara – owszem, ale zegar nie istniałby bez czasu.

„Czas jest wszystkim” – powiedział Napoleon. Trochę górnolotne stwierdzenie, ale Napoleon używał tylko górnolotnych słów. „Wszystko płynie” (panta rhei) określił Heraklit, a w konsekwencji – „niepodobna wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki”. Czas też płynie. Chociaż czas jest bardzo wszechstronny, bo też może lecieć, przychodzić, niektórym biegnie, umyka. Upływ czasu bywa jednak różny. Inaczej płynie, gdy się nudzimy (wlecze się niemiłosiernie), inaczej, gdy dana czynność sprawia nam przyjemność (wtedy mija szybko). To oczywiście tylko subiektywne odczucia, ale

wspomniany już Einstein przewidział (teoretycznie, rzecz jasna, ale niedawne doświadczenia to potwierdziły), że tak jest w rzeczywistości. Czas płynie w różnym tempie. W słynnym przykładzie z parą bliźniąt, z których jeden przebywa na Ziemi, a drugi podróżuje z prędkością bliską światła udowodnił, że ten drugi starzeje się wolniej. Po powrocie są więc bliźniakami... w różnym wieku. Czas może zaskakiwać.

„Wszystko zależne jest od czasu, a ostatecznie od Boga” – przekazuje Kohelet. *Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono, czas zabijania i czas leczenia, czas burzenia i czas budowania, czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas płasów, czas rzucania kamieni i czas ich zbierania, czas pieszczot cielesnych i czas wstrzymywania się od nich, czas szukania i czas tracenia, czas zachowania i czas wyrzucania, czas rozdierania i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia, czas miłowania i czas nienawiści, czas wojny i czas pokoju*³. Nie wnikając w rozważania teologiczno-biblijne, można wysnuć wniosek, że na wszystko jest czas. W zamyśle Boga było więc, aby człowiek miał czas na wszelkie działania. Czyżby więc Boży plan się nie ziścił?

„Czas jest lekarzem”. Tak się mówi. Mówi się, że czas leczy rany. Potrzeba czasu, by rana zagoiła się, by można zdjąć szwy, usunąć opatrunki. Potem jeszcze konieczny jest czas na rehabilitację, by w pełni wrócić do zdrowia. Ale czas leczy przede wszystkim rany psychiczne. Czas jest psychoterapeutą. Niezbędny jest, by otrząsnąć się z traumatycznych przeżyć, powstałego stresu, dojść do siebie, wrócić do równowagi, pogodzić się z losem, zapomnieć o dręczących problemach. By uwolnić się od trapiących umysł ponurych myśli, dojmujących wspomnień, otrząsnąć się, poukładać sobie na nowo w głowie wszystkie szufladki, pozbierać myśli trzeba czasu. Ale nie słyszałem, by lekarz wypisywał pacjentowi receptę na czas, w dawce np. pół roku. Nie widziałem też takiego lekarstwa w aptekach.

¹ Na temat teorii względności Einsteina pisałem w „Nestorze” 1(27) 2014, ss. 106-108 w artykule pt. „Teoria względności dla laików”.

² O zasadzie działania zegarów słonecznych pisałem w „Nestorze” 3 (41) 2017, ss. 120-124.

³ Księga Koheleta, czyli Eklezjastes, 3, 1-8. Cyt. wg *Biblia Tysiąclecia*, Pallotinum, Poznań, 2003.

„Czas jest nauczycielem”. Uczymy się wraz z upływem czasu. Nabieramy doświadczenia. Popelniamy błędy, by ich później unikać. Po pewnym czasie stajemy się dojrzalsi, teoretycznie przygotowani do dorosłości, ale tak naprawdę uczymy się całe życie. Czas ma do nas cierpliwość. Czas jest szkołą życia. I jak to w szkole – bywają uczniowie gorsi i lepsi. Nie każdy właściwie przykłada się do nauki. Nie każdy z czasem staje się mądrzejszy. Niektórzy chodzą na wagary. Są tacy, którzy mimo upływu czasu popełniają wciąż te same błędy. Dla nich to czas stracony. Na wielu zegarach słonecznych wypisana jest sentencja „Ceniszże życie, nie marnotraw czasu”. Ale i ci pilni uczniowie, i wagarowicze nie otrzymują na koniec tej edukacji żadnej cenzurki z wykorzystania czasu. Chyba, że na Sądzie Ostatecznym. Do tego jeszcze nie ma możliwości poprawy i powtarzania klasy. Czas uczy pokory.

„Czas to przeszłość, teraźniejszość i przyszłość”. No, nareszcie coś konkretnego. W szkole pewnie by to zobrazowali w postaci linii prostej z jednym wyróżnionym miejscem o nazwie „Teraz”, albo jeszcze lepiej – „Tu i teraz”. Co na lewo od tego punktu to przeszłość – wszystkie minione wczoraj, na prawo jest przyszłość – wszystkie czekające nas jutra. Teraźniejszość natomiast to tylko punkt, moment. Za chwilę przesunie się do historii. Możemy wprowadzić jeszcze dokładniejszy opis. Zaznaczyć jakiś punkt po lewej i podpisać np. „1410 – bitwa pod Grunwaldem” albo „2007 – początek ukazywania się *Nestora*”. Można też zaznaczyć coś bardziej osobistego, np. wydzielić mały odcinek i podpisać „Moje 5 minut”. Każdy ma podobno swoje 5 minut. Ja miałbym z tym problem, bo uważam, że moje 5 minut jeszcze nie nadeszło. Musiałbym więc zaznaczyć je w przyszłości, ale kiedy – nie wiadomo. Przyszłości nie znamy, mimo że niektórzy próbują ją przewidywać. Możemy myśleć o przyszłości, planować przyszłość, a i tak okaże się, że to tylko niespełnione marzenia. Mimo, że przyszłość zaczyna się już za chwilę. O... już!

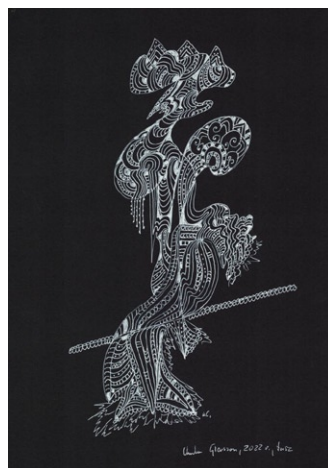
Czas, czym by nie był, jest tym, czym zostaliśmy obdarzeni wszyscy jednakowo. Idealnie i w tym wypadku sprawiedliwie – każdemu po równo, nie według zasług. Każdy ma go dokładnie tyle samo: 24 godziny na dobę, 1440 minut co dnia, 86 400 sekund do jutra. I każdemu czas upływa tym

samym, jednostajnym tempem. Powtórzę jeszcze raz: każdy ma go dokładnie tyle samo. Zwróćcie uwagę na słowo „ma”. Każdy z nas **ma** czas! Nieprawdziwe jest więc twierdzenie „nie mam czasu”. Zresztą, jak możemy tak mówić i skąd to w ogóle wiemy, skoro nie wiemy co to jest czas?

I tu wracamy do tematyki pieniądza. U podstaw ekonomii rozważane jest zagadnienie w stylu: mam do dyspozycji 100 złotych. Mogę za nie kupić cukierki, ciasteczka, bilety do kina, teatru lub książki. Jeden wyda całość na cukierki i ciasteczka, kto inny na teatr i książki, a jeszcze ktoś zupełnie inaczej. Oczywiście łaśuch nie pójdzie wtedy do teatru, a amator kultury nie pozna smaku słodocy. Coś kosztem czegoś. Z czasem jest identycznie to samo. Mamy do dyspozycji określoną pulę godzin, minut i sekund (patrz wyżej), a od nas już zależy na co ją „wydamy”. Ile przeznaczymy na sen, ile na pracę, ile na spacer, rozrywki, a ile nam zostanie na co innego. Nie wystarczy na wszystko. Tutaj działa ta sama zasada – „coś kosztem czegoś”. Dysponując swoim czasem, musimy więc stosować się do wyznaczonych priorytetów. Przeznaczamy go na to, co uznamy za ważniejsze. Zamiast więc mówić „w ogóle nie mam czasu”, powinniśmy raczej powiedzieć „nie mam czasu na...”. Każdy jest panem swojego czasu. Dysponuje nim, tak jak uważa za stosowne.

Ale po co ja to wszystko piszę? Dla zabicia czasu.

Wiesław Krajewski

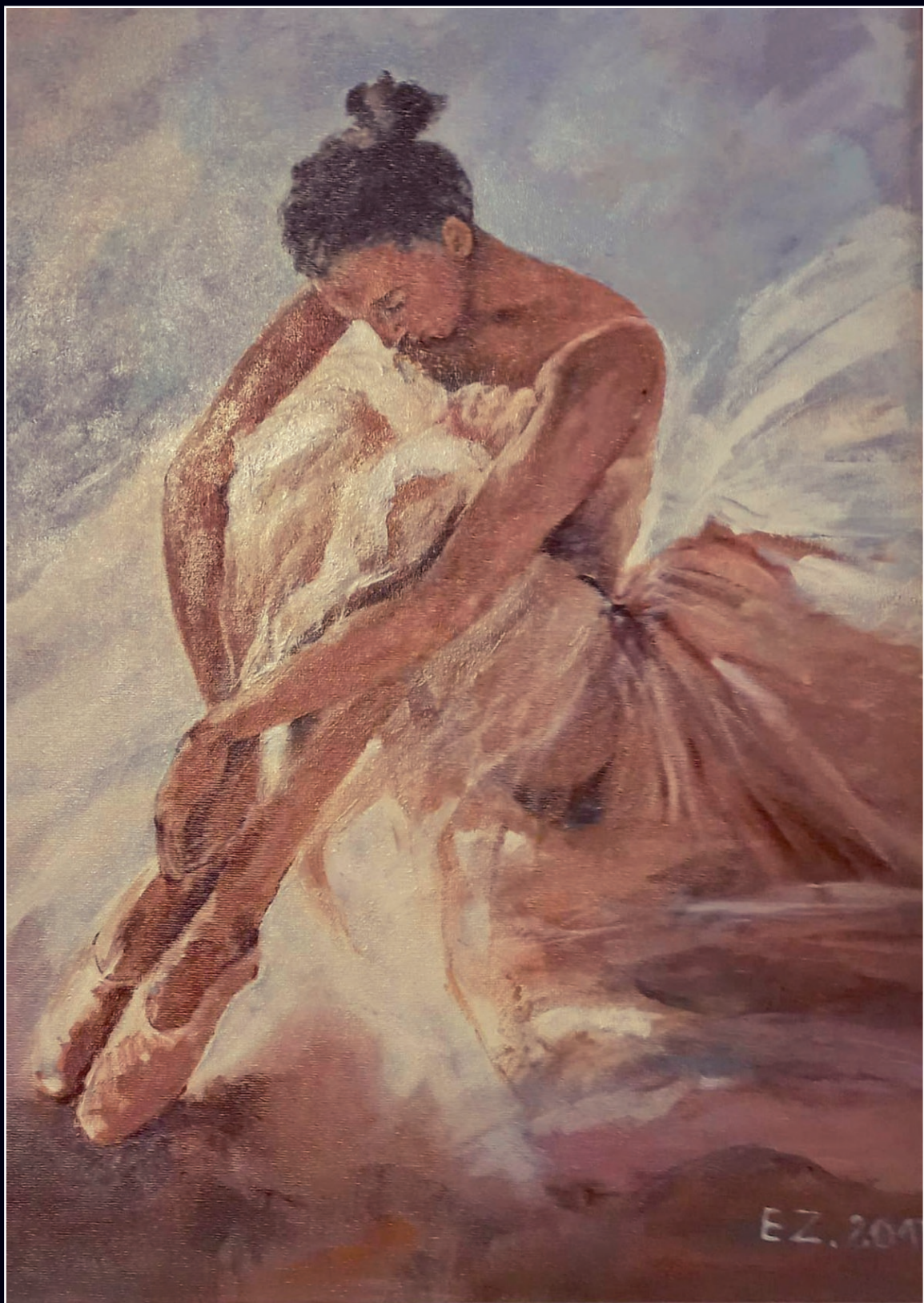


nys. Urszula Gierszon



Edyta Zdun-Fornalska – z wykształcenia i zawodu pedagog. Obecnie pracuje w Środowiskowym Domu Samopomocy im. bł. ks. Z. Pisarskiego w Krasnymstawie. Pasję malarstwa realizuje w Stowarzyszeniu Twórców Kultury „Paleta” pod kierunkiem malarki i pedagoga Bronisławy Żuk. Swoje prace prezentowała na lokalnych wystawach zbiorowych. Ulubiona tematyka prac to portret i przyroda.





mal. Edyta Zdun-Fornalska